

GEORGE J. FLEMMING

POLSKA
MAŁO ZNANA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

u 412.080

u 765.633 (A)

POLSKA MAŁO ZNANA

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM CXXXI

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

GEORGE J. FLEMMING

POLSKA
MAŁO ZNANA

WYDANIE DRUGIE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

W S T Ę P

Nie ma pewnie drugiego kraju w Europie, na którego temat powstałoby tyle nieporozumień, tyle chybionych reportaży, artykułów, wreszcie książek; o którym krążyłoby tyle bzdurnych wieści, tyle sprzecznych informacji i lekkomyślnych sądów. A przy tym tak naprawdę mało wiadomo.

W Polsce lubi się mówić i myśleć o „polskiej specyfice”, która odróżnia nas tak bardzo od innych krajów „demokracji ludowej”. Ale ta specyfika nie jest mitem.

Nie jest tajemnicą, jakiego rodzaju ustrój panuje w Polsce i kim są ludzie zajmujący rządowe fotele. Nie jest także tajemnicą odbudowa kraju potwornie zniszczonego dwukrotnym przejściem frontów II Wojny Światowej.

Ale gdyby mnie ktoś zapytał czy Polska jest krajem komunistycznym — nie mógłbym odpowiedzieć wprost. Gdybym odpowiedział twierdząco — kłamałbym, gdyby przecząco — kłamałbym także.

To prawda, że rządzi dziś w Polsce partia komunistyczna, a inne, tj. Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne, właściwie kibicują, ale nie ma także wątpliwości, że większy posłuch w tzw. masach ma np. kardynał Wyszyński, niż Gomułka czy Kliszko. To prawda, że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza liczy nieco ponad milion członków, ale jeżeli jest wśród nich więcej niż jeden procent przekonanych komunistów

— to byłbym zawiedziony, bo wydaje się, że tych prawdziwych jest mniej dziś, niż było przed wojną w Komunistycznej Partii Polski, tak starannie wykończonych przez Stalina. To prawda, że właściwie cały przemysł jest w rękach państwa, ale rolnictwo jest i będzie prywatne, skoro nawet Gomułka nie ośmielił się zapowiedzieć kolektywizacji, a samotny jeden procent kotłochozowej ziemi mówi sam za siebie.

Przeszło 38% wynosiły straty materialne Polski. Poza Łodzią i Krakowem nie było właściwie większego miasta w kraju, które nie byłoby mniej lub bardziej zniszczone. Zniszczone były w 100% koleje, wycięte lasy, spalone wsie. Przeszło sześć milionów ludzi poniosło śmierć, w tym setki profesorów wyższych uczelni, tysiące księży. Tylko osiem tysięcy lekarzy przeżyło hitlerowski plan zagłady polskiej inteligencji.

I nie ma żadnych wątpliwości komu należy przypisać zasługę odbudowy kraju. Całemu narodowi.

Inne oczywiście poglądy ma w tej mierze partia. Ale partia również zupełnie inaczej wyobraża sobie sytuację w kraju, niż ona wygląda naprawdę, nie oglądana z okien „białego domu” na rogu Nowego Świata i Alej Jerozolimskich. Gomułka przecież nie wie, że potężny, dowodzony przez partię i rząd przemysł nie był w stanie wyprodukować tabliczek z numerami pokojów dla domu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — i tylko intendent wie, ile na tym zarobiła prywatna inicjatywa. Tak więc surrealizm Polski zaczyna się już od samego KC.

Satyryk w Szpilkach przepowiadał kiedyś, że wkrótce szynka w Delikatesach będzie sprzedawana na raty przy pomocy Obsługi Ratalnej Sprzedaży, co nie jest dalekie od gorzkiej prawdy, jeżeli wziąć pod uwagę oficjalną, dolną granicę płac. A równocześnie są w Polsce miliony badylarzy, a po żniwach stoją przed warszawskimi sklepami Jubilera ogonki chłopów po złoto, biżuterię, zegarki.

Nie trzeba jednak satyryka, gdy chodzi o porównanie skali zarobków, według której wozak rozwożący węgiel zarabia kilkakrotnie więcej od profesora uniwersytetu, a prywatny taksówkarz od dobrego lekarza.

W dzisiejszej Polsce łatwiej jest o francuski koniak czy szkocką whisky, niż o zwykły polski ser, — a głodowe zarobki nie przeszkadzają, że sylwestrowe stroje w Bristolu czy Europie wytrzymałyby konkurencję z Paryżem.

Kierat jest nadal najpopularniejszym narzędziem na wsi, gdzie jednak masło ubija się w elektrycznych pralkach, na targ jeździ Junakiem czy Jawą, a syna kształci na wyższej uczelni.

Przed kilku laty we wspomnianych wyżej Szpilkach ukazała się karykatura znanego satyryka Jerzego Zaruby przedstawiająca chłopską rodzinę siedzącą przed telewizorem z materacowym wzorem na ekranie. — „Synchronizacja pozioma nawaliła” — biegł dialog — „Musi, Maciaszkowa zauroczyła”. — Ten genialny skrót najtrafniej ocenia sytuację w Polsce i jej niepowtarzalny, pełen uroku surrealizm.

Surrealizmem jednak się nie żyje, zwłaszcza w kraju materializmu dialektycznego — toteż społeczeństwo jest bardzo realistyczne, jak na to wskazują choćby coraz liczniejsze procesy gospodarcze...

Spółeczeństwo nie chce stać na przystanku i czekać bez końca na tramwaj zwany dobrobytem.

Wbrew wszystkiemu, co przepowiedzieli Marks, Engels i reszta, kryzysy gospodarcze — a właściwie jeden, ale za to długi — zdarzają się wyłącznie w ustroju zwanym przez grzeczność — socjalistycznym. Kolejki chłopów przed sklepami jubilerskimi nie ustawiają się z zamiłowaniem do kolekcjonowania drogich kamieni, ale ponieważ chłopski rozum uczy, że inflacja w Polsce wcale się nie zatrzymała, czego nie zauważyli towarzysze w KC. Mówi się w Polsce, że jest tam trzydzieści dwa miliony premierów: każdy wie lepiej — jak. Ale kto wie ilu

naprawdę lepszych premierów znalazłoby się wśród polskiego społeczeństwa, gdyby nie obowiązująca karuzela personalna i magia politycznego myślenia. Ta magia, to dla jednych, jak Gomułka: wishful thinking i fool's paradise, a dla innych konta w zagranicznych bankach i co najmniej dostatnie życie bez wielkich trosk o to, z czego żyją inni, ci co nie kradną, ani nie produkują na eksport winniczków, czy żabich udek.

Jest rzeczą niewątpliwą, że istnieje poważna różnica zdań, choć do bezpośredniej wymiany myśli nigdy dotąd właściwie nie doszło, pomiędzy partyjno-rządowym poglądem na polską rzeczywistość, a poglądem reprezentowanym przez resztę obywateli. Toteż ponieważ oficjalne statystyki produkcji, konsumpcji, popytu, podaży i tp. są powszechnie dostępne nawet w językach obcych, wydawane obficie przez Wydawnictwo Polonia za pieniądze Ministerstwa Spraw Zagranicznych — chciałbym się zająć w tej książce Polską mało albo wcale nieznaną. Polską życia codziennego, tak jak ją widzi zwykły, przeciętny obywatel, a jakiej prawie nie zna ani polski emigrant, ani partia, ani rząd.

W krótkim okresie względnej uczciwości, kiedy kilku młodych ludzi odkrywało na łamach Po Prostu Polskę nieznaną, kiedy nawet Biuro Polityczne czytywało osobne, wewnętrzne wydanie Biuletynu Specjalnego, z artykułami, które nie przeszły przez sito cenzury — ta Polska nie była obca jej rządcom. Ale magia myślenia politycznego zwyciężyła, i dziś taka książka, jak niniejsza, może ukazać się tylko za granicą, choć czytana na pewno będzie także w kraju.

A władze w niej zainteresuje tylko jedno: kto to jest Flemming...

I.

Gdyby ktoś mnie spytał, na czym polega największa różnica między Polską przedwojenną i dzisiejszą, odpowiedź byłaby tylko jedna. W okresie ostatnich dwudziestu lat Polska przeszła gwałtowną rewolucję, i to nie polityczną, ale socjalną: z 78% ludzi zatrudnionych przed wojną w rolnictwie — zostało dziś 38% i tendencja niżkowa trwa. Wpłynęło na to wiele przyczyn zamierzonych, takich jak na przykład plan uprzemysłowienia kraju, lub niezamierzonych, jak ucieczka młodzieży wiejskiej do miast. Również geograficznie to przesunięcie dało się odczuć, wyludniając wsie i miasteczka Polski wschodniej i południowo-wschodniej, i przeludniając miasta i miasteczka Polski środkowej i zachodniej. Przemysł, nowe zakłady, kopalnie, huty stały się magnesem przyciągającym, nie mówiąc o atrakcyjności życia miejskiego w porównaniu z beznadziejnością głuchej, nudnej prowincji. Miasta zaczęły gwałtownie rosnać osiągając liczby ludności nieraz dwukrotnie wyższe niż przedwojenne. Kraków przekroczył już pół miliona i nie ulega wątpliwości, że w krótkim czasie przegoni Łódź, która zatrzymała się w rozwoju. Poznań i Wrocław konkurują o pierwszeństwo w wyścigu do niedalekiego pół miliona. Katowice przekroczyły trzysta tysięcy, nawet Lublin ma już przeszło dwieście. Niektóre miasta Ziem Zachodnich jak Zielo-

na Góra, Gorzów Wielkopolski — przekroczyły parokrotnie liczby z czasów niemieckich. W nowych ośrodkach przemysłowych powstały zupełnie nowe miasta, których nazwy przypominają tylko to co kiedyś tu było. Tak się stało z Koninem, Tychami, tak się dzieje z Płockiem, Puławami, a w nowej Polsce z Lubinem, Krosnem Nadodrzańskim, Turosszowem.

Wielka wędrówka ludów wymieszała gwary, folklor, obyczaje. Mało kto został na swoim miejscu. Rzeszów, Lubelskie i Kieleckie zaludniły Nową Hutę i Śląsk — we Wrocławskim całe miasteczka zaciągają ze lwowska, a Olsztyn i Szczecin z wileńska. Kilkaset tysięcy Ukraińców rozsypało się po całym kraju, uciekając jak najdalej od wschodniej granicy, na Pomorzu Zachodnim osiedlili się Grecy z Macedonii, w Wałbrzychu Polacy z Francji i Kanady — chyba tylko Tatarzy pozostali w swych białostockich wioskach.

Wszyscy ci ludzie w nowe strony przenosili stare obyczaje, nie zawsze najlepsze i nie zawsze łatwe do przystosowania wobec sąsiadów z innych stron kraju. Po dwudziestu latach dawni Poleszacy nie mieszkają już w dolnośląskich farmerskich domach w jednej izbie ze świniami i kozami, ale nauczyli się korzystać z obszernych, wieloizbowych pomieszczeń, a i akcent ze starych stron w nowym, tu urodzonym, pokoleniu, zanika. Młodzi asymilują się całkowicie, w czym pomaga wspólne miejsce pracy — fabryka. Coraz częściej dzieje się tak, że młodzież wiejską widuje się w domu tylko na niedzielę, krążącą przed kościołem w granatowych garniturach i złotych butach. Na gospodarce zostają starzy.

Bywa że i starzy idą do fabryki, by dorobić, gdy sama ziemia nie wyżywi. W okolicach wielkich miast i ośrodków przemysłowych powstała specjalna kategoria tzw. chłopów-robotników, licząca setki tysięcy ludzi. Inni, jak na przykład podhalańscy górale, traktują nowotarSKI kombinat obuwia jak dawniej wyjazd do Ameryki: zgłaszają się do pracy, zostają przeszkoleni na (płatnych)

kursach, przepracowują tyle ile trzeba, by dokupić kawałek kamienistego poletka — i dziękują za pracę. Inni znów, na przykład Cyganie idą do fabryki tylko na zimę, by z wiosną ruszyć z taborem na wędrowną.

Z tego wszystkiego widać, że ani partia, ani kierownictwo przemysłu nie mieli łatwego życia z ustabilizowaniem załóg fabrycznych. Nie mieli — bo dziś razem z tzw. wyżem demograficznym pojawiło się widmo bezrobocia. Na razie jest ono jeszcze w większości wypadków sztuczne, wywołane przeludnieniem wielkich miast, z których nie chcą wynieść się ludzie na prowincję, świadomi, że ograniczenia meldunkowe nie pozwolą im wrócić na stare miejsce. Te ograniczenia meldunkowe zostały wprowadzone dla powstrzymania nadmiernego wzrostu ludności miast, ale w dzisiejszej sytuacji mają skutek jak najbardziej ujemny. Toteż niektóre miasta, jak na przykład Katowice, ten zakaz zniosły, podczas gdy obowiązuje on nadal w Krakowie, Warszawie, czy Gdańsku. Z zasady tylko zawody niezbędne są przywabiane do miast zamkniętych, zawody typowe dla miejscowego przemysłu, plus pielęgniarstwa, których — dla głodowych zarobków — zawsze brak.

Polska jest krajem gospodarki planowanej, i w zasadzie nic się nie dzieje spontanicznie — a przynajmniej nie powinno. Ale wszelkie planowanie ma swoje granice rozsądku. Wprawdzie nie jest ono już tak scentralizowane jak to było dawniej, kiedy to nie umiejący czytać mapy stołeczny projektant umieszczał stodołę w podolsztyńskim PGRze na środku jeziora — ale w iluż wypadkach zawodzi.

Tak się stało przede wszystkim z planowaniem miast. Nowe, „pierwsze socjalistyczne miasto” Nowa Huta, zostało zaprojektowane po pełnym zakończeniu budowy na sto tysięcy mieszkańców, gdy tymczasem dziś, w na pół zaledwie ukończonym mieście jest już tych mieszkańców sto dwadzieścia tysięcy.

To samo stało się z Nowymi Tychami, tak samo

będzie z Płockiem, czy Puławami. Gorzej się dzieje, gdy niedouczeni twórcy planu sześcioletniego zakładali budowę przemysłu, dla którego Polska w zasadzie nie miała i nie ma surowców, sprowadzając je, jak na przykład rudę żelazną, ze Związku Radzieckiego czy Szwecji, a eksportując surowce chemiczne nie mając możliwości ich przetworzenia nawet na półfabrykaty. To się dziś zmieniło, ale czy naprawdę tak bardzo — tym zajmiemy się na innym miejscu.

Wielka wędrówka ludów musiała wpłynąć zasadniczo na wytworzenie się nowych stosunków społecznych, na wyrastanie nowej, właściwie dotąd w Polsce nieznanej, klasy średniej. Tak zwana inteligencja techniczna, inżynierowie, technicy, wzrosła liczebnie w porównaniu z czasem przedwojennym — kilkudziesięciokrotnie. I ona właśnie nadaje ton i wygląd wielu miastom i osiedlom przemysłowym w kraju.

Inna, coraz liczniejsza, grupa ludności — to robotnicy mniej lub bardziej wykwalifikowani, synowie chłopów z Polski powiatowej. Napłynęli oni setkami tysięcy na „budowy socjalizmu”, nie znający wartości pieniądza, którego nigdy w rodzinnej chałupie nie oglądali. Mieszkali w brudnych, niechlujnych barakach Nowej Huty, nie myśleli o jutrze, pracując w błocie bezdroży dawnej podkrakowskiej wsi Mogiła. Chłopcy, którzy nie widywali banknotu pięćdziesięciozłotowego nieraz przez cały rok, nagle po pierwszej wypłacie znaleźli się w posiadaniu paru tysięcy złotych.

Kolejka zakupów była normalna: najpierw granatowy garnitur od święta, koszula, krawat, brązowe buty, a potem... — potem nikt im nie powiedział, że można mieć drugi garnitur, że można żyć i mieszkać jak człowiek.

Pieniądzy co miesiąc przybywało, a nie było — w ich mniemaniu — na co wydawać. Kraków był pod bokiem — jeździło się pociągiem towarowym, na zderzakach, ciężarówką-wywrotką, razem z kilofem czy łopatą, żeby bliźni z baraku nie zwędził. Potem, zanim powstały nowe

domy i osiedla, pojawiły się możliwości wydania zarobionych pieniędzy na miejscu. Zadbali o to przemysłni handlarze wódy.

Nowa Huta stała się symbolem bandytyzmu, pijaństwa, rozpusty — nigdzie nie przychodziło na świat tyle nieślubnych dzieci, co tu. Gdy pojawiły się pierwsze tramwaje, krakowianie jeździli nimi do Nowej Huty po mięso, którego brakowało w sklepach Krakowa — ale były to wyprawy niebezpieczne, tak jak niebezpieczny był zawód konduktora, którego lubili nowohucianie wyrzucać w bieg, gdy bezczelnie upominał się o bilety.

W szatniach krakowskich knajp i nocnych lokali stały po kątach narzędzia pracy chlejących młodych opryszków.

W tęgich umysłach niektórych miejscowych prominentów zagnieździło się podejrzenie, że to chyba nie jest socjalizm. Nastąpiły drastyczne posunięcia: usuwanie z pracy i wydalanie z miasta za pijaństwo, za protokoły milicyjne. A równocześnie powstawały nowe warunki życia: nowe domy i mieszkania, sklepy z meblami „na wysoki połysk”. Obudziło to wspomnienia, przywiodło na pamięć dawne, nieco zatarte wzory dostatniej, burżuazkiej egzystencji podziwianego kiedyś pana aptekarza z Biecza, czy pana rejenta z Hrubieszowa. Coraz częściej więc nieślubne dzieci odnajdywały ojców, a ojcowie realizowali w nowych warunkach nowego miasta — stare ideały spokojnego życia. Mieszkania zapełniły się kredensami „na ciemny orzech”, na ścianach zawisły makatki z jeleniem na rykowisku — w niedziele niedawne bandziory wędrowały po ciastka do cukierni, pchając wózek dziecinny przez różane aleje szerokości Pól Elizejskich. Coraz częściej motocykl, a potem samochód wywoził rodzinę na *week-end* nad Jezioro Rożnowskie, albo w Tatry, gdzie miało się domek campingowy własny albo klubowy.

Nowa Huta zzamożniała, zmieszczaniała, stała się bardziej konserwatywna niż stary Kraków, którego dziś jest dzielnicą. Siedem kilometrów — przecież nic, gdy

się jechało do knajpy — nagle stało się odległością zbyt dużą dla chętnych wysłuchania niedzielnej mszy. Nowohucianom zachciało się własnego kościoła, choćby na ulicy Marksa.

Tak powstało pierwsze socjalistyczne miasto w Polsce.

Ale nie wszyscy się przystosowali, przestawili. Pozostały niedobitki dawnego stylu życia, wążające się od jednej „budowy socjalizmu” do drugiej, albo szlifujące bruki Warszawy, Krakowa, portów Wybrzeża, Wrocławia. Znaleźć ich można wszędzie: na dworcach, po knajpach Gdyni i Szczecina, pod kinami, gdzie konikują na kieliszek chleba, rajfurzą swoje zużyte cizie po kawiarniach — wreszcie wysiadują ławki w korytarzach sądów, kibicując sprawom kolegów, lub czekając na własne. Ich szeregi nie topnieją, stale zasilane nowymi przybyszami ze wsi i miasteczek, gdzie praca jest ciężka, a dochody niewielkie i inkasowane przez rodziców. W mieście żyje się łatwiej, barwniej, zwłaszcza jeżeli na marginesie legalności. Ich bożyszczem jest młody bandzior Paramonow i big-beatowe gwiazdy importowane i domowego chowu. Ideą: co dzień zjeść, wypić, nie myśleć, nie pracować, bo praca jest dla frajerów, co nie potrafią inaczej. Oni są młodzi — starość daleko, zdrowie dopisuje — nie marzy się o gablocie, wystarczy pół metra czystej w barze pod miotłą, skok na nadzianego faceta, byle by był bez okularów — znają kodeks karny na pamięć: za zabicie szkieł — piątka! To dla nich wydano ustawę o przestępstwach chuligańskich sądzonych poza kolejką i, nareszcie, według specjalnych paragrafów.



Polska jest krajem dzieci i młodzieży — widać to najlepiej gdy przyjedzie się na przykład do Nowych Tych, gdzie młodzi do lat szesnastu stanowią prawie 70% ludności. To są skutki powojennej płodności, kiedy przyrost

naturalny w kraju nierzadko sięgał i przekraczał 19%, aż powoli przeistoczył się w tzw. dziś wyż demograficzny, straszak rządu, partii i ludzi starych.

Od pewnego czasu dyskutowane są sposoby rozładowania zbliżającej się do wieku zatrudnienia masy ponad pięciu milionów młodzieży. Mówi się o obniżeniu wieku emerytalnego do 60 i 55 lat dla mężczyzn i kobiet — łatwiej płacić głodowe renty niż jakie-takie uposażenia — mówi się o ewentualnościach umożliwienia szerszej emigracji zarobkowej na zachód. A na razie wzmożono inwestycje przemysłowe kosztem inwestycji w przemysł dóbr konsumpcyjnych, i ułatwiono pewnej ilości osób podjęcie pracy w NRD, gdzie są już polscy lekarze, kolejarze i robotnicy przemysłowi.

Polska jest krajem budującym socjalizm, ale nie wprowadziła obowiązku przymusu pracy, co jest niezwykle przydatną rzeczą dla tysięcy obiboków, takich jak to pokazałem na przykładzie Nowej Huty. „Budów” socjalizmu jest więcej i liczba ludzi na marginesie społecznym rośnie. Na tym marginesie znalazło się niestety aż zbyt wiele młodzieży.

Jest wiele sposobów, by nic nie robić, a jednak żyć, zwłaszcza w kraju, gdzie istnieje czarny rynek, jeszcze w przeszło dwadzieścia lat po wojnie. To jednak nie tłumaczy dlaczego zastanawiająca liczba młodocianych przestępców lub zwykłych bandziorów pochodzi z rodzin tzw. dobrych, mieszczańskich, zamożnych. Młody człowiek z takiej rodziny, na tej zasadzie, jak się mówi potocznie, że „rodzice mieli ciężkie dzieciństwo”, uczy się, wspierany przez szczodrych rodziców, wcześniej wydawać pieniądze, aniżeli je zarabiać, a gdy zabraknie tego wsparcia z jakichkolwiek przyczyn — trudno mu się pogodzić z losem i wchodzi na drogę, która prowadzi prawie zawsze wprost na ławę oskarżonych. Znane są procesy młodocianych rabusiów o okradanie sklepów i kiosków, procesy o morderstwa rabunkowe, nieraz nawet członków rodziny, procesy szajek gwałcicieli. Wzrosła w ostatnich

latach ilość takich przestępstw, a razem z nimi i ilość zakładów dla niepełnoletnich przestępców, którzy i tak prędzej czy później, po dojściu do wieku karalności, odsiadując będą już w prawdziwych więzieniach kary za przestępstwa podobne lub nowe, wyuczone w czasie pobytu w zakładzie wychowawczym.

Obserwując młodzież w typowo „młodziackich” lokalach, kawiarniach, knajpach, łatwo byłoby dojść do przekonania, że ci młodzi miewają pieniądze, które wystarczają im na dość radosne życie. Synowie aparatczyków i badylarzy rozbijają się po Polsce samochodami w towarzystwie swoich kociaków, obsiadują Gubałówki, Grand Hotele, Fukiery, podrywają cizie na chatę, na gablotę — pełno ich w nocnych lokalach Zakopanego i Sopotu. Ich zainteresowania to: samochód, dziewczyna, łatwe życie, jak najmniej pracy, jak najmniej kłopotów, jak najwięcej pieniędzy, wyjazdy za granicę, wakacje dwanaście miesięcy na rok. Takich na pewno nie ma wielu, ale tacy nadają ton i koloryt miejscowościom wypoczynkowym i nocnym lokalom Warszawy, Krakowa, Gdańska, Wrocławia.

Inna młodzież z marginesu, to taka, którą stać na kiepską knajpę, tramwaj na gapę, i cizie za małe piwo i bułkę z kielbasą w dworcowym bufecie. W tym środowisku nie ma etykiety i nie ma etyki. Nie ma już w stolicy Annopola, ani Polusa — „lud wszedł do śródmięscia”. Straciły swą sławę przedwojenna Wola, Targówek, Czerniaków, bo dziś bandy młodocianych grasują wszędzie, a przede wszystkim w parkach, które kretyńskie zarządzenie sprzed kilkunastu lat pozbawiło ogrodzeń, by je udostępnić „wszystkim obywatelom bez różnicy klas”. Zamknięcie do ciemności sprawiło, że w Ogrodzie Saskim nie ma ani jednej całej lampy — a przez Park Paderewskiego czy Kultury na Powiślu chodzą wieczorem chyba tylko samobójcy. Bezmyślna żądza zniszczenia rozbija automaty telefoniczne, obcina słuchawki, tłucze szyby w tramwajach, wycina obicia siedzeń w autobusach. Do miłych rozrywek należy obrzucanie podmiejskich po-

ciągów kamieniami i przeciąganie przez jezdnię szosy drutu, co musi się skończyć tragicznie w kraju, gdzie większość ruchu motorowego stanowią motocykle.

Czy takiej młodzieży jest dużo? Sądząc po rozmiarach zniszczeń, należałoby wnosić, że dużo, jeżeli można przejść całą Marszałkowską i nie znaleźć czynnego automatu telefonicznego. Nocą i wczesnym rankiem poczekalnie dworcowe wielkich miast roją się tłumem pijanych wyrostów o lombrosowskich twarzach w towarzystwie młodych i starych kobiet, zniszczonych, zużytych, pijanych — nie zobaczy się ich w dzień, to gatunek wychodzący tylko nocą, mieszkający nie wiadomo gdzie i żyjący nie wiadomo z czego. Co pewien czas milicja przeprowadza obławy, wyłapuje kilkadziesiąt osób i zwalnia, bo w większości wypadków nie ma podstaw do zatrzymania. Prostytucja, oficjalnie nie istniejąca, nie podlega karze. W tej dziedzinie nadal obowiązuje „paragraf O”, a karane może być tylko włóczęgostwo — jeżeli się je udowodni, albo sutenerstwo, zawód dochodowy i częsty zwłaszcza w miastach portowych Gdyni, Gdańska i Szczecina. Ten portowy świat zbrodniarzy i przestępców jest doskonale znany miejscowej milicji i prokuraturze, ale po knajpach swobodnie grasują alfonsy i kundy* przez nikogo nie niepokojeni.

Wszystko, co się wyżej napisało, to nie jest specyfika polska, takie rzeczy, taki margines społeczny, znajdzie się wszędzie, na całym świecie — ale rzecz w tym, że dzieje się to w Polsce, w określonym ustroju i systemie politycznym. I jeszcze jedno: z błędnego koła zbrodni i przestępczości nie ma wyjścia, bo wszystko inne co robi się uczciwie i zwykłą drogą, nie opłaca się... Drogą zwykłą i uczciwą nie zarabia się na normalne, nawet jakie takie życie, a ponura *dolce vita* dostarcza przy tym wrażeń nieosiągalnych innym sposobem.

* *kunda*: zazwyczaj wysłużony marynarz, szmuglujący zamówiony towar ze strefy wolnocłowej i podejmujący się za odpowiednią opłatą zadań takich jak pobicie lub nawet zabicie osób klientowi niepotrzebnych.

Polska rzeczywistość nie jest czarno-biała — jak tego chcą niektórzy — ani konformistyczna — jak chcą inni. Mieni się wszystkimi kolorami widma. W tym — jedynym w swoim rodzaju — kraju, znajdziecie szlachtę zaściankową, która z całym świadomym uporem wybiera swego własnego sołtysa, w odróżnieniu od drugiej, chłopskiej, połowy wsi; sygnet herbowy na palcu członka KC; arystokratyczny ślub w tradycyjnym kościele Wizytek, obsługiwany przez prasę publikującą zdjęcia z tego wydarzenia na pierwszych stronach; chłopów proszących księdza o poświęcenie sztandaru gromadzkiej organizacji partyjnej; tydzień trwające wesele wiejskie z wyliczeniem: jeden litr na dzień na twarz; emerytów żyjących zupą i kawałkiem chleba, bo na więcej nie starcza; dolarowych milionerów siedzących na tysiącłotowych posiadach — i nowo-dorobionych rozbijających się Mercedesami.

I znów, choć na mniejszą skalę, odbywa się wędrówka, krążenie ludzi w społeczeństwie. Coraz liczniejsze są wypadki, że zagłodzony nauczyciel, zmęczony nędzną płacą urzędnik, rzuca zajęcie w mieście i wynosi się w Bieszczady, w Bieleckie, na Pomorze Zachodnie, zakłada fermę broilerów, kaczek, gęsi, ślimaków, żab, czy też w jakiejś ruinie hoduje na eksport pieczarki. W ciągu paru lat niełatwej pracy dorabia się taki jegomość niebrzydkiej willi, samochodu, zagranicznych wojaży. Ale ustrojowy nonsens polega na tym, że zarobionych pieniędzy nie może zainwestować w poszerzenie fermy. Bo chociaż jego obecny dochód jest na warunki polskie, olbrzymi — to każde nieopatrzne posunięcie może go postawić oko w oko z urzędem niezbędnych w takim wypadku pracowników. A więc zarobione pieniądze muszą być zużyte bezproduktywnie na luksus życia codziennego, albo zebrane, oszczędzone na zabezpieczenie starości.



Przez całe lata okresu stalinowskiego docierający

wszędzie Związek Młodzieży Polskiej pracował na do dziś trwający nihilizm wśród jego wychowanków. Organizacja Pionierów nie miała czasu naprawdę się rozwinąć i przez to, na szczęście, nie wycisnęła swego niszcycielskiego piętna na najmłodszych. Reaktywowany po 1956 roku Związek Harcerstwa Polskiego wstępował w ślady organizacji Baden-Powellowskiej, podtrzymując najlepsze tradycje polskiego skautingu, i dopiero usztywniacze lat ostatnich zaczynają wykorzystywać ramy tej organizacji do swych celów politycznych — czego dowodem mogą być zaszły w ostatnim okresie zmiany, i w samej organizacji, i w jej szefostwie.

Największą i najbardziej skandaliczną rolę odegrał jednak wspomniany na początku ZMP, organizacja utworzona po fuzji Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, ze Związku Walki Młodych i innych organizacji młodzieżowych nie-komunistycznych. Organizacje szkolne i na wyższych uczelniach miały nie tylko prawo ale i obowiązek kontrolowania swych nauczycieli i profesorów pod względem politycznym. Bywało że stary nauczyciel, który niejedno pokolenie młodzieży wychował, był wzywany na zebranie lokalnej organizacji ZMP dla wytłumaczenia się z jakiegoś potknięcia politycznego w wykładzie. Stary pedagog, jeżeli nie chciał mieć do czynienia z władzami szkolnymi, co mogłoby przyspieszyć jego przejście na emeryturę, musiał się gęsto tłumaczyć i przyrzekać poprawę, kajając się przed zgrają niedouczonek, ale politycznie doksztalcanych szczeniaków, dla których nie było nic świętego poza polityczną linią partii.

Postawa młodzieży zatempowskiej była niestety aż zbyt często postawą szczerą, z rzeczywistego przekonania wbijanego w młode głowy przez partyjnych instruktorów. Toteż tym głębszy upadek przyniosły rewelacje Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR. Młodzież, ta wierząca, znalazła się nagle, z dnia na dzień, pozbawiona ideałów, jakiegokolwiek oparcia, skoro nie potrafiła myśleć sama i odróżnić plew od ziarna. Młodzież inna, ta która była

w ZMP z przyczyn czysto oportunistycznych — znalazła tylko potwierdzenie, że jej konformizm był postawą słuszną życiowo: bo nic nie stracili, a wszystko zyskali. Czy tak czy inaczej, ta młodzież była i jest stracona dla jakiegokolwiek ideologii, doktryny, filozofii — poza jedną: mimikry, jeśli nie myślowej, to przynajmniej zewnętrznej. Trzęsienie ziemi XX Zjazdu nauczyło myśleć nawet tych, którzy dotąd ten trud zostawiali swym ideologicznym przewodnikom. To do tej młodzieży należała korespondentka budapeszteńska *Sztandaru Młodych*, która, gdy jej nie wydrukowano skonfiskowanych przez cenzurę, szczerych i prawdziwych reportaży z węgierskiej rewolucji — popełniła samobójstwo.

Do tej pozostałej młodzieży należą ci, którzy byli w ZMP za Stalina, a dziś są w partii na wysokich stanowiskach, i gotowi są zmienić skórę za każdym razem, gdy sytuacja będzie tego wymagała — bez żadnych wyrzutów sumienia i bez zbytecznego wysiłku myślowego.

W pismach młodzieżowych jak *Pokolenie* i *Po Prostu* (zanim stało się ono bojowym pismem Paździelnika) odbywały się „polowania na czarownice”, zebrania organizacji redakcyjnych obfitowały nieraz w mnóstwo drastycznych szczegółów z prywatnego życia członków ZMP, wywlekanych publicznie, co miało służyć naprawie moralnej przyszłych ideologicznie i moralnie czystych członków partii. Wyrzucenie z ZMP stawało się skazą na przeszłość, niemal taką jak usunięcie z partii, i zamykało drogi dalszej kariery, a nawet w większości wypadków prowadziło do samobójstwa zaszczytów, a zbyt mało giętkich młodych ludzi.

Bywały wypadki, że pod wpływem nauk wpajanych przez partyjnych instruktorów, młodzież zrywała z rodziną, której pochodzenie lub postawa polityczna nie zgadzały się z wpajanymi jej poglądami — a nawet były wypadki, kiedy gorliwy zetempowski neofita sypał swych rodziców do UB za słuchanie amerykańskiego czy angielskiego.

skiego radia, albo donosił o ubocznych, a nielegalnych źródłach dochodu.

Odwilż, XX Zjazd, Październik, uratowały polską młodzież od losu, jaki przypadł w udziale młodym z Komsomołu. Dziś nie ma właściwie śladu z tamtych czasów. Nawet ci, którzy poszli całkowicie na współpracę z węzowatą linią partii, robią to z przyczyn ekonomiczno-zyciowych.

Powstałe po październiku na gruzach ZMP dwie organizacje młodzieżowe: Związek Młodzieży Socjalistycznej i Związek Młodzieży Wiejskiej, są bardziej cywilizowane, dalsze od radzieckich wzorów, bardziej — jeżeli to możliwe — liberalne. Nie dotyczy to oczywiście organizacyjnej góry, kierownictwa, ale od nich do organizacyjnych szeregów, droga daleka i miejsca dosyć, by partyjne ognie wygasły nim dotrą do dołów. Nie inaczej jest ze Związkiem Studentów Polskich, organizacją procentowo najliczniejszą wśród paruset tysięcy młodzieży z wyższych uczelni. Do ZSP należy się właściwie tak jak przed wojną do Bratniaka, głównie z przyczyn ekonomiczno-towarzystwo-rozrywkowych, skoro jest on rozdawcą środków finansowych, pomaga w dorobieniu do wątego stypendium przez pracę w licznych studenckich przedsiębiorstwach usługowych *baby-sitter'ów*, sprzątaczy, malarzy pokojowych i tp., skoro prowadzi kluby studenckie, teatryki, kabarety i nawet pomaga w wycieczkach zagranicznych i wymianach międzyuczelnianych. A wpływ polityczny tej organizacji jest właściwie — żaden, skoro przed paru laty, w ankiecie na Uniwersytecie Warszawskim, tylko około czterech procent młodzieży studiującej, w większości przecież członków ZSP, uznało się za marksistów.

Dzisiejsza młodzież studencka w Polsce jest na pewno znacznie bardziej podobna do swych kolegów z Anglii, Francji, czy Włoch, niż ze Związku Radzieckiego, czy nawet Czechosłowacji, nie mówiąc o Bułgarii, a swą liczebnością wywiera pewien wpływ i na inną młodzież i wyciska piętno na miastach Polski. Poza starymi tra-

dycyjnymi ośrodkami uniwersyteckimi, jest dziś w Polsce wiele nowych miast posiadających wyższe uczelnie, jak Katowice, Gliwice, Toruń, Olsztyn, Szczecin, Białystok, Lublin, Rzeszów, Gdańsk, Łódź, Wrocław. W samej tylko Warszawie jest prawie czterdzieści tysięcy studentów, w tym prawie piętnaście tysięcy na warszawskiej politechnice, a drugim i trzecim ośrodkiem akademickim są kolejno Kraków i Wrocław.

Bujnie rozwijające się życie kulturalne studentów, eksplodujące po 1956 roku setką klubów i kabaretów, zostało zatrzymane, i dziś Piwnice, kawiarnie i teatryki są już tylko cieniem dawnych. Warszawskie *Hybrydy*, krakowskie *Jaszczury* — to właściwie tylko wspomnienie po tym, co się tam kiedyś działo. Dziś odbywają się tam zebrania z odczytami, przychodzi się na wino, bilard, szachy, dancng i — niewiele więcej. Mniej się już dyskutuje, mniej sprzecza. Spory o neo-marksizm Leszka Kołakowskiego, przeniosły się razem z procesami Modzelewskiego i Kuronia do gmachów sądów na Leszno, a codzienna kiepska rzeczywistość i wątłe nadzieje na lepszą przyszłość decydują o zmianie kierunku zainteresowań na bardziej przyziemne.

Łatwość zdobycia wykształcenia, czy to średniego zawodowego, czy wyższego, zdewaluowała w pewnym stopniu jego wartość w mniemaniu powszechnym. Tytuł inżyniera stał się tak częsty, że nie robi już na nikim żadnego wrażenia — magistrów jest „jak mrówek” w każdym najgłępszym urzędzie. Ale rzecz charakterystyczna, w ankiecie przeprowadzonej przed kilku laty, na pierwszym miejscu wśród zawodów najbardziej poważanych, znalazł się profesor uniwersytetu.

Ta dostępność wykształcenia jest jeszcze jednym czynnikiem kształtującym dzisiejsze społeczeństwo. W tak zwanym „minionym okresie” istniały na wyższych uczelniach rozdzielniki ilu ma zostać przyjętych kandydatów pochodzenia chłopskiego, ilu robotniczego, ilu inteligencji pracującej. Prawie nie do pomyślenia było, żeby mło-

dy człowiek chcący wstąpić na uniwersytet czy politechnikę nie mógł wykazać się pracą społeczną, czytaj: przynależnością do ZMP. Te rozdzielniki nie na wiele się zdały. I tak na wyższe uczelnie szli ci, którzy byli bliżej, co mieli wujów i pociotów gdzie trzeba, byli co najmniej *pro forma* na liście szkolnej organizacji ZMP, no i zdali egzamin wstępny. Jeżeli dziś się cokolwiek zmieniło, to może to, że chłop, jeżeli chce kształcić swoje dzieci, to w warunkach prywatnego rolnictwa łatwo sobie może na to pozwolić, ale czy chce? — to już inna sprawa. Trzeba tu może dodać, że chociaż nauka w szkołach wszelkiego typu jest bezpłatna, że dawane są stypendia, to jednak i mieszkanie i utrzymanie w mieście musi kosztować. I to kosztować nie mało. Nic dziwnego, że procent młodzieży spoza ośrodków uniwersyteckich jest stosunkowo do starań państwowych, bardzo mały. Po staremu na wyższe uczelnie idą przede wszystkim synowie i córki tzw. inteligencji pracującej, wolnych zawodów — innym zostawiając szkoły zawodowe i technica.

Wiejska młodzież studiująca niechętnie wraca w rodzinne okolice, choćby nawet ukończyła agronomię tak potrzebną polskim rolnikom, — gdy raz zasmakowała w innym, a po miejsku atrakcyjnym, stylu życia. I tak się zdarza, że to właśnie miejska młodzież raczej przeniesie się na prowincję, podczas gdy wiejska osiadzie w mieście. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy są kolosalne trudności mieszkaniowe w miastach, a chłopskim rodzicom łatwiej dziś wysupłać potrzebną sumę na kupno spółdzielczego mieszkania dla kształczonej latorośli, niż zbiedzonej w swej większości inteligencji miejskiej.

Ciekawe, że chyba po raz pierwszy przestały być atrakcyjne dla wiejskich przybyszów tak poważane dawniej kariery jak księdza czy oficera. Księdzu wprawdzie, zwłaszcza na wsi, nadal się dobrze dzieje, ale jest tyle ciekawszych rzeczy na tym świecie od spowiadania dewotek. Oficer, może już bardziej, ale też nie bez specjalności zdobytej w Wojskowej Akademii Technicznej, dla

służby w wojskach inżynieryjnych, raketowych, lotnictwie, marynarce wojennej. Skoczybrudą nie chce być nikt, a jeżeli — to chyba tylko w brygadach spadochronowych, albo w piechocie morskiej. Z tym wszystkim młodzież polska chyba nie była nigdy tak cywilna w wyborze zawodu, jak jest dziś, gdy służbę wojskową uważa przede wszystkim za dopust Boży i karę za grzechy niepopelnione. I w tym wypadku, tak jak w wypadku wyboru kariery księdza, oba zawody straciły atrakcyjną wyłączość wydzwignięcia się do wyższej klasy społecznej, co miało kiedyś tak wielkie znaczenie dla wiejskich rodziców.

W czasach najnowszych pęd na wyższe uczelnie ma swoje jeszcze jedno uzasadnienie, a mianowicie lęk przed bezrobociem, które najpierw dotknąć może niedokształconych, których zastąpi się wyżej kwalifikowanymi. Ten lęk popchnął nawet księgowych o wieloletniej praktyce, na studia wieczorowe i zaoczne, dające stopień magistra ekonomii. Tak jak było do przewidzenia, władze coraz częściej i na coraz niższych stanowiskach żądają wykazania się takim czy innym dyplomem. Już dziś, by zostać personalnym nie wystarczą dobre stosunki z UB, trzeba coś umieć. To samo odnosi się do milicji, gdzie coraz więcej pojawia się absolwentów prawa — a i kamerzysta w telewizji będzie się musiał wykazać dyplomem ukończenia wydziału operatorskiego Wyższej Szkoły Filmowej. Nawet w powiatach są już w miejscowych urzędach ekonomiści i prawnicy, a psychologowie i socjologowie zasiadają w dyrekcjach fabryk. Nawet dyrektorzy przedsiębiorstw państwowych miewają coraz częściej średnie wykształcenie... Skończył się raj dla analfabetów w myśl głoszonej ówczasie zasady, że „dobry marksista może wykonywać każdą pracę na każdym stanowisku”, i dziś można ich w Polsce znaleźć tylko na najwyższych stanowiskach partyjnych i państwowych. Z jednej przesady mitu marksistowskiego, kraj popadł w drugą krańcowość — choć nieporównanie korzystniejszą — mit specjalizacji.

Wszystkie wyżej wymienione lęki, obawy i tendencje nie wpływają — rzecz zdumiewająca — na tłok przy zapisach na kierunki matematyczno-fizyczne. Otóż największy procentowo natłok kandydatów jest na tak niezwykłe w warunkach polskich studia jak orientalistyka, historia sztuki i archeologia śródziemnomorska. Ten fenomen da się jednak stosunkowo łatwo wyjaśnić: wszystkie te studia mogą dać w dalszej perspektywie możliwość odbywania dalekich i jakże atrakcyjnych podróży. Tak to sprawdza się, że byt określa świadomość...

Rozpowszechnienie szkolnictwa wyższego jest na dobrą sprawę na początku swego rozwoju. Dotąd absolwenci wypuszczani przez Uniwersytety, politechniki i akademie właściwie tylko uzupełniali braki i szczyby wojennego spustoszenia, albo powojennego zapotrzebowania na fachowców przemysłowych. Teraz natomiast zaczęło się wytwarzać to, co przed wojną nazwano by nadprodukcją inteligencji. Nie znaczy to, żeby już było na przykład za dużo lekarzy, bo za dużo jest ich na pewno w miastach, podczas gdy są powiaty pozbawione nawet prymitywnej opieki lekarskiej. I znów chyba magia miasta, bo na prowincji, a zwłaszcza na wsi, lekarz ma nieskończenie lepsze warunki zarobkowe, nie mówiąc już o bardziej wszechstronnej praktyce. A mimo to Warszawa, Kraków, czy Poznań pełne są młodych lekarzy siedzących na nędznych posadzinach ubezpieczalnianych czy szpitalnych, i tylko nieliczni decydują się przyjąć zaproszenie gromady, która, by zdobyć sobie lekarza, nawet mieszkanie własnym sumptem wyposażyła. Nie wiadomo na co liczą młodzi absolwenci akademii medycznych, bo praktyka prywatna opłaca się tylko znanym i uznanym sławom lekarskim.

Wcale nie inaczej przedstawia się sytuacja w innych zawodach, również wcale niezwiązanych z wielkim miastem. Nie mam tu na myśli agronoma-ministra spraw zagranicznych, ale licznych inżynierów-rolników, leśników czy geologów, którzy wysiadują krzesła w ministerstwach czy redakcjach, zamiast wynieść się tam, gdzie ich

specjalność jest niezbędna i mogłaby być ze znacznie większą korzyścią użyta.

Polscy młodzi architekci zdobyli sobie już niemałą sławę, i to głównie za granicą, skoro w kraju grasował genialny Rudniew*, paskudząc Warszawę. Zdobyli nasi architekci niejedną nagrodę na międzynarodowych konkursach, a tłok na wydziały architektury rósł z roku na rok. Tymczasem okazało się, że dziś architektów jest już za dużo, przynajmniej tych w najnowszej polskiej specjalności, architekturze przemysłowej. W tej dziedzinie jedynym zleceniodawcą i klientem jest państwo i jeżeli tego klienta ubywa, to i przyszłość architektów przedstawia się raczej ciemno. Wszystko wskazuje na to, że ten zawód podzieli wkrótce los innych zbyt licznie na warunki krajowe reprezentowanych zawodów, jak dziennikarzy, historyków sztuki i orientalistów.

Po dwudziestu latach nieustannej rewolucji przemysłowo-socjalnej, Polska jest nadal w ciągłym ruchu. Kołowrotek zmian, przesunięć, wędrówek trwa. Wszystko to przypomina raczej nieskoordynowane ruchy cząsteczek mieszanej w szklance herbaty, niż planową gospodarkę. Przyczyna jest łatwa do wykrycia. Państwo projektuje, buduje, tworzy plany i prawa, a ludność przyplływa i odpływa, i lawiruje zależnie od tego gdzie lepiej, gdzie łatwiej, gdzie korzystniej.

Stuhektarowa granica prywatnych gospodarstw na Ziemiach Zachodnich pchnęła tysiące na nowe tereny. Groźba kolektywizacji plus budujący się przemysł wyrwały setki tysięcy młodych z rodzinnych wsi do miast. Każda luka zapełnia się natychmiast chętnymi lepszego, choćby tylko trochę lepszego, życia.

Gdy przychodzą lepsze czasy dla rzemiosła, przestaje się być inżynierem, i otwiera się zakład czegokolwiek. Gdy turystyka się opłaca — otwiera się motel, nawet zaciągając pożyczkę od państwa.

* Twórca Pałacu Kultury i Nauki, i moskiewskiego uniwersytetu.

Po dwudziestu latach socjalistycznej planowej gospodarki najważniejsze pozostały w Polsce prawa jak najbardziej kapitalistyczne. Pieniądze, zarobek, z prawem czy wbrew prawu, są najwyższym dobrem, w którego osiągnięciu pomaga kumoterstwo — ostatnie ludzkie uczucie na drodze do socjalizmu — i znana odmiana:

Ja — tobie,
ty — mnie,
on — nam,
my — wam,
wy — nam,
oni — nam.

Temat właściwie stary jak świat (oczywiście powojenny), bohater niejednego dowcipu, niejednej smutnozabawnej historyjki i niejednego procesu — ale pewnie niewielu rodaków na emigracji zdaje sobie sprawę jak szeroko i jak głęboko ten nowy styl sięga. W zasadzie sprawa łapówek wypływa dopiero wtedy, kiedy o kimś w rozdzielniku zapomniano, i ten ktoś poczuł się dotknięty pominięciem.

Sprawa zaczyna się właściwie od tego, że w Polsce można wszystko, ale to absolutnie wszystko kupić — zależy tylko za ile. Ale to „ile” stoi w kuszącym związku z przeciętnym zarobkiem. To znaczy jeżeli na przykład pracownik stacji benzynowej zarabia 1000 zł miesięcznie, a jedna cytryna na czarnym rynku kosztuje — 20 zł, to albo taki facet nie kupuje cytryny, albo sprzedaje 60-oktanową benzynę po cenie 80-oktanowej i wtedy już może kupić cytrynę. Ekonomicznie prosta historia, i — co tu dużo gadać — zrozumiała. Pytano kiedyś Gomułkę na zebraniu przedwyborczym w jednej z warszawskich fabryk: dla kogo jest w „Delikatesach” francuski koniak po 400 zetał. Odpowiedział wtedy, że on sam jeżeli pije, to polską wódkę, a koniaku nie kupuje. Ale koniak, whisky, gin stoją w sklepach i ktoś je przecież w końcu nabywa, chociaż cena wynosi więcej niż połowę głodowego, oficjalnego minimum egzystencji. Sama pry-

watna inicjatywa nie wystarczy, więc co pewien czas jakiś nowy proces skórzany, piekarniczy, przemysłowy czy inny, wyjaśnia kto wpłaca najwyższe podatki pośrednie do skarbu państwa.

Koniak jest tu oczywiście pretekstem, drobnym przykładem, a przedmiotów kuszących przecież nie brak. Wystarczy się przejść po Chmielnej (przepraszam, Rutkowskiego), po Nowym Świecie i wzdłuż pawilonów prywatnego handlu, żeby zobaczyć ile i na co można wydać w Warszawie pieniędzy: amerykańskie i francuskie kosmetyki, niemieckie, angielskie, amerykańskie elektryczne aparaty do golenia, ciuchy z całego świata, pióra Parkera i Watermana, tytoń angielski i holenderski (50-75 zł za paczkę), zapalniczki Ronsona (ponad 1000 zł), japońskie radia, płyty, instrumenty muzyczne, adaptery, lodówki, telewizory, maszyny do pisania — wszystko po cenach rynkowych zagranicznych... tyle, że przeliczonych po kursie PeKaO, tj. te głupie 72 zł za dolara. + tzw. marża sklepu. Nikt nie wie dokładnie ile jest w Polsce tranzystorowych aparatów, bo nie są rejestrowane, ale słychać je i na Helu i na Zawracie i na Marszałkowskiej.

Wszystkie te przedmioty ktoś więc musi kupować, a mały tranzystor japoński to przeciętnie trzy „patyki”.

Czy trzeba wspomnieć o tym, że w samej Warszawie istnieje kilkanaście punktów (oficjalnych) sprzedaży używanych (i to jeszcze jak!) samochodów, gdzie za niewiele podszykowanego grata prywatny kupiec żąda zależnie od marki, od 60 tysięcy (za Fiata 600) do 300 tysięcy za Mercedesa.

A rynek mieszkań i nieruchomości, na którym niebrzydkie pieniądze robią setki uczciwych i nie bardzo uczciwych pośredników? A coraz bardziej rosnący rynek sprzedaży nieruchomości w Wilnie, Lwowie — oczywiście tylko na papierze i po cenach stanowiących nie więcej niż 10% wartości? (Ostatnio nawet podobno ceny na tym rynku poszły w górę! Czyżby reakcja na spór rosyjsko-chiński?).

Gdy się ma pieniądze można w Polsce wszystko kupić — problem jest tylko, skąd wziąć pieniądze.

Systemów jest mnóstwo, a najprostszym jest oczywiście wykorzystanie zajmowanego stanowiska. Jeśli przedsiębiorstwo państwowe ma prawo zlecenia robót prywatnym wykonawcom, to kierownik inwestycji ma swoją „dole” od prywatniarza, czasem nawet przekraczającą połowę dochodu wykonawcy. I wtedy żona kierownika kupuje wszystko, co się wyżej wymieniło, a pan kierownik miewa samochód. Trzeba dodać, że i prywatni wykonawcy nie krzywdzą siebie, bo przecież pan kierownik inwestycji może wystawić lipne rachunki na zawyżone koszty wykonawstwa. Nie chcemy tu powiedzieć, że wszyscy kierownicy inwestycji zarabiają w ten sposób, ale jest ich na pewno bardzo dużo. Wiadomo, jak trudno jest dostać w Warszawie mieszkanie z przydziału, czyli „z kwaterunku” — ale to tylko tym, którzy są na tyle naiwni albo biedni, by załatwiać sprawę drogą uczciwą i normalną. Ale oprócz tej drogi ciernistej i bardzo długiej, są drogi krótsze. Nie darmo co parę miesięcy zmieniają się kierownicy miejskich kwaterunków, nie darmo utworzono kilkusobowe komisje przydziału mieszkań. Wynik jest w zasadzie tylko jeden: koszt „załatwienia” mieszkania podskoczył parokrotnie: trzeba opłacić teraz całą komisję, a nie pojedynczego faceta jak przedtem... I znów nie znaczy to, że wszyscy w kwaterunku są tacy sami, ale wiemy o niektórych dzielnicowych kwaterunkach, gdzie bez forsy nie należy się w ogóle zbliżać. Obostrzenia kwaterunkowe, obniżenie norm mieszkaniowych, a podniesienie cen elektryczności, ogrzewania i gazu, wpłynęły na niesłychany wzrost cen willi, nieraz trzy i czterokrotnie. Fakt, że domek jednorodzinny o powierzchni do 110 m² jest w zasadzie nietykalny dla władz miejskich, sprawiły, że ceny placów w rejonach nieumiesztowionych (ładne słowo!) są nieraz wyższe niż koszt postawienia domku. Ale i na to są nabywcy.

Dwa systemy dorobienia się już wymieniliśmy, ale

jest ich nieskończenie więcej. Pewien kierownik kiepskiej knajpy w znanej miejscowości wypoczynkowej, pracował tylko trzy lata, by już w tej samej miejscowości wybudować sobie „domek” za przeszło milion złotych, na oczach całego urzędu skarbowego, prokuratury i swoich dawnych (bo z pracy już zrezygnował) przełożonych. I tu dochodzimy do jeszcze jednego systemu zarabiania, tym razem na etacie urzędnika skarbowego. Pewien znany nam właściciel sklepu regularnie płaci 6 do 10 tysięcy złotych miesięcznie w jednym ze stołecznych urzędów skarbowych, tylko po to, by uniknąć domiarów. Urzędnicy się co pewien czas zmieniają (solidarność: niech każdy zarobi!) ale haracz zostaje bez zmian. Niemniej obie strony są z siebie zadowolone, i współpraca układa się harmonijnie. Czasem kupiec jest niedomyślny, albo — co gorsza — skąpy, wtedy są sposoby, by mu przypomnieć, od kogo zależy wysokość domiaru. I wtedy kupiec przywołany do porządku — pokornie i bardzo szybko płaci gdzie i ile trzeba.

Nie darmo się mówiło w Warszawie z okazji głośnego przed paru laty procesu mięsnego, że został on przesunięty na okres po zjeździe partii... bo inaczej nie byłoby na zjeździe quorum. Różne się o tych partyjnych udziałowcach w mieszanej gospodarce polskiej mówi. Wymieniało się nazwiska osób wysoko postawionych w hierachii partyjnej, nawet wyżej, niż się to potem potwierdziło. Przeszło trzydzieści tysięcy usuniętych z partii w roku ubiegłym, to przecież w większości ci, którzy w ten czy inny sposób byli zamieszani w afery gospodarcze.

Przed kilku laty przejechał tranzytem przez Warszawę do Izraela pewien autentyczny kubański Kozak, repatriowany do Polski jako Żyd (jego żona była kuzynką żony pewnego warszawskiego Żyda). Ten facet był na swoim Kubaniu kierownikiem „rajonnych” magazynów tekstylnych. Pewien znawca tamtejszych stosunków (przeszedł edukację na dwuletnim kursie w „pudle” w Astrachaniu, a więc ekspert), oświadczył, że jeśli taki

Kozak po kilkunastu latach nienagannej pracy na tym samym stanowisku, wyjeżdża za granicę i tam zaraz kupuje sporą fabryczkę — to, według jego wiedzy przedmiotu, musiał przez cały ten czas punktualnie opłacać co najmniej 400 osób, w tym cały rejonowy aparat partyjny i władze administracyjne. Procesy ostatnich lat w Polsce wykazały, że nasi rodacy są jeszcze daleko w tyle za „pierwszym krajem socjalizmu” i przejście do komunizmu jest chyba jeszcze dalekie. Brak nam solidarności i akuratności we wnoszeniu odpowiednich opłat...

A jednak robi się wszystko co w ludzkiej mocy, by podnieść stopę życiową w kraju, rozwinąć prywatną motoryzację, i td.

Nie tak dawno wyszło na jaw w Wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej, że któryś z księgowych „dzieli się” z tłumaczami tajnych przekładów, których autorzy pracują na miejscu w redakcji i tylko przy pomocy magnetofonu. (Diabli wiedzą, dlaczego mają one być tajne, skoro są to książki wojskowych autorów zachodnich, dostępne poza tym w oryginale w niejednej państwowej księgarni...) Skandal był publiczną tajemnicą, ale o wylaniu księgowego jakoś się nie słyszało.

Bardziej bezpośrednio łapówki brało parę osób w samym Ministerstwie Spraw Zagranicznych za wysłanie za granicę na takie eksponowane stanowiska jak kierowca, albo niższy urzędnik ambasady. Pewien adwokat zainteresowany w podreperowaniu się na posadzie kancelisty spotkał się wprost z propozycją wpłacenia głupich czterdziestu patyków na fundusz rodziny pewnego niewysokiego urzędnika Departamentu Kadr rzeczonoego MSZ. W innym wypadku niesprecyzowana bliżej suma miała mieć błogosławione skutki w przypadku pewnego gentlemana, któremu marzyła się egzotyka pracy w Komisji Kontroli w Laosie. Propozycję odrzucił zanim doszło do wymienienia sumy — nawet nie ze wstrętu, ale z braku funduszków. Na powyższe tematy mógłby pewnie coś niecoś powiedzieć ambasador PRL w Izraelu, a były dyrek-

tor Departamentu Kadr MSZ, towarzysz Puta. Przecież niemożliwe, żeby nie wiedział, co się w jego departamencie działo?

Jeżeli jesteśmy przy MSZ, to trzeba powiedzieć, że wcale nie lepiej, jeżeli nie gorzej działo się i dzieje na placówkach. Przez ładnych parę lat były wiceminister kultury, Piotrowski, był opłacany przez kierowniczkę punktu sprzedaży w polskim Ośrodku Kulturalnym, za wolną rękę w handlu. Pani Formankova, Polka z pochodzenia, a żona wysokiego urzędnika Ministerstwa Handlu Zagranicznego CSSR, a może Vnitrnej Bezpiecności (a najpewniej obu naraz) była poza tym wiernym szpiclem tegoż radcy, a także samego ambasadora Mazura, który bez tego rodzaju pomocy po prostu nie wyobraża sobie życia. Wcale nie lepiej rządził się kierownik podobnego ośrodka w Berlinie Wschodnim, gdzie też jest punkt sprzedaży i także jest czym pohandlować. Tacy ludzie są zawsze na tyle dobrze obstawieni, że im się krzywda nie stanie, natomiast ten, co aferę wykryje może się pożegnać z posadą — jak to miało miejsce w wypadku berlińskim.

Ale opuśćmy już *high-life* i wróćmy do ludu. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że nie ma lepszego *business'u*, niż być bufetową i to w knajpie najgorszego gatunku, czyli tzw. „mordowni”. Tam gdzie za brudną szybą bufetu leży zakurzony ser i spleśniałe dzwonka śledzia w oliwie — wódka najpewniej leje się najszerszym strumieniem. I tutaj jest kilka punktów, ruchów i posunięć, które napędzają pieniądze do kieszeni. A więc po pierwsze: nalewanie, uważne!, ćwiartek z litrówek (w litrowej butelce jest zawsze pewien niewielki margines „na rozlew”), z litrówek przyniesionych z domu (tańsza wódka, bo sklepowa, a pieczętkę „Gastronomiczna” przecież łatwo sobie zamówić), nie do pełna, no i oczywiście niższego gatunku niż zamówiony. Taka operacja — rzecz nie do wiary, ale jednak prawdziwa — może w jednej knajpie przynieść dochód do kilku tysięcy złotych dziennie! Stanowiska bufetowych (podobnie jak szatnia-

rzy, zwłaszcza w nocnych lokalach) są otrzymywane za odstępem, które się wpłaca ustępującej, a czasem ponadto również kierownikowi, jeżeli nie ma on dyskretnej umowy bezpośredniej. Ponieważ spożycie alkoholu w Polsce prawie nie spada — trzeba się liczyć z tym, że liczba zamożnych niewiast w wieku pod- i trolleybusowym* będzie nadal wzrastać.

Nie ma w zasadzie dziedziny życia, gdzie nie dotarłaby wiedza o zdobywaniu chleba smarowanego z obu stron. A jeśli ktoś wykazuje zupełny antytalent, albo — o zgrozo — nie ma takich możliwości, to pozostaje mu liczyć na cud, czyli, jak to kiedyś ładnie powiedział p. Antoni Słonimski: że raz wreszcie przed kioskiem z papierosami pojawi się ktoś, kto położy pięćsetkę, poprosi o zapalki i nie zażąda reszty...

Jeżeli nie ma możliwości, to zostają już tylko marzenia, bo te przynajmniej nic nie kosztują. A pieniądze dla handlowych geniuszów leżą po prostu na ulicy. Znana jest w całej Polsce historia gentlemana, który wykupił w sklepach w całym kraju spoczywające tam beczynnie dziesiątki tysięcy butelek z popularnym a bardzo tanim żurem. Co z nimi zrobić? Proste. Żur wylał a butelki sprzedał z wysokim zarobkiem w punktach skupu „opakowań szklanych”. Transakcja była tak legalna, że nawet prokurator nie mógł się dopatrzeć niczego bezprawnego.

A gdyby nawet bezprawie, to czy władze się nim nie posługują? To są publiczne tajemnice — i każdy wie, że ministerstwo Skarbu ma własną sieć waluciarzy, skupujących wolne dolary po hotelach i barach dla rzeczono-go ministerstwa w zamian za swobodę uprawiania handlu — a milicja ściga tylko „dzikich” i nie „licencjonowanych”. Kiedy przed kilku laty trzeba było dokonać pilnej zapłaty za jakieś bliżej nieznanne usługi bliżej nieznanego osobie — sama Bezpieka pozbiierała ze znanych sobie miejsc handlarzy złotem i dewizami i... kupiła od nich

* Gdyby ktoś nie wiedział, to trolleybusy w Warszawie kursują na liniach oznaczonych numerami od 50 w górę.

potrzebne ilości towaru po bieżącym, rzetelnie obliczonym kursie!

Pewien znajomy hodowca drobiu, kiedy jego cenna eksportowa hodowla została zagrożona epidemią usłyszał z ust urzędnika odpowiedzialnego za tę gałąź gospodarki: „my terramycyny nie mamy, kup pan w PeKaO. Co? że nie ma pan dolarów? to kup je pan na Czackiego, nie wiesz pan gdzie? każdy milicjant pokaże”.

II.

Jest regułą w Polsce, że właściwie nikt nie żyje z oficjalnego dochodu, toteż jeżeli ktoś przyznaje się do dwu tysięcy pensji, oznacza to, że jego dochód wynosi co najmniej dwa razy tyle, nie licząc tego, co zarobi żona, i różnych chałtur i fuch na boku. To dotyczy tych, którzy nie mają możliwości brania łapówek, albo jak się mówi popularnie: dokł(r)adania.

Te formy ubocznego zarobku mogą być najrozmaitsze, zależnie od wykonywanego zawodu i kwalifikacji. Jeżeli się jest urzędniczką — to przepisuje się w domu na maszynie teksty biurowe. Jeżeli się jest murarzem, to soboty i niedziele spędza się na prywatnych podmiejskich budowach. Jeżeli hydraulikiem, elektrykiem, czy stolarzem — jak wyżej. Jeżeli lekarzem — to, mimo ograniczeń i zakazów, ma się parę, lub nawet kilka posad, w większości przewidujących pełny wymiar godzin. Tak samo bywa z inżynierami, ekonomistami, prawnikami, którzy obok posady podstawowej mieszkają po kilka radcostw, póletatów, ćwierćetatów czy ryczałtów. I nikt się nie dziwi, że na przykład ekonomista w chwilach wolnych bywa specjalistą od wiercenia studzien, naturalnie w teorii, a księgowy szyje w domu kozaczki dla prywatnego sklepu z obuwem, taksówkarz dorabia polowaniem na wilki (tysiąc zł. za parę uszu), a inżynier handluje biletami, na przykład na mecze bokserskie swego klubu.

Osobne źródło dochodu stanowi turystyka, choćby do krajów środkowo-wschodniej czy południowo-wschodniej Europy. Są panie (bo to nie wiadomo czemu przede wszystkim damska specjalność), które nigdzie nie pracując, żyją wyłącznie z wyjazdów do Bułgarii, Czechosłowacji, Węgier czy Związku Radzieckiego, przy czym wiedza o tym co się i gdzie kupuje, co przywozi, i co i gdzie sprzedaje, zajęłaby spory wolumen. Wiadomo, że w Czechosłowacji idą amerykańskie papierosy, o które łatwo w Polsce, wedłowska czekolada, spirytus, niektóre wyroby plastikowe, — a w Bułgarii, części do zegarków, zegarki, bielizna damska, białe koszule męskie, zaś w Związku Radzieckim wszystko — do tego stopnia wszystko, że futro nylonowe można wymienić na dobre prawdziwe.

Co się skąd przywozi, to znów prawdziwa wiedza: końcówki do piór kulkowych z Anglii, sweterki z Francji, obuwie z Włoch, Jugosławii i Węgier, kożuszki z Bułgarii i Jugosławii, a ostatnio żółwie i nawet osiołki (jakby mało było na miejscu).

Chiny wstrzymały przed kilku laty napływ wycieczek z Polski, nie z przyczyn politycznych, ale kiedy przy rewizji na granicy znaleziono w bagażu turystów paręset kilogramów zabytków sztuki chińskiej znajdujących się pod ochroną. Podobne zakazy wywozowe obowiązują i w Polsce, ale od czego pomysłowość. Nie wolno wywozić ikon? Dostaje się zezwolenie na wywóz jakiegoś przedstawionego w Muzeum Narodowym kiczu, a potem z tym zezwoleniem wywozi się do Wiednia Świętego Mikołę Czudotworca gwizdniętego gdzieś z bieszczadzkiej zrujnowanej cerkiewki. Poznikały już stare świątki z przydrożnych kapliczek, wyszabrowane przez kolekcjonerów grasujących nocą z gipsowym świętym Antonim pod pachą, którego podstawią się w miejsce parusetletniej rzeźby — *fair play* obowiązuje.

Przedmioty prywatnego importu i eksportu zmieniają się zależnie od koniunktury i tylko można podziwiać

zorientowanie turystycznych handlowców w potrzebach rynku i możliwościach lokalnej produkcji. Rezultaty i zasięg orbisowskich i prywatnych wycieczek można zawsze sprawdzić zachodząc do kilku sklepów komisowych w paru większych miastach Polski. Handel prowadzony na tak wielką skalę nie może ująć uwagi służby celnej, toteż chyba istnieją jakieś umowy w tym względzie. W okresie Października i po Październiku 1956, egzemplarz *Życia Warszawy* i *Filmu* wręczony celnikowi czeskiemu pozwalał zahandlować resztą pełnej prasy walizy na praskim Hlavnim Nadrazi. Obietnica przywiezienia hula-hoop dla córki celnika, kończyła kontrolę przynajmniej po stronie czeskiej. Celnicy polscy wydają się bardziej luksusowi, jakby to wynikało z paru procesów.

Handel jest oczywiście obustronny, bo również Polska wydaje się niektórym turystom z państw ościennych rajem *shopping*'u. Nie tylko wydawnictwa zachodnie, tak szeroko i łatwo dostępne, wabią oko przybyszów ze Związku Radzieckiego czy Czechosłowacji, ale także, na przykład w Zakopanem, po odjeździe czechosłowackich autobusów wycieczkowych, nie uświadczysz na targu cebuli, a na przednówku — ziemniaków. Łatwiej o polskie kurczęta w czeskim Cieszynie, niż w polskim, a goście z NRD rzucają się na kawę i herbatę w *Delikatesach*. Farsz z radzieckich Pociągów Przyjaźni grupuje się głównie przed wystawami sklepów z obuwiem kontemplując w niemym zachwycie szmatławą polską produkcję, która widać jednak wydaje się szczytem elegancji obywatelom zza Bugu.

Każdy ma taki Zachód, na jaki zasługuje.

Pewien ważny Mongoł zeznał kiedyś prostodusznie, zapytany czy był już kiedy w Polsce: *Niet, ja pierwyj raz w Jewropie. W Moskwie uże był, no w Jewropie jeszczó nikakda!*

Geografia wycieczkowa obejmuje oczywiście i Mongolię, skąd przywozi się wełnę wielbłądzią i elektryczne maszynki do golenia, które wśród ludu o wątlym zaros-

cie, a bez prądu w jurtach, nie znajdują wielu nabywców, a odznaczają się rewelacyjnie niską ceną.

Ten instynkt handlowy, tak silnie rozwinięty w krajach budujących socjalizm, znalazł pełne zrozumienie w handlowym świecie kapitalistycznym. Toteż w miastach zachodniej Europy nawiedzanych przez turystyczną stonkę istnieją sklepy zaopatrzone w towar wymarzony: wybrakowane koszule *non-iron*, sweterki, apaszki — wszystko handlowane nawet w tubylczym języku nabywców. Są takie sklepy w Kopenhadze (Batory!), w Sztokholmie, a przede wszystkim w Wiedniu, przez który przejeżdżają liczne wycieczki polskie w drodze do Jugosławii i jeszcze liczniejsze z Czechosłowacji i Węgier.

Turystyka handlowa to oczywiście margines zarobkowy, choć tak mile i właściwie niedrogo, łączy wypoczynek z pożytkiem. Na codzienny dochód musi się złożyć codzienny trud chałturzenia.

Wiadomo, że państwo było łaskawe przed jakimś czasem podnieść dolną granicę zarobku z głodowych pięciuset zeteł, do równie głodowych siedmiuset pięćdziesięciu. Ale rzecz ciekawa, że chociaż załatwiło się to z całym majestatem prawa, urzędy skarbowe mają swoje własne wyliczenie, ile obywatel musi miesięcznie wydać, by wyglądał zdrowo i nieźle się czuł. Do różnic poglądów w tej materii dochodzi zazwyczaj przy okazji zeznawania, skąd na przykład biedny poeta mógł sobie pozwolić raptem na zakup samochodu. I wcale nie pomaga tłumaczenie, że facet zarabia dwa patyki, a żył z żoną i dwojgiem dzieci z tych siedmiuset, jak towarzysz minister finansów przykazał. W mózgu urzędników rodzą się mimo to podejrzenia, że ów członek Związku Literatów Polskich zataja jakieś boki, za co warto może by mu rąbnąć domiar. Ale nie wolno, poeta jest poetą, i ma odgórne błogosławieństwo na ulgę podatkową „od twórczości artystycznej”. Gdyby trafiło to na prywaciarza — co innego. Wtedy urząd ma całkowitą, nieskrępowaną swobodę wy-

rażania swych opinii — i biada ludziom małej szybkości kojarzeń...

Dodatkową korzyścią z posiadania ubocznych dochodów jest fakt, że takie boki wymykają się spod kontroli władz fiskalnych, pozostawiając czysty, nieobciążony dochód, który tak łatwo wymienić na dobra powszechnie dostępne ludziom względnie zamożnym. To wszystko wydaje się tajemnicą skrytą za siedmioma zasłonami dla przeciętnego zagranicznego dziennikarza, który w dobrze ubranym gentlemanie siedzącym za kierownicą Simci, gotów jest dopatrywać się co najmniej kandydata na miejsce Gomułki — gdy tymczasem gentleman albo hoduje kalafiora, albo teoretycznie wierci studnie, albo ma wujka w Kalifornii.

I tu dochodzimy do jeszcze jednego niebrzydkiego źródła dochodów: rodzina za granicą. Najlepiej ta ze starej emigracji, którą dobrze jest czasem podstraszyć na tyle, żeby nie odważyła się przyjechać i na własne oczy zobaczyć, że siostrzeniec nie obgryza kości po śmietnikach, ale nadesłane kapitały potrafił dobrze zużytkować i chyttrze pomnożyć. Takie rezultaty były chyba z góry zamierzone przez państwo, skoro sama nazwa Polska Kasa Opieki zakłada zagraniczną pomoc dla krajowej nędzy. A dochody z tego tytułu muszą być niemałe, jeżeli opłaciło się państwu otworzyć filie PeKaO w każdym mieście wojewódzkim, a nawet w paru powiatowych, i ponadto stworzyć osobną organizację handlu zagranicznego zaopatrującą sklepy dewizowe w towar zagraniczny.

Wokół tych sklepów utworzył się cały legalny i nielegalny handel i przemysł zaopatrujący prywatnych sklepikarzy w towar dla bezdolarowych obywateli, a rzemiosło w, inaczej niedostępne, surowce. Niejeden domek jednorodzinny, niejedno mieszkanie czy hektar gruntu znalazły się przy pomocy rodziny w rękach tubylców, a ilości napływających dolarów i funtów wydają się państwu tak niewyczerpane, że nawet o polską eksportową wódkę trudno poza sklepami dewizowymi.

Z tym wszystkim są w Polsce zawody, w których zarabia się dobrze, takie jak górnictwo, hutnictwo, budowa statków — zawody, które wywalczyły sobie karty przywilejów. Wprawdzie górnictwo dopiero co wygrzebało się z okresu, kiedy do kopalń zsyłano niegrzecznych, co wcale nie wpłynęło na popularność tego godnego najwyższego szacunku zawodu — ale atrakcyjność finansowa pozwala zapomnieć o zbrodniczych bzdurach stalinizmu. Dobrze płacą nowe przemysły, takie jak elektroniczny, jądrowy — po staremu dochodowe jest adwokacenie, choćby nawet w zespołach, prywatna praktyka lekarska, no i właściwie wszystko, co jest jeszcze prywatne.

Natomiast do legend trzeba zaliczyć rzekome wysokie dochody pisarzy, dziennikarzy, artystów — z wyłączeniem kompozytorów i tekściarzy piosenek, którym do twórczości nie potrzebny jest w nadmiarze, najrzadszy na rynku produkt: papier. Wcale nie lepiej dzieje się malarzom sztalugowym i rzeźbiarzom, tym ostatnim zwłaszcza od czasu jak się skończył soc-realizm z kamiennymi potworkami, i odbudowa starówek. Zapotrzebowanie na biusty Stalina jest właściwie dziś minimalne, a proponowane kiedyś przez Słonimskiego załączanie popiersia w gipsie do podania o paszport zagraniczny dla bezpartyjnych — nie przeszło.

Kiedy przed laty posadzono na Marszałkowskiej kilkunastoletnie lipy i owinięto im pnie szmatami — rozeszły się pogłoski, że to dlatego, by plastycy kory nie obgryzali. To samo na dobrą sprawę może się odnosić do poetów, którzy mają coraz mniejsze możliwości wydania wątłych tomików, a pisma periodyczne mają większe kłopoty, niż zamieszczanie wierszy.

Po tym co się powyżej napisało, prosi się pytanie, jaka właściwie jest stopa życiowa, czyli inaczej mówiąc stosunek zarobków do cen rynkowych. Trzeba zacząć chyba od tego, że podatek od uposażeń jest w porównaniu z Zachodem bardzo niski, tak samo jak, mimo ostatnich podwyżek, niskie są czynsze mieszkaniowe, często wyno-

szące poniżej 10% miesięcznego budżetu. Podatki najlepsze, to podatki pośrednie, przy czym pojęciem luksusu, a więc i wyższym opodatkowaniem, objęte są nie tylko samochody, ale także kwiaty i słodycze. Koszty utrzymania wzrastają z miesiąca na miesiąc, nie czekając na oficjalnie ogłaszane podwyżki cen artykułów spożywczych. W tym względzie istnieje niemłoda już praktyka stosowana właściwie przez cały przemysł nie tylko spożywczy, a mianowicie, że w miejsce artykułu dobrego, ale zwykłego, wprowadza się lepszy: extra, super, albo luksusowy, przy czym zwykły przestaje już się pojawiać na rynku. Tak było z dziesiątkami gatunków papierosów, tak jest z mięsem gatunku extra, albo najbardziej wymyślnymi kiełbasami, w których jest coraz mniej wieprzowiny, a coraz więcej wody, ale za to cena wpływa na podniesienie się stopy (wydatków) klientów.

Wyrażenie „drenaż” nie jest pomysłem satyryka, ani wroga ludu, lecz pojęciem ekonomicznym, popularnym na Świętokrzyskiej (tam się mieści Ministerstwo Finansów). Ma on na celu ściągnięcie z rynku nadmiaru pieniędzy poprzez rzucenie do sprzedaży towarów luksusowych, przynajmniej nominalnie. Tak więc i słowo luksus się znacznie zdewaluowało, bo luksusowa może być nawet chałwa, albo proszek do prania, a to co miewa *Gallux* w swoich kilkunastu stołecznych sklepach, to miewał w lepszym gatunku i większym wyborze, pan Figowy na przedwojennej Świętokrzyskiej.

Dość stary i ponury dowcip, wedle którego kandydat na pomoc księgowego żądał złotych 1080 zamiast proponowanego 1000, motywując to takim wyliczeniem: mam żonę i dziecko, a więc na śniadanie musimy mieć

mleko i bułki, tj.	6 zł.
na obiad zupa i chleb . .	24 zł.
na kolację mleko i bułki	6 zł.

Razem 36 zł. × 30 dni = 1080 zł.

— nie jest niestety daleki od prawdy. Przecież niemało jest ludzi pracujących cały miesiąc za 1000 złotych. Ale kiedy na którymś tam plenum podsunęto to wyliczenie Gomułce, ten nie zrozumiał, albo zrozumieć nie chciał. Dodajmy jeszcze, że za byle jakie ubranie w sklepie zapłaci się powyżej tysiąca, a za zamówione u krawca — około pięciu tysięcy. Za buty — od trzystu do ośmiuset złotych, przy czym u prywatnych szewców można stracić nawet ponad dwa tysiące. Zwykła koszula męska — dwieście pięćdziesiąt zł., a zagraniczna *non-iron* do tysiąca. Dla ludzi nie wyleczonych z kompleksów, futro będzie od pięciu tysięcy w górę, a smoking „jedne osiem patyków”. Panie są jak zawsze szczęśliwsze, bo mogą się ubrać taniej i nieporównanie lepiej, czy to szyjąc same czy u niedrogich krawcowych, czy wreszcie nabywając rzeczy gotowe w *Galluxie* czy „maison Ciuch”, w Krakowie nazywającym się tandetą. W lecie nie uświadczysz pani na ulicy w pończochach, nie tylko dlatego, że ciepło, ale że byle jakie stylony kosztują 70 zł, a zagraniczne nawet do dwustu. Jeżeli porównać, że dobry obiad w *Grand Hotelu*, na dwie osoby, z alkoholem, będzie kosztował około setki — to jasne się stanie, że obywatel zawaha się na czym ma właściwie oszczędzać. Jeżeli przyjąć jako orientacyjną podstawę zarobek kapryśnego księgowego z dowcipu, to co najmniej egzotyczne wydadzą się niektóre inne ceny, np. obiektów takich jak wille w Zakopanym czy na Saskiej Kępie, idące od ręki po cenach o rozpiętości od pięciuset tysięcy do półtora miliona — Mercedesy i Volvo po trzysta tysięcy, a z drobniejszych: telewizory od sześciu do czternastu, albo choćby banany po trzydzieści złotych kilo, co bywa niemałym wydatkiem dla wielu ludzi.

Biedny stypendysta, który siedząc na Zachodzie przez parę miesięcy, ciułał grosz do grosza, nie będzie dobrze zrozumiany, gdy opowie w domu, że z nędzy żył bananami i czekoladą.

Nul n'est prophète dans son pays...

III.

W ciągu kilkunastu lat kosztem kolosalnych wyrzeceń całego społeczeństwa, wybudowano w Polsce wielki i nowoczesny przemysł, choć nie zawsze w najlepszej zgodzie z polskimi potrzebami i możliwościami. Nisko-procentowe rudy żelazne z ubogich polskich złóż nie napełnią wysokich pieców Nowej Huty, częstochowskiej Huty Bieruta, Huty Warszawa, czy wielu innych. Surowiec trzeba sprowadzić z zagranicy, a przede wszystkim ze Związku Radzieckiego. Nowohuckie piece zostały przystosowane do wytopu krzyworskiej rudy, zdając w ten sposób polskie hutnictwo na łaskę wschodniego sąsiada. Podobnie stało się z rurociągiem Przyjaźń, którego polska odnoga kończy swój bieg w Płocku. Nota bene, trzeba trafu, że mniej więcej równocześnie odkryto wcale bogate złoża roponośne koło Krosna Nadodrzańskiego — ale z tym nie ma kłopotu, jak mówią wtajemniczeni, czy złośliwi: jak będzie za dużo ropy, to najwyższej kurek w rurociągu przekreśli się w drugą stronę...

W okresie planu sześcioletniego budowano przemysł nie zawsze w miejscach predestynowanych do tego przez naturę. Czasem, jak w wypadku Nowej Huty, cele były jak najbardziej polityczne. Chodziło mianowicie o dola nie świeżej, proletariackiej krwi do starego zmurszałego Krakowa. I Kraków się zemścił straszliwie. Ale Nowa Huta, gigant produkujący prawie trzy miliony ton stali i ponad pięćset rozmaitych produktów i półproduktów ubocznych, ma również bardziej przyziemne kłopoty, niż dolewanie proletariackiej krwi — mianowicie do chłodzenia pieców musi dolewać wody. A wody nie ma. Wątpa podkrakowska Wisła nie wystarcza. Sytuacja nie nowa — działo się już tak od dawna na Śląsku, ale pod Krakowem nie musiało, gdyby w sprawie lokalizacji Nowej Huty mieli więcej do powiedzenia fachowcy od stali, a mniej od polityki.

Całkiem niespodziewanie Polska stała się jednym z

najpoważniejszych na świecie producentów statków pełnomorskich. W Gdańsku, Gdyni, Szczecinie powstały stocznie z prawdziwego zdarzenia i właściwie z niczego. Co do ich powstania są dwie wersje podawane zależnie od tego, komu się je do wierzenia podaje. Jeżeli komuś z „demoludów”, to oczywiście zdecydowała tu „pomoc, przyjaźń i przykład Związku Radzieckiego”, a jeżeli to ktoś z Zachodu — podaje się wersję prawdziwą o paru zapaleńcach, którzy ukończywszy studia w zakresie budowy statków w czasie wojny w Anglii, wrócili do kraju i wydało im się ładne, gdyby tak spróbować budować w domu. Zaczęli sami, bo władze nie okazały wielkiego zrozumienia i potraktowały to trochę jak awanturnictwo, i nie sypnęły groszem zbyt szczerze. A mimo to, w ciągu kilkunastu lat ludzie ci doszli nie tylko do tego, że na poniemieckich ruinach, w dzisiejszych od podstaw zbudowanych nowoczesnych stoczniach mogą budować czterdziestotysięczniki jak w Gdyni, albo wodować salwę dziesięciu statków jednocześnie jak w Gdańsku, albo jako jedyny, obok Japonii, kraj, produkować rybackie bazy-przetwórnice, ale także stworzyli na gdańskiej politechnice wydział budowy statków, który ma w świecie niemalą sławę i uczęszczany jest licznie przez cudzoziemskich studentów.

Polscy geolodzy uparli się, że Polska musi, no, po prostu musi, mieć więcej kopalin, niż tylko węgla. I przekopali ziemię, która wynagrodziła ich upór miedzią pod Głogowem, naftą pod Krosnem i siarką w Tarnobrzegu. Te odkrycia przekonały nareszcie kogo trzeba, że przyszłością polskiego przemysłu powinna być chemia, tak po macoszemu potraktowana przez mincowskich planistów.

A więc produkuje się w Polsce statki, wyroby chemiczne, samoloty odrzutowe, samochody osobowe, ciężarowe, skutery, włókna sztuczne, polistyreny, kauczuk syntetyczny, lodówki, radia, telewizory, stal, miedź,

aluminium, cynę, cynk, ołów — nawet gwoździe i blaszane wiadra pokazały się w sklepach.

W zasadzie sytuacja nie powinna być w Polsce zła, skoro kraj stał się ojczyzną naprawdę nowoczesnego i szeroko rozbudowanego przemysłu. Ale obok przemysłu istnieje jeszcze handel, który w wypadku Polski obraca się przede wszystkim w granicach zakreślonych przez Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej z siedzibą w Moskwie. Dawniej w czasach węglowo-stalinowskiej niesprawiedliwości mawiało się przy wódce: „No to zdrowie polskich kolejarzy. Bo żeby nie oni, to byśmy musieli węgiel kubełkami na granicę radziecką nosić”. — Dziś się mówi, że lepiej sprzedawać na wschód statki, bo przynajmniej same płyną.

W każdym dowcipie jest niestety więcej niż ziarno prawdy. Buduje się w kraju bazy-przetwórnice, ale polscy rybacy własnymi środkami i domowym sposobem przystosowują swoje statki, bo bazy jak dotąd buduje się tylko na zamówienie Związku Radzieckiego.

Przed dwoma laty Polska podpisała ze wschodnim sąsiadem nową umowę na dostarczenie bodajże stusiedemdziesięciupięciu statków w ciągu najbliższych lat. Dla stoczni i stoczniowców to na pewno dobrze, bo nie będzie przestojów, plany będą wykonane, a razem z planem i wysokie wypłaty. Ale państwo, chociaż Związek Radziecki płaci całkiem nieźle, państwo na tym interesie straci. Normalną koleją rzeczy na rynkach Zachodniej Europy pojawią się zwiększone dostawy polskich szynek, kiełbas, gęsi i masła, żeby zapłacić za sprzęt nawigacyjny potrzebny do wyposażenia sprzedawanych za ruble statków. Radziecki odbiorca jest luksusowy, żąda zachodniemieckich albo angielskich radarów — chociaż Polska je też produkuje — urządzeń radiowych, radiosond i t.d., mesy chce mieć nawet z krzesłami we wzorek — o zgrozo — abstrakcyjny, i wyściełane gąbką winylową. A ponieważ w panującym ustroju ekonomicznym

wszystko idzie z jednej kieszeni — zapłaci za to zwykły, szary konsument.

W tej sytuacji Polska musi kupić czasem jeden i drugi statek za granicą, choćby za dewizy. A jeśli w ramach RWPG, to na przykład w tak morskim kraju jak Węgry, o których kiedyś napisał Jerzy Waldorff, że mają dwa tytuły do mianowania się państwem morskim: jeden, że miały szefa państwa admirała, i drugi, że sprzedady Polsce *Mazowsze*.

To *Mazowsze* stało się niemal symbolem handlu polsko-węgierskiego, będąc statkiem, którego środek ciężkości leżał chyba na pokładzie, bo mówiono, że położenie młotka na burcie już łajbę przechylało. Facet bezpośrednio za zakup odpowiedzialny zarobił na transakcji osiem lat, o czym zresztą prasa nie donosiła, a kraj wydał niemałe pieniądze, by *Mazowsze* mogło bez narażania pasażerów na niebezpieczeństwo, wyjść za falochronny. Po kilku latach na statku przestały działać urządzenia elektryczne, co dało powód do odkrycia, że bracia Węgrzy użyli na statku kabli zwykłych, a więc nie odpornych na sól. Wiadomo, Dunaj nie jest słony.

Nie lepiej wyglądały inne dostawy węgierskie: rozsypujące się autobusy Mavag na podwoziach ciężarówek, a więc w minimalnym stopniu resorowanych; nieruchome ruchome schody w warszawskim *Centralnym Domu Towarowym*, lokomotywy spalinowe, które miały być górskie i spaliły się na pierwszej próbnej jeździe z Krakowa do Zakopanego; wreszcie ciężkie traktory leśne, które są rzeczywiście tak ciężkie, że mogą poruszać się głównie po szosach i to tylko dobrych. Lepiej wygląda nasz handel na przykład z Bułgarią, bo to, co ten kraj ma do zaoferowania, cieszy się w Polsce dużą popularnością. Niemniej wysyłanie supernowoczesnych obrabiarów, samochodów i sprzętu tele-radio-elektronicznego w zamian za sok pomidorowy i owoce, nie daje wielkich dochodów. A swoją drogą ile kilogramów brzoskwiń

można dostać za rewolwerówkę? albo ile puszek soku jest wart trzytonowy Star?

Jeszcze mniej ma do wymiany Rumunia, której produkcja na pewno potrzebnej Polsce ropy naftowej znika na wschód od ujścia Dunaju. Związek Radziecki dostarcza nam jak wiadomo głównie surowców, maszyn dla ciężkiego przemysłu, a z dóbr konsumpcyjnych na polskim rynku widuje się poza lodówkami Saratow i robotami kuchennymi, przede wszystkim ryskie szproty, zapalki i perfumy „Krasnaja Moskwa” we flakonach w kształcie kremłowskiej wieży. Poza tym chyba jeszcze wojsko do garnizonów pod Legnicą i w Świnoujściu, oraz prasę, z której tylko *Krokodil* jest powszechnie czytany, jako jedyne poważne źródło informacji o Kraju Rad.

W obecnej sytuacji jedynie Czechosłowacja i NRD są odpowiednimi partnerami handlowymi, choć właśnie one z kolei mogłyby się żalić na jakość polskich towarów eksportowych. Czechosłowacja, jak tego dowodzi niedawno dodane drugie S w oficjalnej nazwie państwa, zbudowała już u siebie socjalizm, i zasuwa w kierunku komunizmu. W związku z tym zapewne, dla podciągnięcia swego północnego sąsiada, zawarła CSSR umowy z Polską o wspólnej produkcji traktorów i autobusów, a na przyszłość popularnego taniego samochodu osobowego.

Ponieważ w tej części Europy nie może nic być bez „ale”, zdarzyło się tak, że podwarszawski Ursus opracował i wprowadził do produkcji przy niemałym koszcie przebudowy i przystosowania swego parku maszynowego, nowy typ traktora. NB traktora nowoczesnego i bardzo dobrego. Rezultat? Park maszynowy trzeba było znów przestawić na inny model, tym razem na czeskiego Zetora. A wszystko na przestrzeni dosłownie kilku miesięcy.

W ogóle z przemysłem motoryzacyjnym nie szczęści się Polsce. Pertraktowano kiedyś, zanim powstał Żerań, z turyńskim Fiatem o licencję, co jak powszechnie wiadomo skończyło się na przyjęciu korzystniejszej (chyba

tak?) oferty produkowania przestarzałej o niemałe lata rosyjskiej Pobjedy. Związek Radziecki dostarczył więc maszyny model 1938 i rozpoczęto produkcję, do której potrzeba więcej robotników, niż wypuszcza się rocznie samochodów. Niemniej nie należy się krzywić na Żerań — odegrał niemałą rolę w Październiku, a że produkuje jeden z dwóch na rynku światowym znajdujących się samochodów o ręcznie klepanej karoserii — Syrena i Rolls-Royce — to nie jego wina. Dziś po kilkunastu latach — z czego Tito i jego system były przez ładne parę lat wyklęte — sprowadza się do Polski właśnie z Jugosławii produkowane tam Zastawy, czyli nic innego jak licencjonowane Fiaty. Ba, nawet pierwszy kraj socjalizmu pertraktuje z Turynem, od czasu jak źle skopiowany z Fiata 600 Zaporozec okazał się fiaskiem. Nawet zerznąć trzeba umieć! Mało tego, mówi się w Polsce, że na miejscu, w kraju, będzie się montować te samochody, które kiedyś można było mieć łatwo i bez większych kłopotów.

Lubelska Fabryka Samochodów Ciężarowych rozpoczęła swoje istnienie od wypuszczenia kilkuset ciężarówek budowanych na licencji radzieckiej, które zresztą nie były niczym innym jak przodującą (bo radziecką) wersją starej amerykańskiej ciężarówki wojskowej. Ale tam zorientowano się szybko i nawet ktoś miał odwagę, by produkcję wraka zarzucić, a rozpocząć budowę naprawdę dobrych *pick-up*'ów Żuk.

A swoją drogą taki Ford, albo właściciel fabryk Vespy czy Lambretty, gdyby pokazał się w Polsce — to po roku wyszedłby z torbami, skoro na przykład do każdej popularnej WFMki państwo dopłaca prawie dwa i pół złotego za każdy centymetr pojemności silnika. Dobrze jeszcze, że to tylko stodwudziestkapiątka. Jak się kalkulują koszty Warszaw dokładnie nie wiadomo.

Nie ma dnia, żeby prasa nie przyniosła optymistycznej wiadomości o tym ile jakież tam usprawnienie produkcji da złotych oszczędności w skali rocznej. Nikt

jednak nie pokusił się o zsumowanie tych liczb na przestrzeni roku, bo wtedy mogłoby się na przykład okazać, że w wyniku tych oszczędności, przemysł polski będzie produkować wkrótce darmo. I trzeba przyjąć albo taką ewentualność, albo, że prasa, jak mawiał Bolesław Prus — kalospintechromokrenizuje.

Nie daj Boże być w Polsce wynalazcą. To westchnienie jest niestety jak najbardziej uzasadnione. Przed parunastu laty pętał się po biurach, ministerstwach, redakcjach, posiwiał od trosk inżynier Różycki, maniak, który wszystkim usiłował wmówić, że wynalazł silnik spalinowy oparty na zupełnie nowych zasadach. Wynalazek jednak opatentował, nawet wysupłał jakieś dewizy, by zabezpieczyć sobie prawa za granicą. Ale potem funduszów na przedłużanie patentu nie starczyło, a zdrowie nie pozwalało już na dłuższe przekomarzanie się z władzami. Na jego szczęście, inżynier Różycki nie dożył wprowadzenia do produkcji silnika identycznego, jak jego wynalazku, który dziś się nazywa na świecie silnikiem Wankla.

Bywa też, że kraj sprzedaje na pniu „absolutnie nieprzydatny” patent za granicę, by go potem odkupić za ciężkie dewizy jako patent amerykański, angielski, albo zachodnio-niemiecki, jak się to zdarzyło przed dawnym czasem z nową metodą wywołania i powielania taśmy filmowej przy świetle dziennym. Rewelacyjny Kret, urządzenie służące do przeciągania kabli pod ulicami, torami, czy nasypami, bez konieczności rozkopywania — poszedł w zapomnienie, i dopiero niedawno któryś z amerykańskich magazynów doniósł o nim jako o rewelacyjnym wynalazku, ale nie wspomniał, że to patent polski. Nie wiadomo właściwie jakie były losy Kreta, bo w kraju nadal przy każdej okazji raczej furczą łopaty.

Jeżeli którykolwiek wynalazek przynosi oszczędności, to robione są one przede wszystkim na samym wynalazcy, bo patent stanowi przecież własność państwa, a wynalazcy odpala się parę tysięcy na uspokojenie zszarpanych

patentową biurokracją nerwów. A losy samego wynalazku bywają często takie, jak się o tym wyżej napisało. Rzecz jest w tym, że w zasadzie wynalazek się fabryce nie opłaca. Bo nowa metoda, czy nowa technologia, to przestoje potrzebne dla przystosowania produkcji, a może nawet ustawienie nowych maszyn. A przestoje — to niewykonany plan, a niewykonany plan to niewypłacone premie za wykonanie właśnie planu. Tu też leży przyczyna dlaczego tak trudno jest wprowadzić do produkcji nowy wyrób, lub choćby ten sam, ale o nowym, lub nie daj Boże, nowocześniejszym kształcie. Jeżeli w zakładzie obowiązuje na przykład plan zużycia materiału, to na dobrą sprawę fabryka wyrabiająca, dajmy na to, łyżki, wolałaby pewnie wyprodukować jedną, ale za to dużą, z całego surowca, jaki jej powierzono do przerobienia.

Plan to rzecz święta, nawet jeżeli jest to plan strat. Nawet taki plan musi być wykonany. Bywało, że od wykonania planu strat zależała wypłata premii od strat planowanych. Toteż nie dziwcie się, jeżeli zobaczycie w deszczowy dzień miejską polewaczkę nie oszczędzającą wody i uwijającą się skrzętnie, by na czas wykonać plan zużycia wody na przestrzeni zaplanowanych metrów bieżących ulicy. Takich nonsensów nie brak nie tylko w tej jednej dziedzinie, jeżeli na przykład w sklepie nocnym przeprowadza się remanent w nocy. (Nieświadomym śpieszę wyjaśnić, że sklep nocny otwarty jest dwadzieścia cztery godziny na dobę, a nocna zmiana ma na celu umożliwienie poczynienia zakupów ludziom wracającym nocą z pracy.)

Poza tym plan służy jeszcze do tego, żeby go co pewien czas podnosić, bo jeżeli się podniesie, to albo nie będzie wykonany i wtedy zaoszczędzi się na premiach, albo go się wykona, i znów będzie go można podnieść. O ile ta praktyka może być od biedy zrozumiała w odniesieniu do kopalni czy fabryki, to jak, u diabła, mają podwyższony plan wykonać na przykład restauracje? karmić klientów siłą? czy wrzucać kosztowne i dochodowe pieczarki do kawy? Nie zmienia to faktu, że z reguły im

wyższej kategorii restauracja, tym wyższy ma deficyt chociaż narzuty na wina i ceny potraw bywają parokrotnie wyższe, niż gdzie indziej. Warto może przy tym zanotować, że prywatny właściciel restauracji popełniłby poważne, ścigane przez prawo, wykroczenie, gdyby narzut wynosił więcej niż 20%, gdy tymczasem Orbis bez rumieńca wstydu i wcale nie prześladowany przez prokuraturę, stosuje narzuty sięgające 200%. I co najciekawsze, ten prześladowany prywatniarz miewa wcale ładny dochód ze swej bezalkoholowej restauracyjki, podczas gdy państwowa czy miejska morderownia musi być subsydiowana.

Jak mawia mój przyjaciel: „ciekawe, kiedy o ni to wszystko zauważą?!”

Tajemnica deficytów jest dość łatwa do wykrycia, a przyczyn tego jest kilka: załogi urzędników nie zawsze wiele mniejsze od załogi produkcyjnej, wielopiętrowy system kontroli, też przecież obciążającej budżet. Gdyby wykonywać dosłownie i *a littera* każde zarządzenie, to życie stałoby się absolutnie niemożliwe. Dla przykładu: kelner przyjmujący zamówienie od klienta, powinien przedłożyć je w formie prawie podania tak zwanej blokierce, która przedłożone zamówienie akceptuje do wykonania w kuchni; w drodze powrotnej kelner przedstawia wykonanie zlecenia przez kuchnię i dopiero wtedy konsument ma prawo zająć się swym bryzolem czy mózdzkiem po polsku. W praktyce te idiotyzmy są upraszczane, ale nie zmniejsza to ilości personelu.

Jeżeli przed wojną przedstawicielstwo RKO Radio Pictures, obsługujące poza Polską, kraje bałtyckie i Rumunię, zatrudniało pięć osób które nie tylko sprowadzały filmy, tłumaczyły, ale i dostarczały prywatnym, przecież, kinom, to dziś paręset osób licząca Centrala Wynajmu Filmów, tylko filmy sprowadza i wywozi, bo tłumaczeniami i dostarczaniem do państwowych kin zajmują się inne centrale państwowe o wcale niemniej licznych obsadach. To tylko jeden przykład spośród wielu, jakie można by znaleźć, choć na obronę tego stanu rzeczy trzeba powie-

dzieć, że ogromna większość biur w Polsce posługuje się do dziś jeszcze liczydłami, a maszyny do pisania wyglądają jakby pochodziły z Wojny Krymskiej. Jeszcze jaskrawiej ten biurowy konserwatyzm wystąpi, gdy pomyślimy, że księgową na drewnianych szczotach oblicza w fabryce dniówkę robotnika pracującego na automatach model 1966. Z drugiej strony, jeżeli nakazuje się kasjerce w wielkim sklepie samoobsługowym sumowanie długiej kolumny liczb w pamięci, choć dysponuje ona kasą automatyczną — to to już jest bzdura bez żadnego uzasadnienia, a argument, że czyni się tak dla celów kontroli personelu, jest właściwie zniesławieniem (choć na dobrą sprawę nie wiem czy maszyny, czy kasjerki). Mechanizacja pracy biurowej oczywiście obniżyłaby znacznie koszty i zmniejszyła bezproduktywny, z punktu widzenia fabryki, personel. Pozostawałby jednak wtedy poważny, i bez widoków rozwiązania, problem: bezrobocie. I to bezrobocie wśród ludzi nisko, albo wcale niewykwalifikowanych, i nie umiejących praktycznie nic, poza przewracaniem kawałka papieru z jednej strony na drugą. Ale i na to musi przyjść, i przyjdzie czas. W Polsce zaczęto liczyć. Może jeszcze nie wszystko, ale wysokość wypłat pracowniczych — na pewno.

IV.

Rachunek ekonomiczny, opłacalność, to dość częste dziś hasła, ale zdaje się, że nikt w Polsce jak dotąd jeszcze nie pokusił się o obliczenie ile czasu, pieniędzy i ludzkiej dobrej woli idzie na marne w wyniku reorganizacji. Naprawdę nie wiadomo, czy jest w kraju choć jedna instytucja, która by nie przeszła w swej historii co najmniej jednej reorganizacji, a niektóre z nich przeżywają taką katastrofę po raz któryś tam z rzędu. Chyba rekordową ilość reorganizacji przeszły warszawskie przedsiębiorstwa komunikacyjne dzielone i znów łączone, i znów dzielone,

i tak w kółko. Raz tramwaje osobno, a raz z autobusami razem w jednym przedsiębiorstwie. Ma to rzekomo pomóc w rozwiązaniu koszmarnych warunków komunikacyjnych w mieście wołą urbanistów rozciągniętym na kilkadziesiąt kilometrów, gdzie do pracy jedzie się ponad godzinę, najczęściej na winogrono. Oczywiście fakt, że autobusy należą do tego samego czy innego zakładu, nie ma żadnego wpływu na ich ilość, punktualność i td. — a taka reorganizacja przysparza tylko zbędnej pracy aparatowi urzędniczemu, tworzy lub likwiduje stanowiska dyrektorskie — i nic poza tym.

Również Orbis lubi się reorganizować. Kiedyś składał się z dyrekcji generalnej i kilku na pół samodzielnych przedsiębiorstw, potem Polskie Biuro Podróży Orbis — jedno z przedsiębiorstw, wchłonęło inne, bo jego dyrektorem był ówczesnie przyjaciel Strzeleckiego.

Teraz już chyba tylko dyrektorzy Orbisu orientują się, jak tam jest naprawdę, i kto za co odpowiada. Biura turystyki zagranicznej i kasy biletowe bawiły się trzy razy w komórki do wynajęcia, przenosząc się ze Świętokrzyskiej na Plac Konstytucji, i z powrotem. Po trzech przeprowadzkach zostało wreszcie tak jak było na początku — ale ile ta zabawa kosztowała? Tego nikt nie obliczał — pewnie poza jednym Orbisem.

Hotel Europejski w zasadzie niewiele ucierpiał w czasie wojny — tylko fragment skrzydła od ulicy Ossolińskich był trafiony bombą. Ale czego nie dokonała wojna, temu dało radę wojsko. W czasach tak zwanych „błędów i wypaczeń” postanowiono przebudować hotel na szkołę oficerów polityczno-wychowawczych, w związku z czym zlikwidowano niepotrzebne przecież szkoły pionów wodociągowo-kanalizacyjne — i tylko po to, by po roku rozmyślić się, i szkołę przenieść gdzie indziej, a odpowiednio zrujnowany hotel przekazać Orbisowi — na hotel. W tych warunkach przebudowa i adaptacja musiały i kosztować miliony, i trwać lata. Tylko pomyśleć: znów podzielić sale wykładowe na setki pokoi i przeprowa-

dzić, na nowo, zniszczone piony. Czy ktoś za to marnotrawstwo odpowiadał? Jakoś się o tym nie słyszało.

Warszawa, jak kiedyś o tym doniosła triumfalnie prasa — będzie miała nową atrakcję: zakonserwowane podziemia Zamku Książąt Mazowieckich na skarpie dawnego Szpitala Ujazdowskiego. Tylko nikt nie ośmielił się wspomnieć, że dobrze zachowane ruiny tego zamku stały po wojnie i zostały rozebrane na polecenie samego Bieruta. Został w tym miejscu zaplanowany teatr Wojska Polskiego — jakby już nie było więcej miejsca w Warszawie — i nigdy nie został zbudowany. Nawet się nie pamięta o tym, że przed wojną istniał projekt rekonstrukcji zamku*, do czego szkice wykonał sam wielki profesor Noakowski. Dla historycznej ścisłości trzeba dodać, że kiedy w czasie rozbiórki zamku, ujął się za nim *Express Wieczorny*, kancelaria Bieruta, łagodnie mówiąc, uciszyła popularny dziennik.

Nikt się natomiast nie ujął za zapomnianym pomnikiem Warszawy: grobem carów Szujskich, który przez paręset lat stał na nowoświeckim podwórku. Przy poszerzaniu przedłużonej do Kopernika Świętokrzyskiej, został zniszczony przez buldozery, choć nikomu i niczemu nie stał na drodze — ale pewnie przykre było komuś wspomnienie rosyjskich carów zmarłych w polskiej niewoli przed przeszło trzystu laty.

Mniej więcej przed rokiem dodatek do londyńskich *Wiadomości*, *Na Antenie*, zamieścił artykuł pełen troski o warszawską architekturę, na marginesie zjazdu Stowarzyszenia Architektów RP. Chodziło o znane zarządzenie premiera Cyrankiewicza dotyczące ograniczenia wysokości zabudowy. To zarządzenie postawiło granice dziesięciu piętér ze względów rzekomo ekonomicznych. Jak dotąd jednak tylko jeden dom na tym ucierpiał, mianowicie hotel Zgoda u zbiegu Zgody (przepraszam, Hiberna) i Szpitalnej, obcięty z projektowanych czterestu

* Przed wojną mieściła się tam podchorążówka sanitarna.

pięter. Szybko jednak ludzie „w ekonomii uczeni” doszli po cichu do wniosku, że wszystko jedno jaki ustrój, to jednak wartość placów w centrum nie jest bez znaczenia. Bo jeśli się nie będzie budować w centrum wysoko, to trzeba budować coraz dalej na przedmieściach — a to oznacza dodatkowe koszty ciągnięcia przewodów sieci gazowej, elektrycznej, wodociągowej i kanalizacyjnej. Czyli pewne prawa jak najbardziej kapitalistyczne nadal sobie spokojnie istnieją w koegzystencji z Biurem Politycznym. Trzeba było zarządzenie premiera obejść, ale po cichu, bo kto u diabła przyznałby oficjalnie, że zarządzenie jest, używając eufemizmu, głupawe? Toteż spokojnie zatwierdzało się „w drodze wyjątku” do budowy domki po dwadzieścia kilka pięter, a nawet całe osiedla znacznie wyższych niż dziesięć pięter domów, i szukano wyjścia razem z „twarzą”. Najlepszym wyjściem jest oczywiście w takim wypadku zjazd architektów. Ktoś na takim zjeździe zaprotestuje, inni poprą — zgłosi się wnioski do władz... i demokracja zachowana. Nie rząd, nie partia, zmienia decyzje premiera, ale sami architekci — co zostanie z uznaniem przyjęte i wprowadzone w życie. Nie mówi się wtedy zbyt wiele o łaskotliwych sprawach, co się w jakim ustroju opłaca, a sprawa jest uratowana. Miło że *Na Antenie* ujęło się za warszawską architekturą, ale okazało się przy tym, że nie wiele rozumie: jak się te rzeczy w Polsce załatwia.

Analogiczna jest sytuacja z rzemiosłem, dziś z głębokim rozczuleniem hołubionym, a jeszcze niedawno tępionym. Trzeba było nieco doświadczeń takich jak trudności z naprawą najgłupszego przedmiotu, lub wykonaniem najmniejszego głupstwa, by zrewidować stosunek władz do prywatnego rzemiosła. Do tego celu używa się oczywiście najporęczniejszego orędownika: Stronnictwa Demokratycznego, które grupuje wielu rzemieślników, a nie jest skrępowane zbyt polityczno-ekonomicznie, a więc może bez utraty twarzy ująć się za prywaciarzami. A wtedy i Sejm, i jedno czy drugie plenum KC przytaknie

temu, co same wymyśliły i tylko SD do wykonania podsunęły. I znów, i wilk syty, i owca cała.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że miejskie taksówki są deficytowe. O tym wiedziały nawet dzieci. Ale ideologia musiała zwyciężać, chociażby nawet owe miejskie graty miały (tak było przez pewien czas) wyższą taryfę. I pewnego dnia nagle olśnienie: przecież można przywrócić prywatne taksówki i brać od nich niebrzydki podatek. Tylko w kilku większych miastach (znów dla ratowania twarzy) pozostały miejskie przedsiębiorstwa taksówkowe, a gdzie indziej sprzedano samochody ich kierowcom na bardzo korzystnych warunkach. Pewien warszawski dziennik napisał wtedy złośliwie, że „trzeba podziwiać ducha poświęcenia tych kierowców, którzy nabywają deficytowe taksówki, by zapewnić komunikację ludziom pracy...”.

Mówi się o Gomułce, że był genialnym dzieckiem, bo kiedy miał sześć lat wiedział tyle o ekonomii co dziś — ale jakieś resztki realizmu jednak się tam kołaczą. I to w gruncie rzeczy jest najważniejsze. I znów daleko nam — na szczęście — do perfekcji Kraju Rad — gdzie zatwierdzenie opakowania do cukierków trwa do dwóch lat!

Najwięcej pewnie złej krwi narobiły w Polsce zarządzenia w polityce mieszkaniowej. Kiedy w pierwszych latach po wojnie dawano promesy mieszkaniowe na zwolnienie spod kwaterunku tych, którzy własnym kosztem i sposobem odbudują sami swoje domy i mieszkania — wszyscy rzucili się do pracy. Nawet kobiety i dzieci miesiły wapno i nosiły cegłę. Ale nie upłynęło wiele czasu, a promesy jednym pociągnięciem pióra przekreślono i „zagęszczono” odbudowane wielkim wysiłkiem z mnóstwem wyrzeczeń — mieszkania. Nastąpił pierwszy kryzys zaufania. Wkrótce nastąpiły następne. Włączono pod kwaterunek domy spółdzielcze, nawet spółdzielni własnościowych. I tylko po to, żeby po kilku latach zachęcać ludzi do budowy własnych mieszkań. Tymczasem

przedwojenni właściciele-spółdzielnicy zostali postawieni przed koniecznością pozbycia się narzuconych sublokatorów własnym kosztem. Dodajmy, niemałym — bo przecież nikt się nie wyprowadzi na ulicę, ale każdemu, kogo się pozbywa, trzeba zapewnić inne, zastępcze mieszkanie.

I znów trzeba było lat, by władze odkryły trudną (dla nich) prawdę, że ani miasta, ani rząd nie są w stanie zapewnić ludności nawet jakich-takich warunków mieszkaniowych. Nawet w Warszawie, gdzie budowało się naprawdę dużo — w sumie mieszkań u b y w a, a nie przybywa. Przyczyniają się do tego rozbiórki starych, walcących się domów, no i — mimo zakazu meldowania — duży przyrost ludności, nie tylko naturalny.

Od ładnych kilku lat dyskutuje się, czy znieść ten zakaz meldowania, czy nie. Z jednej strony władze obawiają się zbyt szybkiego wzrostu ludności, bądź co bądź, atrakcyjnej Warszawy — a z drugiej strony fakt, że ktoś nie mający pracy w stolicy, może ją dostać na prowincji, a nie opuszcza swego miasta, bo zakaz meldunkowy nie pozwoli mu tam wrócić — też nie jest bez znaczenia. Ale miasta rosną i na to nie ma rady innej, niż budować, albo umożliwić budowanie samym ludziom. Miejskie planowanie okazało się fikcją, i to fikcją groźną. Urbanistyka jak to widać nie potrafi przewidzieć rozwoju miast nawet w systemie gospodarki planowej. A najlepiej pokazała to Nowa Huta, o czym piszę szczegółowiej na innym miejscu. Trudno mieć wątpliwości, że taki sam los czeka bujnie rozwijający się Płock, Konin, czy Puławy.

„Myślenie ma kolosalną przyszłość” — pouczał przed wielu laty warszawski kabaret — ale członkowie KC i rządu rzadko chodzą do kabaretów. Kto zresztą ma myśleć, czy może szef wydziału administracyjnego KC, generał Witaszewski? Niepełna szkoła powszechna i radziecka szkoła oficerów politycznych, to trochę za mało do myślenia, a marksizm też nie jest „lekarstwem na głupotę” jak powiedział kiedyś któryś z wysoko postawionych aparatczyków.

Czy te sprawy się widzi i rozumie? Oczywiście. Ale nawet dziennikarze, którzy między sobą mówią zupełnie inaczej, niż muszą pisać, nie widzą sposobu na wyeliminowanie tak zwanego myślenia kategoriami politycznymi. Oznacza to w skrócie, że w określonym ustroju obowiązują pewne reguły sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, które kiedyś w okresie październikowym nazywano przez grzeczność „immanentnym złem socjalizmu”. To są więc rzeczy nieuniknione, a do przeprowadzenia ich wbrew wszystkim i wszystkiemu wynajmuje się ludzi twardych i bezwzględnych, takich jak chodzące dno intelektualne czyli Gazrurka. To że przeprowadza się tyle zmian i ciągłych reorganizacji, oznacza tylko jedno, że w złej sytuacji szuka się wyjść najmniej złych — bo naprawdę dobrych nie ma.

Czy jednak naprawdę nie ma? Może dla rządu, bo ludność nauczyła się żyć między paragrafami i zarządzeniami, a nie według nich.

W ciągu ostatnich paru lat zdarzyły się parokrotnie klęski urodzaju owoców. Tony jabłek gniły na drzewach, lub pod nimi, w restauracjach dodawano jabłka do wszystkiego, nie tylko jako deser. Nawet krowom powierzono misję pozbycia się nadmiaru, z którym nie umiało sobie dać rady państwo. Tak było w województwach wschodnich i środkowych, podczas gdy na Śląsku jabłka nadal były drogie, a nawet trudno osiągalne. Problem transportu na przestrzeni paruset kilometrów wydawał się dla rządu problemem ponad siły.

Rozwiązanie przyszło od dołu. Sami chłopci wybrali się na Śląsk, doszli do porozumienia z zakładami przemysłowymi: huta daje transport, bierze jabłka w zamian za mało użyteczny żużel wielkopiecowy, który świetnie nadaje się do budowy. Chłopci dostali materiał budowlany, którego na próżno latami wyczekiwali od państwa, a robotnicy śląscy owoce, i to darmo. Czy cała sprawa została przeprowadzona *lege artis* wobec obowiązujących przepisów, kto to wie, i kto się w tej prawnej dżungli

wyznaje. Fakt pozostaje faktem, że mimo i wbrew nieudolności ciężkiego i leniwego aparatu przeprowadzono idealnie pożyteczną transakcję. Jeżeliby ktoś w rządzie wpadł na taki pomysł, to przede wszystkim musiałyby powstać przedsiębiorstwo państwowe z dyrektorami, sekretarkami, telefonami, a same konferencje zajęłyby czasu dość, by dać możność zgnicia jabłkom. Zamieszane byłyby przecież w taką sprawę co najmniej trzy ministerstwa: rolnictwa, ciężkiego przemysłu, i budownictwa. Strach pomyśleć.

Nie darmo powstało powiedzenie, że najlepszym sposobem pozbycia się pluskiew, byłoby ich upaństwowienie.

Nie ze wszystkim upadł duch w narodzie i jak najbardziej prywatne pomysły rozwiązują państwowo-trudne sytuacje. I tak na przykład mieszkańcy Krynicy czuli się zmęczeni czekaniem na zaplanowaną stację przekaźnikową telewizji, toteż zebrali między sobą potrzebne pieniądze, wynajęli prywatnie inżyniera i sami wybudowali potrzebne urządzenie. Odbierają więc już od kilku lat program telewizyjny bez niczyjej łaski, i jeszcze nawet płacą radiokomitetowi za abonamenty za telewizory.

Rzeszowianie znów sami wybudowali, lub zaadaptowali pomieszczenia dla politechniki i nawet mieszkania dla profesorów, po to tylko, by ich synowie i córki nie musieli do innych miast jeździć na naukę.

A państwo chwali i prosi o jeszcze, bo to i taniej wypada i myśleć nie trzeba i nawet sobie można przypisać zasługę, jak to ładnie się ludzi w socjaliźmie wychowuje.

Ale trzeba powiedzieć, że takie fakty jak powyższe są niestety coraz rzadsze, i coraz głębiej i szerzej rozpościera się apatia. Coraz częściej ludzie myślą o tym, żeby odrobić swoje, minimum tego co trzeba, i — do domu, albo raczej na zarobkową fuchę czy chałturę. „Nie przejmuj się swoją rolą, bo i tak cię o.....ą” — stało się powszechnym hasłem. Kto się wychyla i miewa zbyt wiele dobrych chęci — ten podejrzewany jest przez kolegów o chęć wybicia się, karierowiczostwo, chęć wygry-

zienia innych — i wobec tego: takiego trzeba się pozbyć. Nie brak przykładów na poparcie tego i w prasie i w telewizji, w przedsiębiorstwach handlowych, przemyśle, lecznictwie i td. Kiedyś utratą pracy zbytnio się nie przejmowano, ale dziś przy wyżu demograficznym wiszącym jak chmura gradowa — każdy trzyma się tego co ma, a żeby się trzymać, nie należy się wychylać. Okres eksperymentowania w gospodarce wspomina się już tylko. Eksperyment nie popłaca, a może nawet stać się niebezpieczny dla autorów. I po co to komu? To osiągnięcie mogą zapisać na swoje konto udrętwiacze, twórcy twardego kursu w polityce wewnętrznej. Każda swobodniejsza myśl może budzić niezdrowe skojarzenia, a to już może stać się niebezpieczne w mniemaniu różnych matołów i matołków.

Może to i lepiej. Przynajmniej nikt nie będzie miał wątpliwości, kto jest przed historią odpowiedzialny za zmarnowanie październikowej szansy stworzenia znośnych warunków, i uczynienia — jak to określił w tamtym czasie jeden z amerykańskich dziennikarzy — socjalizmu *livable*.

Podobnie jak i wszystko inne, także i handel przechodził niejedną reorganizację, co w żadnym stopniu nie przyczyniło się do polepszenia sytuacji. W istniejących trzech sektorach: państwowym, spółdzielczym i prywatnym zachodziły liczne zmiany, aż rozdzielono handel branżowo na dziesiątki drobniejszych przedsiębiorstw, co wpłynęło zbawiennie na wzrost zatrudnienia, ale nie poprawiło dystrybucji, jak się w oficjalnej nomenklaturze ten socjalistyczny handel nazywa.

Wydzielono osobno handel mięsem, rybami, owocami i warzywami, są odrębne przedsiębiorstwa artykułów sportowych, gospodarstwa domowego, sklepy radiowe, elektryczne, monopolowe, odzieżowe, materiałów włókienniczych, Jubiler, Delikatesy, Gallux, komisowe, opałowe, meblarskie, antykwariaty, Domy Książki, porcela-

na, szkło i kryształy — a każda branża należy do innej dyrekcji posiadającej własne biura, dyrektorów, urzędników. A także własne remanenty, przyjęcia towarów, przerwy obiadowe i inne święta socjalistycznego handlu.

Jeżeli złota bransoletka czy telewizor trafią do sklepu z kilkudniowym opóźnieniem spowodowanym przez biurokratyczne czynności — to jeszcze nie ma nieszczęścia, ale jeżeli przez podobne czynności musi przejść na przykład szpinak — to nie trudno się domyśleć dlaczego jest tłok na prywatnych bazarach.

Nie można powiedzieć, by kierownicy handlu nie zdawali sobie z tego sprawy, bo i oni i ich żony z pewnością sami zaopatrują się na Bazarze Różyckiego czy na Zieleniaku.

Absolutna nieudolność handlu, przede wszystkim spożywczego, puste haki w wędliniarniach, ogonki i tłok wszędzie i po wszystko co jest jadalne, nędzny wybór — są przyczyną, że jeżeli ludność czegokolwiek boi się w przypadku ewentualnej wojny, to głodu spowodowanego już nie brakiem żywności w Polsce w ogóle, ale chaosem handlowym, który i w czasie jak najbardziej pokojowym tak bardzo daje się odczuć.

Handel spożywczy — co nie jest chyba żadną w Polsce rewelacją — ośmiela się sprzedawać łatwo psujące się konserwy z przeterminowaną datą — a żeby uniknąć nieprzyjemności ze strony podejrzliwych klientów, czasem nieopatrznie antydatuje sprzedawane produkty na własną rękę i to tak radykalnie, że przez przeoczenie mogą się one znaleźć na półkach jeszcze przed wybitą datą produkcji. Klientowi pozostaje więc tylko produkt potulnie wziąć, by jego wartość odżywczą wypróbować na własnym żołądku.

Inną kłeską jest niedouczenie personelu, który w zasadzie powinien przecież przejść przynajmniej jakiś skrócony kurs towaroznawczy, choćby po to, by w Delikatessach stołecznych nie sprzedawano kubańskich langust jako „Liberty w sosie własnym” (czy trzeba dodawać, że

Liberty jest marką producenta?). Klient socjalistycznego handlu musi być doskonale poinformowany o wszystkim, bo od obsługi sklepowej nie może się spodziewać żadnej wskazówki ani pomocy. Cały ciężar w tym handlu przezucono na nabywcę, któremu pozwala się wejść do sklepu, wziąć bez grymaszenia co jest, zapłacić w kasie, nie zapominając o przyniesieniu własnego opakowania, by nie brać śledzia w garść. Jest przy tym rzeczą pożądaną, by klient znał dobrze język angielski, ponieważ znaczną ilość produktów spożywczych stanowią artykuły odrzucone przez zagranicznego importera, i wobec tego mają etykiety angielskie. Jest to fakt sprzyjający rozpowszechnieniu się tego języka w Polsce, *a pork loin, gooseberry jam* czy *cream fudge* nie są już określeniami obcymi.

Nieufność państwowego handlu do samego siebie sięga tak daleko, że przedmiot złoty kupiony w sklepie Jubilera nie zostanie tam przyjęty z powrotem zanim nabywca nie udowodni poprzez ekspertyzę w Państwowym Urzędzie Miar i Wąg, jaką zawartość złota posiada przedmiot nabyty przecież w tym samym przedsiębiorstwie państwowym. Znaczy to, że próba wybita przez państwowego producenta jest gwarancją bez pokrycia.

Państwowa lub spółdzielcza pralnia chemiczna przyjmując do prania ubrania czy koszule, daje w zamian kwit, na odwrocie którego wypisana jest litania za co przedsiębiorstwo nie ponosi odpowiedzialności. Po uważnym przestudiowaniu tekstu okaże się, że pralnia nie bierze odpowiedzialności absolutnie za nic, chyba, że przedmiot jej powierzony zostanie całkowicie zniszczony. Wtedy zostanie klientowi wypłacona suma wymieniona na kwicie, którą wypisuje według własnego widzi mi się pracowniczka pralni, i nie będąca w żadnym związku z rzeczywistą wartością powierzonej części garderoby.

Wspomniany już wyżej Jubiler kilkakrotnie odmawiał wypłacenia klientom równowartości pozostawionych w komis przedmiotów, które padły, w sklepach tego przedsiębiorstwa, ofiarą rabunku. Sprawa była, zdawało-

by się, prosta: Jubiler przedmioty przyjął w komis, wystawił kwity z wyceną, przedmioty zostały skradzione ze sklepu przedsiębiorstwa — przedsiębiorstwo musi wypłacić klientom pełne odszkodowanie. Ale Jubiler nie płacił: przepisy wewnętrzne mu na to nie pozwalały. Klienci zbierali się w pęczek, wynajmowali adwokata, czekali parę miesięcy na rozprawę, którą naturalnie wygrywali. Jubiler mając przeciwko sobie prawomocny wyrok, pieniądze wypłacał oraz na dodatek pokrywał koszty procesu. Wyrok był podstawą prawną do uznania roszczeń. Ale gdy kradzież powtórzyła się po raz drugi, trzeci, czwarty — trzeba było za każdym razem przejść przez wyżej opisaną procedurę. Dodajmy jeszcze, że obywatel nie oddaje w komis złota z zamożności i dobrobytu — ale to już nie jest kwestia prawna, lecz moralna.

Przedmioty trwałego użytku, przede wszystkim sprzęt radio-teletechniczny i gospodarstwa domowego doczekały się już mniej więcej przyzwoitej obsługi w okresie gwarancyjnym. Jest to szczególnie ważne w odniesieniu do telewizorów i lodówek, ponieważ trzeba przyjąć, że dopiero w okolicach trzeciej lub czwartej naprawy urządzenia te zaczynają działać normalnie. Gorzej jest oczywiście, gdy w nabytym aparacie trzeba wymienić kineskop lub agregat, bo na takie rzeczy gwarancja jest znacznie krótsza, a fabryka części zapasowych tego kalibru nie lubi mieć na składzie. Jak długo się czeka na dokonanie naprawy gwarancyjnej to już oczywiście całkiem inna sprawa. Toteż w ten sposób powstał w całym kraju spory margines zarobkowy dla prywatnie prowadzonych punktów naprawy, których właściciele — o cudzie prywatnej inicjatywy — nawet samochodem, własnym, przyjadą na miejsce w ciągu pół godziny. Trudniej o taką obsługę na wsiach czy w małych miasteczkach, ale tam coraz większym powodzeniem cieszą się broszurki typu *do-it-yourself*, pouczające jak naprawić zepsute urządzenie.

Przeciętny obywatel w kraju musi mieć zmysł Sher-

locka Holmesa, jeżeli chce znaleźć przedmiot nie mieszczący się w jakichś tam tajemniczych normatywach socjalistycznego handlu. Taternicy próżno by odwiedzali sklepy sportowe w poszukiwaniu haków i karabinków. Czekany i raki — owszem są. Ale inne górskie żelastwo znajduje się w sklepach typu gwoździe, młotki, śrubokręty, gdzie sprzedawca nie ma pojęcia po co i dla kogo wstawiono mu „łyżki” czy „igły lodowe”, skoro w żadną ścianę (poza skalną) takie świństwo by nie weszło. Nie brak w sportowych sklepach nart, łyżew, składaków, nawet go-cartów i katamaranów, można kupić motorówki, ślizgacze, narty wodne i nawet jachty pełnomorskie — ale można przelecieć całe miasto, by znaleźć zapasowe śruby do wiązań narciarskich.

Wszelkiego rodzaju części zapasowe są rzadkością, nawet do sprzętu produkowanego w kraju. Ale to jest raczej wina przemysłu, niż handlu, bo fabryce nie opłaca się produkowanie drobiazgów, które w minimalnym stopniu przyczyniają się do wykonania planu produkcyjnego.

Taka rzeczywistość jest największą przeszkodą na drodze rozwoju motoryzacji. Nie jest największą sztuką nabycie samochodu — mogłoby sobie na to pozwolić więcej ludzi, niż obecnie samochody posiada. Ale nie koszt kupna jest decydujący, lecz koszt i kłopoty związane z naprawami i znalezieniem części zamiennych. Przeszło milionowa Warszawa ma zaledwie kilka państwowych punktów naprawy samochodów prywatnych — reszta, kilkadziesiąt innych, to warsztaty prywatne nie mające praktycznie dostępu do produkowanych przez państwowy przemysł, lub sprowadzanych przez państwowy handel części zamiennych. Toteż naprawy tam muszą odbywać się sposobem domowym i kosztować niewspółmiernie więcej — bo tak musi być, jeżeli prywatny właściciel większość sprzętu i części kupuje albo na czarnym rynku, albo przez znajomości, ale za dewizy, sprowadza zza granicy. Volkswagen jest mniej więcej szczytem ideałów przeciętnego obywatela, ale nawet dziecko

wie, że do nie typowego — to znaczy nie importowanego masowo przez państwo — samochodu będzie jeszcze trudniej o najgłupszą śrubkę, niż do Warszawy, Syreny, Skody, Moskwicza, czy Wartburga.

Wie o tym także państwowy handel, co nie przeszkadza, że Bank PeKaO sprowadza wszelkiego typu samochody bez praktycznie żadnego zabezpieczenia możliwości ich naprawy. Jeszcze raz to samo: państwo jest tylko po to by brać pieniądze, ale nie po to by dać w zamian cokolwiek, choćby najmniejszym kosztem. Dodajmy państwo socjalistyczne.

O ile ceny produktów krajowych znajdujących się w handlu ustawiane są w zależności od kosztów własnych plus zarobek fabryki plus marża sklepu, plus nie ustalony na stałe procentowo podatek pośredni, stanowiący jednak stosunkowo największą część ceny sklepowej — to ceny artykułów importowanych ustalane są przez komisje cen, w sposób nie mający żadnego związku z ceną oryginalną w kraju wytwórcy, lecz w stosunku do cen wyrobów krajowych plus znane marże plus — pi razy oko — dodatek za atrakcyjność zagraniczności. Ta praktyka nie obejmuje sklepów komisowych, które w wycenianiu kierują się przeliczeniem dolarowym po kursie PeKaO i według tam żądanych sum.

To są jednak regiony dostępne dla nielicznych, natomiast, rzecz nie do wiary, ale na całą wielką Warszawę są tylko dwa sklepy serowarskie, w których można kupić kilkanaście gatunków sera od oszczypków do requelforta — jeżeli postoi się cierpliwie przez małe pół godziny w ogonku.

Na całą Warszawę nowe maszyny do pisania bywają tylko w Centralnym Domu Towarowym — jeżeli nie liczyć komisów, gdzie za ciężkie pieniądze wolno kupić grata bez żadnej gwarancji, nawet nie wiedząc przez ile rąk przeszedł.

Wiejskie sklepy typu „ślidź, midło i powidło” mają wszystko do zaofiarowania swym klientom od lamp naf-

towych po telewizory i motocykle, ale łatwiej tam o kosztowny niemiecki aparat fotograficzny, niż o przyzwoitą łopatę. Toteż mieszczuchy zaopatrują się w gromadzkich sklepach Samopomocy Chłopskiej w *shaker*'y do cocktajli, a chłopci na Marszałkowskiej kupują widły. Jest to wydarzenie z tego samego cyklu, jak kostiumy kąpielowe w sklepach zwiastujące nadejście zimy, a buty narciarskie — nadejście wiosny. Zmiana pór roku i ich wzajemne następstwo nadal pozostały dla handlu jedną z tajemnic natury.

Co pewien czas handel i gastronomia państwowa przeprowadzają próby wydzierzawiania osobom prywatnym mniejszych sklepów, kawiarni, restauracji, z lepszymi, lub gorszymi wynikami. Są to oczywiście tylko półśrodki, bo dzierżawca mając umowę na określony, krótki z zasady termin, i nie mając pewności, czy kontrakt zostanie odnowiony, stara się w tym czasie wyciągnąć jak najwięcej dla siebie korzyści kosztem przede wszystkim klienta.

W sytuacji, kiedy na przestrzeni stu kilometrów są dwie stacje benzynowe — czystym surrealizmem jest czas ich otwarcia, na przykład od 9 do 15, ale tak było i jest i nie było sposobu, by stan ten zmienić, bo przepisy o zatrudnieniu przewidywały tylko taki czas pracy, a na drugi etat kierownika stacji, nie było zezwolenia z Państwowej Komisji Etatów. Centrala Produktów Naftowych, monopolistyczny właściciel wszystkich stacji benzynowych, zdecydował się na krok rewolucyjny: wydzierzawienia stacji osobom prywatnym. Może nareszcie zniknie samoobsługa i inkasujący forszę leniwy „kierownik”, który do białej gorączki doprowadzał nie tylko cudzoziemców, ale i tubylców, którzy niejedno już w swych stosunkach z państwowym handlem przeżyli.

Proste obliczenie może nas przekonać, że mając na przykład w Zakopanem dziesięciopokojowy dom wypełniony łózkami z pościelą, zarabia się na czysto milion złotych w ciągu trzech lat. A jednocześnie analogiczne

domy prowadzone przez organizacje czy instytucje, mają zbliżone cyfrowo deficyty, stosując przy tym wyższe stawki noclegowe, niż właściciele prywatni. Toteż od czasu, kiedy Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze zaczęło wydzierżawiać schroniska górskie — zaczęło mieć z nich dochód, a dzierżawcy dorobili się w krótkim czasie małych fortun.

Sektory spółdzielczy i prywatny istnieją po to, by uzupełniać sieć i asortyment handlu państwowego. Oba te sektory wymierające w okresie stalinowskim, odżyły po roku 1956 i po kilkuletniej huśtawce ideologicznej, od której zależało ich istnienie — zabezpieczyły sobie przyszłość na pewien czas.

Chociaż sklepy prowadzone przez spółdzielczość i prywatnych właścicieli, nie odznaczają się niskością cen, to jednak mają do zaoferowania klientom to, czego handel państwowy nie potrafi dać. Buty można kupić wszędzie, ale modne — tylko w prywatnym handlu. To samo dotyczy futer, koszuli, bielizny, oraz naprawy zegarków i biżuterii.

Prywatny rynek handluje samochodami wszelkich marek i lat produkcji, placami, willami, mieszkaniami wyłączonymi spod kwaterunku — legalnie, półlegalnie i zupełnie nielegalnie. Prosperują prywatni optycy, którzy zawsze jakoś mają szkła Zeissa, chociaż państwowemu przedsiębiorstwu potrzeba ośmiu miesięcy na ich sprostowanie, fryzjerzy czeszący panie ministrowe, warsztaty elektrotechniczne naprawiające elektryczne maszynki do golenia, czego państwo absolutnie nie potrafi, i inne gdzie można zreperować zapalniczkę, zamówić emaliowany poręczek pierwszego szwoleżerów, albo sygnet herbowy, ryngraf z Matką Boską, haftowany złotymi literami IHS krawat do pierwszej komunii. Nieliczne sklepy spożywcze prywatne jakoś zawsze mają sery, pomarańcze, banany, szynkę, i wiele innych towarów nieznanymi lub mało znanymi olbrzymim państwowym sklepom Delikatesów.

Pewien pomysłowy rzemieślnik w małym warsztacie

budował ręcznie z dwoma tylko pomocnikami, dwa mikrosamochody miesięcznie — co już pozwalało mu nieźle żyć. Gdyby zakład mógł powiększyć, gdyby wolno mu było sprowadzić maszyny, to na pewno w ciągu kilku lat miałby fabryczkę produkującą nie gorzej niż Żerań i na pewno taniej. A o odbiorców nie byłoby się co martwić na rynku tak chłonnym na tanią motoryzację. Ale czasy się zmieniły i tylko kilkanaście jego produktów jeżdżących po Warszawie przypomina jak się wykańcza inicjatywę przez ideologię.

W innym wypadku jednoosobowy zakład wycinający guziki metalowe został przejęty przez państwo, gdy wydało się komuś, że ów inżynier za dużo zarabia. Państwo zakład przejęło, i zamknęło, bo prowadzenie go nie opłacało się ciężkiemu aparatowi administracyjnemu. Tymczasem guzików metalowych nie było na rynku. Potem warsztat właścicielowi zwrócono, ale bez maszyny, która poszła na złom, a właściciel mimo sporych podatków, zarabia tyle co najmniej co pięciu urzędników urzędu skarbowego.

Można by takie przykłady mnożyć w nieskończoność — bo jest ich tyle ile prywatnych zakładów, z których każdy ma taką lub podobną historię.

Prywatna inicjatywa nie mieści się w ramach ideologii kraju budującego socjalizm, ale istnieje, bo okazała się koniecznością, elementem niezbędnym. A że tak jest, to na poparcie jeszcze jednym dowodem, popatrzymy na wycieczki z krajów, które już zbudowały socjalizm u siebie, jak nieomylnie kierują się będąc w Polsce ku ulicom mieszczącym sklepy prywatne, by stamtąd przywieźć najpotrzebniejsze pamiątki.

V.

Słowo „kołchoz” nie tylko na Zachodzie, ale również i w Polsce jest synonimem nędzy, a określenie „kołchoż-

nik” to właściwie tyle samo, co żebrak. Nic więc dziwnego, że w okresie przymusowej i narzuconej kolektywizacji, omijano wszelkie pojęcia w oficjalnej nomenklaturze, które mogły być wywołać niepotrzebne skojarzenia, a polskie kołchozy nazwano spółdzielniami produkcyjnymi.

Forma gospodarki kolektywnej nigdy nie była w kraju popularna, tak że nawet na Podhalu, które miało przecież pewne tradycje zespołowe jak wspólne wypasy owiec i produkcję sera, nawet w najcięższych czasach były tylko dwie spółdzielnie — a istniejące w różnych częściach Polski, zawiązane na siłę kolektywy rozsypały się po Październiku w ciągu nie dni, ale godzin.

To co pozostało, ten statystyczny jeden procent, w większości wypadków nie przypomina radzieckich kołchozów, ale raczej zamożne spółki rolne. Znam parę takich zespołów, które dobrze wykorzystały sympatie państwa dla tego rodzaju formy gospodarki, i przystosowując się do produkcji eksportowej, głównie warzyw i kwiatów, prosperują. Do jednej z takich spółdzielni koło Warszawy zwozi się autobusami chłopów, by im pokazać jak to ładnie jest w gospodarce społecznej, co jednak nie wpływa wcale na zwiększenie tempa rozszerzania się tego rodzaju zespołów. Wspomniana spółdzielnia wykorzystwała dogodny moment w okresie rozsypywania się kołchozów, a dwanaście rodzin, które w spółdzielni pozostały (z poprzednich kilkudziesięciu) zawiązało coś w rodzaju spółki dobrowolnej. Wzruszenie rządu dla chłopskiej wierności uwidocznilo się w dotacjach, pomocy i zwolnieniu od podatków, wreszcie w przyznaniu statusu eksportowego — i dziś dwanaście rodzin ma osiem milionów czystego dochodu rocznie, nowe skanalizowane domy, asfaltową ulicę z jarzeniowymi lampami, nie licząc prywatnych samochodów, motocykli, telewizorów, świętych obrazów na ścianach, i nawet nazwę spółdzielni produkcyjnej. Jeżeli przykład owej spółdzielni nie jest różliwy, to jednak dlatego, że przeciętny chłop nie wie-

rzy ani w długotrwałość takiego dobrobytu — od czego podatki! — ani zbyt szczerą pomoc państwa, no i woli, a przynajmniej wolałby, do takiego standardu dojść sam, bardziej prywatnymi metodami.

Jako skuteczna kontr-propaganda społecznych metod uprawy ziemi działają Państwowe Gospodarstwa Rolne, z których tylko nieliczne są dochodowe, a to co się tam marnuje na polach mogłoby pewnie wyżywić pół Polski. Nędzna gospodarka PGRów stała się tak przysłowiowa, że dzieci nie straszy się już dziś, że jak nie będą się uczyły, to pójdą do szewca, lecz do PGR. Również do PGR odsyłają się nawzajem ludzie sprzeczący się w środkach komunikacji miejskiej — jako do ostatniego miejsca dla ostatnich z ostatnich. Dla porównania z przytoczonym wyżej przykładem spółdzielni, wystarczy powiedzieć, że ogromny klucz PGRowski w województwie poznańskim przynosi rocznie pięćset tysięcy złotych dochodu! Nic dziwnego, że musiały zdarzyć się wypadki rozwiązywania deficytowych gospodarstw państwowych i sprzedawania ich ziemi indywidualnym chłopom.

W tej sytuacji gospodarstwa drobne, prywatne, muszą być, i są, podstawą polskiego rolnictwa, i nawet Gomułka choć w zasadzie nie zaprzecza, że ładnie byłoby mieć wieś skolektywizowaną, nie stawia żadnych terminów, i, co najważniejsze, nie zapowiada żadnych presji. Niemniej sprawy rolnictwa znajdują się w „centrum uwagi” rządu i partii, i wiele czasu i wysiłków poświęca się podniesieniu produktywności gospodarstw. Hasłem tego stały się kółka rolnicze, nie różniące się w swej koncepcji niczym od podobnych kółek we Francji, czy Niemczech Zachodnich, oraz osadzanie po gromadach agronomów i zootechników, jako stałych doradców prywatnego rolnika. Konserwatywny polski chłop nie lubi być pouczany choćby przez najlepszych fachowców, jest z natury nieufny, a domki agronomów nazywa powszechnie szpiegówkami.

Nieustępujący ze wsi lęk przed groźbą kolektywiza-

cji i przed nadmiernym opodatkowaniem sprawia, że chłopci niechętnie inwestują w gospodarstwa zadowolając się tym co mają, a wsie w większości okolic kraju wyglądają jak przed stu laty. W pojęciu chłopów nowy dom, broń Boże, murowany, dowodziłby, że właścicielowi dobrze się powodzi, co nieuchronnie wpadłoby w oko władzom podatkowym. Toteż nowe domy widuje się przede wszystkim w okolicach zamieszkałych przez chłopo-robotników, którzy zawsze są w stanie wykazać się zarobkiem fabrycznym, z którego postawiono nowe zabudowania.

Nic się nie zmieniło w tradycji dzielenia i tak już małego gospodarstwa między wszystkie, nieraz przecież liczne, dzieci, z których większość nie ma zamiaru osiąść na roli, lecz przenosi się do miast, do nowego zawodu. Jest to oczywiście przyczyną wcale nie nowych zatargów o działy, spłaty i odszkodowania — zapełniających annały sądów powiatowych i ciągnących się już nie przez lata, ale i pokolenia. Rozdrobnienie ziemi postępowało bardzo szybko, doprowadzając do powstawania rzeczywiście mikroskopijnych, nieraz jedno i dwu-hektarowych gospodarstw, które przy znanej niechęci polskiego chłopca do komasacji, znajdowały się nieraz w kilkunastu miejscach. Wydane przed paru laty zarządzenie powstrzymujące rozdrobnienie, i nakazujące dziedziczenie tym, którzy zamierzają pozostać na gospodarstwie, może mieć praktyczne znaczenie, jeżeli chłopci nie znajdą sposobów obejścia nowego prawa.

W sytuacji obecnej przeciętny chłop stara się wyciągnąć z istniejących możliwości jak najwięcej dla siebie korzyści. Jedną z form takiego stosunku jest przystępowanie do kontraktacji proponowanych przez państwo na uprawy dające maksymalne korzyści, a nieraz dalekie od oryginalnej i podstawowej hodowli czy uprawy. Tak więc zależnie od zapotrzebowania przemysłu państwowego chłopci rzucają się na uprawy roślin oleistych, ziół leczniczych, tytoniu, czy buraków cukrowych. Powstają w ty-

siącach gospodarstw monokultury dające właścicielom wcale niemałe dochody i więcej, niż w innych formach gospodarki, wolnego czasu. Istnieją gospodarki hodowlane świń, drobiu, ферmy mleczarskie, jajczarskie, a nawet eksportowych ślimaków-winniczków, żab i raków. Niemniej, chyba, przeważający procent gospodarstw pozostał przy starych, tradycyjnych uprawach, produkując przede wszystkim z myślą o własnej samowystarczalności i spłaceniu podatków — tak jak ojcowie i dziadkowie to czynili.

Z odpowiednim rozgłosem przeprowadzana elektryfikacja wsi postępuje, choć znacznie wolniej niżby tego po towarzyszącym jej szumie propagandowym, można się było spodziewać. Przyczyna leży między innymi w tym, że chłopci często przyjmują światło elektryczne jakby wyrządzali łaskę, a w każdym razie coś co im się jak najbardziej należy, odmawiając nawet pomocy przy ustawianiu słupów pod przewody. Nie znaczy to, że nie chcą mieć prądu — przeciwnie, czekają na elektryczność — ale uważają, że państwo może ten drobiazg załatwić bez żadnego z ich strony wysiłku. Zdarza się, że chłopci we wsiach mają po domach pralki elektryczne i telewizory na długo, nim dotrze do nich prąd. Takie zakupy mają najczęściej pierwszeństwo przed maszynami rolniczymi, bo wielu chłopów uważa, że jeżeli państwo życzy sobie mieć ich produkty, to powinno także zaopatrzyć wieś w odpowiednie maszyny. A ponieważ państwa nie stać na dostarczenie ich według rzeczywistych potrzeb, więc na polskiej wsi panuje nadal owsiana motoryzacja, siewnik wykonany z materiałów włókienniczych, a chemia rolnicza wytwarzana jest głównie w oborze.

Zetknięcie się państwowego planowania z rolnictwem daje czasem wyniki katastrofalne, jeżeli na wsi zdarzają się — wspomniane na innym miejscu w tej książce — wcale nie przewidziane, a więc nie zaplanowane klęski urodzaju.

Stara, a dziś energicznie realizowana idea Tatrzań-

skiego Parku Narodowego również przyniosła nieoczekiwane, a nie najlepsze rezultaty. W ramach ochrony przyrody halnej zakazano wypasania owiec w Tatrach, znajdując dla nich miejsce w odległych Bieszczadach dokąd jeżdżą wiosenne redyki pociągami. Znajdujące się nieraz przez setki lat w posiadaniu tych samych rodzin górskie łąki są wykupywane przymusowo przez państwo po cenach zupełnie bezczelnych, stanowiących połowę, lub mniej wartości rocznego zbioru siana. Pieniądze przy tym nie są wypłacane właścicielom, lecz deponowane na koncie na ich nazwisko z zastrzeżeniem podjęcia ich tylko w jednym celu: zakupu ziemi — która naturalnie jest znacznie droższa, niż to przewiduje cennik państwowy. Rozgoryczenie panujące na Podhalu doszło już właściwie do punktu wrzenia, od którego wcale nie daleko do otwartego buntu — a takie tradycje chochołowianom i ich braciom nie są obce.

Inną przyczyną tarć i niechęci, również zwłaszcza na Podhalu, jest, także w związku z powstawaniem Tatrzańskiego Parku Narodowego, wydany zakaz wycinania drzew nawet na materiał budowlany i nawet we własnych lasach górali, a ściśle rezerwaty przyrody uniemożliwiają nawet zbieranie grzybów i chrustu — co mimo że usprawiedliwione potrzebami ochrony przyrody, nie znajduje zrozumienia wśród posiadaczy, którzy swymi nazwiskami obdarowywali szczyty i doliny.

W okresie wydawania dowodów osobistych w latach stalinowskich, władze bezpieczeństwa odmówiły szanowania zwyczajowych, nieraz kilku-członowych nazwisk góralskich, co było powodem odmowy przyjmowania paszportów i zmuszało ówczesne władze do wręczania ich... siłą.

Mimo tych niewątpliwych krzywd, górale odbijają siebie, i to nieźle na ruchu turystycznym, wycieczkowym i wakacyjnym — wynajmując mieszkania, i dostarczając artykuły spożywcze. Zorganizowana przez Spółdzielnię Turystyczna Gromada akcja wypoczynkowa pod nazwą

Wczasy pod Gruszą zaczyna napędzać pieniądze do kieszeni chłopów z innych okolic kraju, do niedawna mało znanych, nie odwiedzanych, gdzie wczasowicz prywatny jeszcze nie zdobył mało zaszczytnego przewiska stonki, ale jest szanowany jako dostawca krajowej waluty.

Innym źródłem wcale niezłych dochodów dla chłopów stała się sztuka ludowa, modna w kraju i, w coraz większych ilościach, eksportowana za granicę. Podhalańskie wyroby w drzewie, skórze i metalu, łowickie wycinanki, pasiaki i „światy”, koniakowskie koronki, iłżecka ceramika nie potrzebowały bodźców — trwały niezmiennie od setek lat — ale razem z koniunkturą odżyły zapomniane kunszty i w innych regionach kraju. Znowu pojawiły się na rynku dwustronne kilimy podlaskie, wełniane tkaniny kurpiowskie, kieleckie siwaki, ceramika kaszubska i meble z dawnej królewskiej manufaktury w Kolbuszowie. Ta twórczość ludowa miewa również inną uboczną korzyść, jeśli na przykład domorosły rzeźbiarz z Olczy czy Murzasichla wytacza sobie na tokarce czerpaki jako dodatek do kiepskich zbiorów płonego owieska, to podatku od ziemi nie płaci, bo jest rzemieślnikiem, — a od rzemiosła też nie, bo jest rolnikiem. Tego oczywiście nie wymyśliło państwo, ale sami tubylcy.

Ta koniunktura, od czasu jak Zachód zaczął odkrywać wdzięk i oryginalność polskiej sztuki ludowej, zapewne potrwa dłużej a wzmagający się jednak ruch turystyczny, rozszerza coraz bardziej rynek zbytu w samym kraju.

Inaczej bywało dawniej na przykład z hodowlą zwierząt futerkowych, która przez jakiś czas była dobrym i bardzo opłacalnym interesem. Lisy zwykłe, srebrne i niebieskie, nutrie i norki hodowano wszędzie, gdzie były czy nie było po temu możliwości. Hodowano tak długo i z korzyścią hodowców i państwa, aż jednym pociągnięciem pióra przekreślono jakąkolwiek opłacalność, podnosząc z dnia na dzień podatki do zupełnie nierealnej wysokości. Ponieważ zmiana była tak nagła i niespodzie-

wana, hodowcom nawet nie opłaciło się sprzedać zwierząt trzymanyh w klatkach i na wybiegach, bo i tak musieliby od nich zapłacić podatek przekraczający wartość nominalną — toteż w niejednej hodowli zwierzęta albo wypuszczono na wolność, albo zlikwidowano. Dziś po niewczasie władze żałują popełnionego idiotyzmu, ale nic nie wskrzesi ani hodowli, ani nie przywróci zaufania hodowców do gwarancji dawanych przez państwo. Niemal były również straty dewizowe, bo Polska liczyła się już na rynku europejskim jako eksporter futer. Robi się w Polsce dużo, by na przykład rozpowszechnić hodowlę malin, które nie wiedzieć czemu zaczęły od paru lat niszczyć, aż stały się niemal rzadkością. Państwo rozdaje darmo krzaki malin z własnych szkółek — ale kto wie, czy pewnego dnia ktoś inny, w Ministerstwie Finansów, nie wpadnie na podobny pomysł jak w wypadku zaprzepaszczonej hodowli. Czasem (czy tylko czasem?) w państwie gospodarki planowanej zdarza się, że zabraknie koordynacji i porozumienia na zasadzie starego powiedzenia, że nie wie lewica, co robi prawica.

Zupełnie odrębne zagadnienie stanowią tak zwani popularnie w Polsce badylarze, to jest ogrodnicy-warzywnicy, grupujący się w największych ilościach w pobliżu wielkich miast lub wokół ośrodków przemysłowych. Ich dochody są w stosunku wprost proporcjonalnym do zwiększającego się w Polsce spożycia jarzyn, i wzrostu cen mięsa. Wprawdzie schaboszczak z kiszoną kapustą nie stracił swej pozycji *best-seller'a*, ale jarzyny zdobywają sobie na stołach polskich coraz większe uznanie. Wielkość tego *business'u* najlepiej uwydatni fakt, że w okolicach samego tylko podwarszawskiego Milanówka jest przeszło pięćdziesięciu badylarzy płacących więcej niż milion złotych podatku rocznie!

Wcale nie mniejsze, jeżeli nie większe dochody mają hurtowi hodowcy pieczarek — a w związku z niedawnym opracowaniem przez warszawskiego uczonego, po raz pierwszy na świecie, metody sztucznego hodowa-

nia borowików — grzybowy interes ma coraz większe szanse rozwoju.

Dużą popularnością cieszą się coraz gęściej powstające w kraju fermy drobiarskie, pracujące również nie bez szans na eksport swej produkcji. Do tradycyjnie w Kieleckiem hodowanych gęsi, doszły podwarszawskie broilery, kaczki i indyki, co wcale nie musiało, i rzeczywiście nie wpłynęło na obniżenie cen drobiu na rynku, będącego nadal daniem luksusowym i nie wszystkim dostępnym.

W celu uatrakcyjnienia wsi, przybliżenia jej do cywilizowanego świata zaczęto otwierać — w miejsce zmarłych śmiercią naturalną: z zanudzenia, świetlic — wiejskie klubo-kawiarnie. Zajął się tym Ruch, monopolistyczny kolporter prasy i właściciel kiosków. Do dziś powstało takich klubów już parę tysięcy, wyposażonych w telewizor, radio, adapter lub magnetofon. Posiadających kiosk z gazetami krajowymi i zagranicznymi, kosmetykami, zabawkami i ekspres do parzenia kawy. Zamiast setek wódki stawiają sobie wieśniacy kolejki dużej czarnej, tak że były już wypadki interwencji pogotowia ratunkowego wzywane do sercowych awarii w wyniku przepicia mocną — jak z tego widać — kawą. W dymie wiejskich kawiarni zaczynają się również unosić okrzyki: styry kie-ry, ja pas, licytujecie jak noga, sąsiedzie — bo i brydż zawitał pod strzechy.

Ludowe Zespoły Sportowe wychowały sporo znanych sportowców i wiejskie babiny coraz rzadziej się gorszą, gdy ich wnuczki w krótkich majtkach biegają 60 metrów przez płoty i rzucają oszczepem, a nie brukwią.

W celu powstrzymania jesiennych poźniwnych wędrowek na zakupy do miast — otwiera się gromadzkie, wiejskie domy towarowe, zaopatrzone znacznie lepiej niż przeciętna gminna Samopomoc Chłopska handlująca wódką, chlebem, sztucznymi nawozami, masłem, denaturatem. Ale poźniwna wyprawa to przecież nie tylko zakupy, ale i rzadka atrakcja odwiedzenia wielkiego miasta,

a często i mieszkającej tam rodziny — i nic tych jesien-
nych ciągów nie powstrzyma.

W znacznym stopniu anachronizmem stało się tak
bardzo łączące się z obrazem polskiej wsi określenie „pol-
skie drogi”. Coraz częściej te drogi — wysiłkiem właśnie
chłopów — pokryły się asfaltem, a przynajmniej równym
brukiem nie łamiącym już resorów samochodom. Wpraw-
dzie wiejską komunikację stanowią nadal jedno- albo pa-
rokonki, ale autobusy Państwowej Komunikacji Samo-
chodowej docierają prawie wszędzie, a pojawienie się
gości w prywatnych samochodach wieś nauczyła się do-
ceniać, jako że kojarzy się to zwykle z większym lub
mniejszym zarobkiem. Na wiejskich ścieżkach i leśnych
duktach w miejsce dawniej popularnego roweru poja-
wiły się motocykle i mopedy — zwykły już dziś środek
komunikacji na wsi z miasteczkiem i powiatem.

Czasy okupacji i czasy powojenne nauczyły polską
wieś niejednego i nawet ta, tak zacofana, dziedzina gos-
podarki miałaby szanse kolosalnego rozwoju. Gdyby
jeszcze ustrój zmienić.

VI

„Musi — to na Rusi” — to stare powiedzenie wca-
le nie straciło na wartości i jest dziś w kraju tak samo
aktualne, jak w czasie kiedy powstało. Chyba to poczucie
odrębności, indywidualizmu i przekora, jako cechy naro-
dowe Polaków w jakimś stopniu przyczyniły się do cał-
kiem przyzwoitego — w porównaniu z innymi krajami
politycznego Wschodu — przeżycia okresu stalinowskie-
go. Wiece, manifestacje, pochody były uczęszczane dla
świętego spokoju, i, bo nie można było inaczej, ale trak-
towano to wszystko jako „drętwą mowę”, i „mowę-tra-
wę”, kiedy wszystko zaczynało się od słów: „już w sta-
rożytnym Rzymie...” — a kończyło: „... ale dopiero w
Polsce Ludowej”.

Te importowane z Rusi metody nie trafiały wcale do przekonania, a że nikt w ogóle nie był przekonany o wyższości systemu i t.d. radzieckiego, ani „nowego socjalistycznego człowieka” — więc powstały obiegowe powiedzenia jak „głowa radziecka sześć na dziewięć”, albo „głowa radziecka, rozum dziecka”, chyba najdosadniej malujące brak szacunku dla osiągnięć wschodniego sąsiada. To poczucie wyższości wobec „Ruskich” jest tak samo powszechne, jak kompleks niższości tak łatwy do zaobserwowania wśród uczestników radzieckich wycieczek. A niewiara we wszystko, co ze wschodu posuwa się aż do podejrzenia lipy w astronautycznych sukcesach.

Kiedy w latach 1957-58 zabrano się do czyszczenia magazynów Domu Książki, okazało się, że na składzie leżą całe, niemal nietknięte nakłady pisarzy radzieckich, nieraz w wysokości kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Próbowano się tych „cegieł” pozbyć rzucając je na loterie książkowe, dając jako nagrody — wreszcie przeznaczono je na przymiał.

Nabożne celebrowanie wszystkiego co radzieckie przez władze polskie, wywoływało tylko kpiny, toteż jednodniowe opóźnienie występów moskiewskiego MChATu tłumaczyła Warszawa koniecznością przerobienia foteli w Teatrze Polskim na klęczniki.

„Pomoc, przyjaźń, przykład Związku Radzieckiego — źródłem naszych zwycięstw” było hasłem, pod którym odbywały się wszelkiego rodzaju imprezy mające na celu wykazanie wyższości gospodarki, nauki, kultury i techniki pierwszego kraju socjalizmu. Sprowadzano różnego rodzaju fachowców dla zademonstrowania najnowszych metod pracy, ale wyniki bywały nieraz katastrofalne. W czasie generalnego remontu Lublina, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zorganizowało spotkanie polskich murarzy i tynkarzy z gośćmi zza Bugu. Wysłuchano w skupieniu wykładu tynkarza mechanicznego o produkujących metodach, a kiedy przyszła kolej na pytania, polski tynkarz spytał: a jaki jest u was, towarzyszu, rekord

tynkowania na dniówkę? — 80 m², padła odpowiedź — A my tynkujemy 400 — oświadczył polski kolega. I zebranie właściwie się skończyło.

Nie mało krwi napsuło w Polsce stalinowskie wybielanie czasów Katarzyny Wielkiej, cara Piotra, czy niezbyt popularnego w Polsce Suworowa. Ale te ciągoty historyczne obudziły również w Polsce kult historii i tradycji, co naturalnie musiało przypomnieć, że Żółkiewski bywał w Moskwie i to wcale nie „Pociągami Przyjaźni”, że w 1920 roku pod Radzyminem właśnie Ruskim kota pogoniono, i że „oni jeszcze skakali po drzewach, kiedy myśmy grali Szekspira”. Nie na wiele zda się wyciąganie Łomonosowa w kraju, który ma Uniwersytet Jagielloński i ofiarował — niezupełnie dobrowolnie — swemu sąsiadowi dwa najstarsze w dzisiejszym Związku Radzieckim uniwersytety — wileński i lwowski. Tak, tak, obchody millenijne mogą dać najbardziej nieoczekiwane rezultaty.

Wyśmiana radziecka mania rosyjskiego pierwszeństwa w dziedzinie odkryć i wynalazków wpłynęła dodatnio na dalszy rozwój poczucia humoru w Polsce, gdzie do Możajskiego i Popowa dorzucono Eugeniusza Omegina — zegarek, braci Siemionowych, którzy pierwsi sto lat temu zastosowali w Rosji prześcieradło — film, czy bohaterera Związku Radzieckiego Konstantego Zasłonowa, jako wynalazcę kurtyny teatralnej. A tymczasem radziecka mania doprowadziła do buntu w jednej z warszawskich szkół, której uczniowie domagali się od nauczyciela, żeby im podał właściwego twórcę tablicy Mendelejewa, a nie Rosjanina...

Niemniej, język rosyjski jest w Polsce szanowany, ale nie dlatego, by go lubiono, lecz z przyczyn czysto ekonomicznych. Oto podręczniki techniczne, encyklopedie inżynieryjne, słowniki, wydawane w Związku Radzieckim są kompilacją z zachodnich podobnych wydawnictw, a ponieważ prawa autorskie nie są tam poważane — więc ceny masowych wydań są atrakcyjnie niskie. To zainteresowanie dotyczy jednak tylko książek technicz-

nych, bo na co komu na przykład słownik geograficzny, który w ramach tajemnicy państwowej nie ujawnia ani położenia geograficznego, ani liczby ludności radzieckich miast? albo encyklopedia, do której co pewien czas wydawca przysyłał czterostronnicowe wkładki z instrukcją usunięcia innych czterech stron, na których figurował, jak się okazało, wcale nie bohater, ale zwykła swołocz i wróg ludu.

Uczucia Polaków, wcale nie tajone, nie są tajemnicą dla radzieckich ludzi, toteż obywatele Kraju Rad trzymają się z daleka od wolnomyślnych Polaków. Pewnie żadna ambasada w Warszawie nie jest tak odizolowana od polskiego społeczeństwa jak radziecka, wybudowana przez budowniczych Pałacu Kultury i Nauki (na Przyszłość...) poniżej Belwederu. Na przeciwko wykrojono z dawnego Parku Belwederskiego (który po śmierci Bieruta włączono prawie całkowicie do Łazienek) spory kawałek, na którym wybudowano domy dla personelu ambasady. Wszystko to otoczone jest murem i opatrzone zamkniętą bramą, a urzędnicy kursują właściwie tylko na przestrzeni stu metrów dzielących obie enklawy. Tak samo jest z marynarką radziecką z bazy w Świnoujściu, gdzie nawet rodziny radzieckich marynarzy rzadko pokazują się poza swoim gettem.

— *Uch, kakij charoszyj wagonczyk, papa, u nas takich niet* — wykrzykiwał mały radziecki człowiek w zapytającym cieletniku wiozącym do bazy radzieckich urlopowiczów. I czy można się dziwić, że władze radzieckie nie chcą ryzykować zbyt szerokiego zetknięcia się obu narodów?

W ogóle tak zwane kontakty obu społeczeństw nie przebiegały bez wstrząsów. Niedawne to jeszcze czasy, kiedy dochodziło do całkiem krwawych starć po restauracjach i nocnych lokalach uczęszczanych jeszcze dość swobodnie przez przedstawicieli armii-wyzwolicielki. Bywało, że musiano wzywać radzieckie patrole wojskowe, albo przedstawicieli ambasady, by usunąć rozrabiających

majorów czy pułkowników. Sam byłem kiedyś w warszawskim Bristolu celem zalotów grubawego majora, który życia sobie nie wyobrażał bez tanga właśnie ze mną, i dopiero kiedy zaczął sięgać po pistolet, by mnie do tego występu zniewolić — został zabrany przez paru cywilnych Rosjan. Ponieważ nie reprezentuję typu dziewczęcego, jedynym wytłumaczeniem zachowania się mego przeciwnika mogła być wódka. Bo trzeba powiedzieć, że ani w Legnicy i jej okolicach, ani koło Świnoujścia nie widuje się trzeźwych Rosjan, co także jest przyczyną pustki na autostradzie podwrocławskiej nawiedzanej przez radzieckie ciężarówki wojskowe z pijanymi kierowcami. Trzeźwo natomiast trzymają się wycieczki odwiedzające Polskę, zaganiane fachowo przez Inturistowych przewodników i tłumaczy. Taka wycieczka budzi zawsze pewnego rodzaju sensację swymi egzotyczno-niedbałymi strojami, wśród których wybijają się pomidorowe sweterki i skarpetki pań, szerokie portki panów kryjących tors pod gimnastyczną koszulą, w kapeluszach takich jak je zdjęto z półki i — lato czy zima — w kaloszach. Tłumy zbierają się przy balustradzie wiaduktu żoliborskiego, by podziwiać spacerujących po peronach Dworca Gdańskiego, tranzytowych pasażerów radzieckich pociągów, w pizamach, kaloszach i kapeluszach. Najbardziej zaskakujące jest, że oni biorą to za dowód rzeczywistego podziwu.

Wszystko to, co wyżej napisałem jest jak najbardziej niezgodne z konstytucją PRL, która przecież poświęca sporo uwagi przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Tak samo chyba niekonstytucyjne jest nazwanie przez warszawski ludkę kamiennej figury trzech biegaczy przed Stadionem X-lecia na Saskiej Kępie — pomnikiem repatriantów ze Wschodu: bo są goli i szybko bieżną. Transporty repatriantów wracających do Polski w latach popaździernikowych, ich nędzny wygląd i toboły z worka, powieidiały najwięcej prawdy o rzeczywistości codziennej w Związku Radzieckim. Wielu Polaków dobrowolnie pozostało na dawnych polskich terenach, nie chcąc się rozsta-

wać z rodzinnymi stronami. Tych mieszkające w Polsce rodziny obsyłają paczkami, jak amerykańscy krewni krajowców. Z tym, że w większości wypadków zawartość paczek do Wilna, Lwowa, Kowla czy Oszmiany, stanowi cukier, mąka, kiełbasa.

Zamieszczony w *Polityce* rysunek przedstawiał dwu konnych rycerzy nacierających na siebie z furią, a podpis dotyczył dialogu koni: Mówi pan, że u pana też z żarciem nie tego?



Przed każdym poselstwem, konsulatem czy ambasadą w Warszawie, sterczy w popielatej budce wyposażonej w telefon, milicjant. Nie znaczy to, żeby legitymował wchodzących, albo czynił im jakiegokolwiek wstręty. Po prostu — jest. Bo żaden przepis nie zabrania odwiedzania polskim obywatelom placówek państw obcych, choć w niektórych takie odwiedziny mogą obudzić ciekawość kogo nie trzeba. Mimo to przyjęcia w zachodnich ambasadach są raczej tłumne. Może tylko dwie ambasady są dokładnie nadzorowane, mianowicie amerykańska i Izraela. Przed tą ostatnią zorganizowano nawet przed kilku laty kocioł na wychodzących z przyjęcia gości, w którym znalazło się także niemało wysokopartyjnych towarzyszy. I jeżeli istnieje jakakolwiek izolacja pomiędzy polskim społeczeństwem a obcymi dyplomatami, to najczęściej bywa tak z inicjatywy niektórych durnowatych ofiar własnej dezinformacji, które w każdym przyjacielsko nastawionym polskim gościu, gotowe są wietrzyć zamach wywiadu na ambasadzkie tajemnice. Są więc ambasady zachodnie, które się tak odcięły od życia w kraju urzędowania, że właściwie nie wiadomo po co tam są, ani za co ich przedstawicielom płać rządy wysokie pensje, a ich wiedza o Polsce, kraju, w którym spędzają przecież nieraz po kilka lat, jest co najmniej tak egzotyczna, jakby nigdy tam nie byli, a tylko słuchali Radia Wolnej Europy.

Zupełnie inaczej zachowują się korespondenci zagra-

niczni. Dla wielu z nich żaden z dwudziestu ośmiu nocnych lokali Warszawy nie ma tajemnic, i lepiej znają dorozkarskie knajpy Woli czy Targówka, niż przebieg ostatniej sesji Sejmu. Po paru latach potrafią już posługiwać się płynnie „publicznym słowem”, umieją wypić setkę jednym haustem, czasem wywożą polskie żony, a na pewno antyki i kryształ. Dla korespondentów z bliskiego czy dalekiego Wschodu, odwołanie z Polski, to jak wygnanie z raju, i konieczność szybkiego zapomnienia jak się tańczy twista, albo co to jest sztuka abstrakcyjna.

Czasem owocem długiego pobytu jest cały cykl bzdur opublikowanych w formie krótszej lub dłuższej książki, bzdur mających niestety na ogół twarde życie.

Brytyjski reporter donosił kiedyś, że w starym Krakowie zmieniono nazwę ulicy świętego, na Solskiego, który był dowódcą komunistycznej partyzantki. Amerykański dziennikarz przysięgał się, że w Polsce potrzebne są specjalne zezwolenia, żeby kupić bilet z Warszawy do Krakowa. Dwóch duńskich nic nie było w stanie przekonać, że masło nie jest na kartki, chociaż sami widzieli je w sklepach. Inny, teź narodowości, pisał że Polsce urzeczywistnił się wielowiekowy sens o dostępie do morza! zupełnie jakby to Chińczycy, a nie my, wykopali tysiąc lat temu tych samych Duńczyków z Jomsborga — a Norweg uważał za niewłaściwe, że Polska po Październiku zmieniła alfabet na łaćski... Lloyd George nie wiedział, że polska Galicja nie leży w Hiszpanii, natomiast pewna Angielka czyniła mi wyrzuty, że nasz Horthy wydał polskich Żydów Niemcom. Można by tak cytować przez kilkanaście stron, jednym tchem, ale najgorsze w tym jest to, że każdy nonsens jest ochoczo podchwytywany przez krajową partyjną, czy tzw. niezależną prasę i zdrowo wyśmiany, co na pewno nie wychodzi na dobre wierze tubylców w ścisłość informacji prasy zachodniej.

Od takich nieporozumień nie jest także wolna polska prasa emigracyjna, kiedy gromko donosi, że w restauracji Szanghaj i w sklepie Chinka można dostać chińskie anty-

radzieckie broszury propagandowe. Prawdą jest, że Szanghaj serwuje potrawy chińskie, ale jako przedsiębiorstwo należy do Warszawskich Zakładów Gastronomicznych, a nie chińskiego polit-biura, a jedyny Chińczyk, to kucharz trzęsący się o swoją posadę. Chinka dla odmiany jest własnością przedsiębiorstwa państwowego Jubiler, i nie ma personelu chińskiego, jeżeli nie liczyć skośnookiej i pucowanej córki piaskarza z Saskiej Kępy.

Inny polski dziennik donosił kiedyś ze łzami w lino- typie, jak to polskie społeczeństwo dzielnie się trzyma i wbrew politycznym władcom gęsto obsadza kina wyświetlające Krzyżaków. Czy trzeba tłumaczyć, że reżyserskie zespoły filmowe opłacane są przez państwo za kręcenie filmu przechodzącego kilka akceptacji i co najmniej dwie cenzury? a kina też przecież wpłacają pieniądze do skarbu państwa. Nie licząc już tego, że Krzyżaków nakręcono z bardzo politycznym wyrachowaniem dla wsparcia propagandowej kampanii antyniemieckiej, czy anty-NATO.

Przez całe lata okresu stalinowskiego i infantylnej propagandy, mieszkańcy tego kraju byli traktowani jak gromada niedorozwiniętych hydrocefali, którym trzeba wszystko nie tylko wytłumaczyć, ale jeszcze podać na talerzu dobrze przeżute. Od tamtych czasów zmieniło się wiele. Już nikt poza zupełnymi idiotami w polskim rządzie, nie myśli, że ma do czynienia z trzydziestoma dwoma milionami półgłówków.

W powszechnie dostępnych klubach prasy można bezpłatnie przeczytać *Times'a*, *New York Herald Tribune*, *Le Monde*, *Newsweek*, *Life*, *Paris Match*, *Frankfurter Allgemeine*, *Neue Zürcher Zeitung*, *Corriere della Sera*, *Die Zeit*, *Christian Science Monitor* i wiele innych gazet wcale, jak widać, niekomunistycznych. A jeżeli się chce mieć gazetę w domu, to można kupić, jeżeli się nie przyjdzie za późno, kiedy cały zapas został już rozsprzedany. Po bibliotekach można znaleźć zarówno wychodzącą w Ameryce, jak w Anglii czy Francji polską prasę emigracyjną. Kilkanaście księgarni w samej tylko Warszawie

sprzedaje wydawnictwa książkowe z całego świata — i kto chce może być bardzo dobrze zorientowany w bieżących wydarzeniach światowych. Głos Ameryki przestał nadawać już dziecinne Chatki Puchatka (przepraszam — Walczakowie w Ameryce), i na placu pozostali tylko ci, którzy niewiele, jak dotąd, ze zmian zaszyłych w kraju zrozumieli, i traktują polskiego odbiorcę tak jak dawniej stalinowscy propagandyści — to jest jak matoła.

Słuchając lub czytając co się i jak nieraz na Zachodzie pisze, odnosi się w kraju wrażenie, że dla wielu mieszkających za granicą publicystów czas zatrzymał się na wrześniu. Dla wielu Polska wydaje się, a więc jest, bo powinna być, kontynuacją tego co przerwał Hitler, a czego w rzeczywistości nie ma i nie będzie — bez względu na panujący ustrój — bo nie zawraca się biegu historii nawet na życzenie ostatnich ułanów Rzeczypospolitej. Na ogół właśnie z takim bagażem niewiedzy i uprzedzeń przyjeżdżają do Polski przedstawiciele nowej, powojennej emigracji na konfrontowanie faktów z legendą. I każdy znajdzie to co chce, ale nie zawsze wspólny język z tymi, co przeżyli ostatnie dwadzieścia pięć lat inaczej, ale na pewno trudniej.

Polska nie była, nie jest i nie będzie krajem komunistycznym, ale nie wróci też nigdy do nie najlepszych czasów radosnej twórczości. Toteż nie należy mierzyć Polski dzisiejszej i jej spraw ani miarą przykładaną do Związku Radzieckiego, ani inną, krańcowo różną, tą z czasów przedwojennych, którą zaróżowia prawo optymistyczne pamięci.



Nowe drogi i nowe formy propagandy partyjnej okazały się skuteczne nie tylko wobec poddanej ich działaniu ludności, ale również, jak to starałem się wykazać, poprzez niezrozumienie i niedocenienie ich na Zachodzie przez instytucje, którym powierzono zadania prowa-

dzenia kontrpropagandy. Wiktor Grosz, autor niesław-
nego plakatu „AK zapluty karzeł reakcji”, przewraca się
pewnie w grobie, ale dziś Warszawa ma ulice Zośki, Pa-
rasola i Baszty i Plac Powstańców Warszawy. Nierozła-
dowany, istniejący latami kompleks AK, został już po
kilku latach nowych metod prawie rozładowany. O kilku
lat mówi się i pisze o Powstaniu z szacunkiem, choć
coraz częściej wspomina się o AL, a coraz mniej o AK.
Warszawska Nike, która miała być pomnikiem Powsta-
nia, została w końcu poświęcona pamięci bohaterów
Warszawy 1939-45, co obejmuje wszystkich, którzy w
jej obronie walczyli, ale jednocześnie pozwala uniknąć
wymieniania nazw organizacji, co byłoby konieczne,
gdyby miał to być pomnik powstańców. Zamiast tego
powstały drużyny harcerskie imienia Zośki, Parasola,
Wigier, Szarych Szeregów, ze znakiem Polski Walczącej
na chustach — a na akademii w Sali Kongresowej,
w przeddzień rocznicy Powstania, padły z ust Kliszki
dobrze politycznie rozważone słowa przyjaźni pod adre-
sem pozbawionego kiedyś przez polski rząd obywatel-
stwa, pułkownika Żywiciela-Niedzielskiego.

Jasne jest, że kierunek propagandowy nie jest sta-
wianiem na bezpośrednie skomunizowanie społeczeństwa,
lecz na patriotyzm, niezawodnego konia w przypadku
polskim. Teraz, kiedy pojawiła się konkurencja w postaci
ZBoWiDu, obie strony: Gomułkowska i Moczarowa prze-
ścigać się będą w ojczyźnianych frazesach. Nawet sprawa
listu biskupów rozgrywana jest przecież na płaszczyźnie
anty-niemieckiego patriotyzmu, kapitalna gratka dla par-
tii, skoro można i polskością swoją się pochwalić i w
Kościeł przy okazji trafić.

Podlizywanie się polskiemu społeczeństwu przybiera
najróżniejsze formy poczynając od zmiany umundurowa-
nia wojska na — w przypadku spadochroniarzy — an-
gielskie, lub w innych formacjach na tradycyjnie polskie,
co w gruncie rzeczy wyszło tylko na dobre wyglądowi
polskich żołnierzy. Strzelcy podhalańscy znów noszą pele-

ryny i okrągłe góralskie kapelusze z piórem, lotnicy stałowe mundury i orzełki z husarskimi skrzydłami, pancerniacy czarne berety, piechota morska — niebieskie. Także od niedawna zaczęto w jednostkach wojskowych pielęgnować tradycje, nie tylko te od „Lenino do Berlino”, ale i te od Narviku, Tobruku, Monte Cassino i Bitwy o Anglię.

Nadaje się nowe nazwy statkom handlowym takie jak Tobruk, czy Monte Cassino, a i sopocką ulicę Rokossowskiego przemianowano na Monte Cassino.

Mniej mówi się o pomocy radzieckiej przy odbudowie kraju, a coraz częściej podkreśla, że to sam naród własnymi siłami, bez Planu Marshalla (co zresztą jest najczystsza prawda) odbudował i zbudował to co jest dziś. A ludzie sobie sami dośpiwują: i przy braterskim okradaniu Polski przez Związek Radziecki.

Trwające od kilku lat obchody Tysiąclecia dały okazję do przypomnienia historii Polski, co przede wszystkim uzmysłowiło ludziom, że na tysiąc lat komuniści rządzą krajem tylko dwadzieścia — i że jeżeli jutro znikną, to pozostaną mało znaczącym fragmentem dziejów. Także w ramach zdrowego rozsądku wycofano ze sprzedaży wydaną w Związku Radzieckim koszmarną „Historię Polski”, typowy produkt stalinowskiej historiozofii. Zadbano wreszcie o dotarcie do Polonii zagranicznej, przede wszystkim starej: amerykańskiej, brazylijskiej, francuskiej. Zamiast przymusu kochania Kraju Rad, zaprezentowano społeczeństwu polityczną konieczność sojuszu z jedynym jak dotąd gwarantem zachodniej granicy Polski. Zwiększone poczucie bezpieczeństwa ludności Ziem Zachodnich sprawiło, że nie pakuje już ona manatów przy każdym groźniejszym pomruku w radziecko-amerykańskich stosunkach. Podkreślanie niebezpieczeństwa grożącego ze strony Niemiec Zachodnich zastępuje ewentualność ostrzejszego atakowania Stanów Zjednoczonych, co mogłoby wśród ludności mającej niemałe związki z zaoceanicznymi rodakami, być niepopularne. Anty-

patie amerykańskie łatwiej i bezpieczniej jest wzbudzić na przykładzie konfliktu wietnamskiego — antypolskimi akcentami polityki NATO obciążając w Europie przede wszystkim Niemców. Nie ulega wątpliwości, że przy pomocy straszaka niemieckiego bardzo łatwo uzyskać w Polsce bardzo wiele, a amerykańskie zaangażowanie w Wietnamie nie należy do popularnych. W Polsce istnieje przekonanie, że zarówno rewolucja kubańska, jak i początki konfliktu wietnamskiego były u swoich podstaw i początków, ruchami rzeczywiście wolnościowymi dla obalenia miejscowych dyktatur, a dopiero później pod wpływem czynników zewnętrznych, przechwycone zostały przez komunistów. Winą za dojście Fidela Castro do władzy obarcza się w kraju Stany Zjednoczone, którym dyktatura Battisty nie tylko nie przeszkadzała, ale nawet była wygodna. Te opinie nie są oczywiście zupełnie zgodne z tym, co w tej mierze mają do zaoferowania wersje oficjalne, znacznie bardziej radykalne w opiniowaniu historycznym. Trzeba jeszcze raz zwrócić uwagę, że opinia publiczna w Polsce nie jest odcięta od wszechstronnej informacji, mając do dyspozycji prasę zagraniczną wszelkich zabarwień i odcieni, plus dokładną wiedzę o tym jak należy czytać krajowe gazety.

Problem niemiecki leży oczywiście w centrum zainteresowań polskich, a nieustanne skomlenie Niemców o zjednoczenie, budzi niezdrowe uczucia w kraju, który dopominał się o zjednoczenie i wolność przez sto pięćdziesiąt lat. Jest rzeczą pewną, że ogromna większość ludzi chętnie by widziała nie dwa, ale dwadzieścia państw niemieckich. Podobnie zresztą jak naprężone stosunki radziecko-chińskie wcale nie martwią Polaków świadomych, że nareszcie i Związek Radziecki ma większe kłopoty niż zajmowanie się swymi europejskimi partnerami. I żeby jeszcze w Polsce zmienić rząd — to sytuacja byłaby właściwie bliska ideału, czyli jak przed Fryderykiem i Piotrem, minus Szwecja.

Choć NRD jest serdecznie nielubiana, a Ulbrichtowi

nie zapomniano jego moskiewskiego przemówienia we wrześniu 1939 roku gloryfikującego zniszczenie „pańskiej Polski przez niemieckich robotników” — to sam fakt istnienia państwa niemieckiego, które uznaje polskie granice i nawet broni naszych interesów przed innym państwem niemieckim — nie budzi wstrętu. A że oba państwa niemieckie ze sobą nie rozmawiają — to ich niemiecki interes.

W sytuacji Polski, kraju, w którym nie ma ani jednej rodziny bez strat poniesionych z rąk hitlerowskiego okupanta, łatwo jest rządowi być pro-radzieckim i antyniemieckim — i znaleźć chętnych słuchaczy. Chociaż prasa zachodnio-niemiecka jest dostępna i czytana, to jednak z kraju nie widać jakie są proporcje między *Die Zeit* czy *Frankfurter Allgemeine*, a najczęściej przez prasę w kraju cytowaną *Soldaten Zeitung*. Sam fakt istnienia w Niemczech pisma nacjonalistycznego, którego język nie odbiega wiele od tonu *Völkischer Beobachter* — wystarczałby wyczulonym na takie rzeczy Polakom, a jeszcze zjazdy byłych SSmanów i ziomkostw śląskich, pomorskich czy z b. Prus Wschodnich — tylko obraz zaokrąglają. Ciekawe czy ktokolwiek z uczestników takich związków i zjazdów choć przez chwilę zdaje sobie sprawę, że jest najwierniejszym sojusznikiem komunistów?

Poza tym logika jest prosta: Niemcy wywołały wojnę, prowadziły ją w sposób nieznanym w historii, zostawiając za sobą miliony pomordowanych, wreszcie tę wojnę przegrały — a teraz jakby nigdy nic, chciałyby wrócić do *status quo* sprzed Anschlussu. Fakt włączenia Niemiec Zachodnich do NATO i przyjazno-alianckie stosunki niemiecko-amerykańskie, to — w pojęciu Polaków — największy błąd USA w powojennej polityce europejskiej, zamykający, przede wszystkim, Polsce i Czechosłowacji drogę wyboru, nawet gdyby taki wybór zaistniał. Bo wybór w wypadku Polski to byłaby wolność od Rosji, ale bez Ziem Zachodnich (istnieje przekonanie, że w wypadku takim USA poparłaby racje niemieckie a nie polskie),

albo posiadania tych terenów w zależności i pod gwarancją ZSSR. Sprawa może wyglądałaby inaczej, gdyby była ewentualność powrotu na wschód, ale w sytuacji obecnej, gdy naród olbrzymim trudem i wyrzeczeniami odbudował ponemieckie tereny zdewastowane przez wojnę i radzieckie „ewakuacje” — innego wyjścia nie ma. Stąd może sympatia dla Francji i planów De Gaulle’a, choćby jego pierwszym partnerem polityki europejskiej miał być Związek Radziecki.

Wszystko to razem nie przeszkadza, że Polska czuje się Zachodem, a niemiecka bariera między kulturalnymi braćmi, Francją i Włochami, nie jest niczym nowym. Okazuje się, że myślący symbolami Rosjanie zdają sobie z tego sprawę, bo Adżubej kiedyś powiedział w Warszawie: *a wasz ariol tak wsio i na zapad smotrit* — co uprzytomniło obecnym, że rzeczywiście nasz orzeł ma głowę obróconą w lewo, czyli — na zachód...

Zupełnie inne zdanie co do tego — jak wynikałoby z ostatnich przemówień — ma Gomułka. Ale kto naprawdę w dzisiejszej Polsce, w dziesięć lat po Październiku, liczy się ze zdaniem Gomułki?!



Nietuzinkowo układały się w ciągu ostatnich dwudziestu lat stosunki polsko-czechosłowackie, obciążone nie najlepszym wspomnieniem zaolziańskiej afery. I chociaż odebrano Czechom to samo, co oni sobie w podobnych okolicznościach w 1920 roku wzięli — został pewien katz.

Przez wiele powojennych lat granica południowa była strzeżona tak pilnie jak dziś polsko-radziecka, a w Tatrach szczyty, przez które ona przebiegała, jak Świnica, Rysy, czy Czerwone Wierchy, były niedostępne dla turystów z obu stron. Politycznie Czechosłowacja miała zawsze więcej sympatii pro-rosyjskich związanych bądź z XIX-wiecznym panslawizmem, bądź ze znacznie silniejszym

niż w Polsce ruchem komunistycznym. Także okres okupacji hitlerowskiej przeżyła Czechosłowacja znacznie spokojniej i ze stosunkowo małymi ofiarami, mając na swym koncie tylko jeden udany zamach na Heydricha (wykonany zresztą przez spadochroniarzy), Lidice (jakich w Polsce na tuziny) i powstanie słowackie, które przemilczane przez długi czas, jest teraz politycznie wygrywane tak natrętnie, że mówi się tam o istnieniu Przedsiębiorstwa Państwowego „Powstanie Słowackie” z siedzibą w Bańskiej Bystrzycy.

Okres stalinowski zaznaczył się większym niż w Polsce terrorem, w którym spadła niejedna rządowa głowa — i wybudowaniem kolosalnego pomnika Stalina, który prażan gniewał przede wszystkim dlatego, że uniemożliwił przebicie tunelu pod wzgórzem, na którym go wzniesiono, dla skrócenia połączenia z dzielnicą Holeszowice. Wysoko uprzemysłowione jeszcze przez monarchię austro-węgierską Czechy były zazdrosne o swój stosunkowo wysoki standart życia, i tym tłumaczy się dowcip, że w Październiku Węgrzy zachowali się jak Polacy, Polacy jak Czesi, a Czesi jak świnie — aż do zatrzymywania polskich transportów z plazmą, opatrunkami i żywnością, przeznaczonymi dla Budapesztu. Żaden też pewnie kraj na wschód od Łaby nie miał tak urozmaiconej służby bezpieczeństwa, zorganizowanej aż w trzech ministerstwach, co pozwoliło zwierzyć się kiedyś, siedzącemu dziś w więzieniu, ministrowi Barakowi, na przyjęciu w polskiej ambasadzie, że „w Czechosłowacji takie rzeczy jak w Polsce byłyby niemożliwe, bo tu każdy obywatel jest obstawiony”. Inny, wojskowy, prominent był łaskaw oświadczyć, że w 1956 roku miała Czechosłowacja na granicy polskiej czołgi z zapuszczonymi motorami. — Dojechalibyśmy aż do Warszawy — chwalił się.

Zwykły, przeciętny obywatel jednak zazdrościł Polsce swobód, jakich Czechosłowacja nie znała, i — jeżeli go wypuszczono — jechał do Warszawy jak do Paryża, nadychać się wolności, przynajmniej kulturalnej. W pol-

skim ośrodku na Vaclavskim Namêsti sprzedawano tygodniowo kilkanaście tysięcy egzemplarzy polskich tygodników, a już na parę godzin przed otwarciem ustawiał się ogonek po płyty z *rock'n'roll'em*.

Od tego czasu minęły lata, które wyrównały dysproporcje przez recesję wolności w Polsce i jej powolny postęp w Czechosłowacji. Nastąpiły też zmiany inne, w wyniku których jeździ się do południowego sąsiada bez większych trudności, a taternicy nie muszą już tylko nóg moczyć w Morskim Oku, ale swobodnie wędrują w Słowackie Tatry. Różnice ustrojowe w rolnictwie są jednak przyczyną tarć, dla których rozwiązania jak dotąd nie ma — chodzi mianowicie o, głównie, łąki na Orawie i Spiszu, jakie polscy górale mają w Słowacji, a słowaccy w Polsce. Ze strony polskiej nie stawiano trudności, bo własność prywatna jest uznawana, natomiast ziemia polskich górali została znacjonalizowana po drugiej stronie i wszelkie próby wypasania albo koszenia kończą się aresztowaniem. Te drobne, zdawałoby się, nieporozumienia są przyczyną nieustannych tarć, i tylko patrzeć jak pojawią się Janosiki, by przywrócić sprawiedliwość na skalnej ziemi.

Praga po wypadkach 1956 roku stała się dla Polski mniej więcej tym, czym Ułan Bator dla Moskwy — miejscem zesłania uciążliwych, z którymi nie wiadano co zrobić w kraju. Toteż ambasadorem został były członek polit-biura i szef Natolina, który o mało nie stał się polskim Kadarem, a attaché wojskowym jeden z najgłupszych ludzi, jakich Polska wydała, generał Witaszewski. Dla towarzystwa dorzucono jeszcze byłego wiceministra kultury, Piotrowskiego, który wsławił się obcięciem praw autorskich, w związku z czym Polska rodzinom swoich autorów płaci tylko przez dwadzieścia pięć lat, a za granicą, w dewizach, przez obowiązujące w prawie międzynarodowym, czterdzieści. Ci obaj ostatni są już od kilku lat w Polsce, Witaszewski na odpowiedzialnym stanowisku szefa wydziału administracyjnego KC, a Piotrowski

dożywa swych dni jako piąte koło u żadnego wozu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Mazur zaś specjalizuje się na swym stanowisku w upijaniu się *en deux* z radzieckim ambasadorem i w polsko-czechosłowackiej kooperacji przemysłowej. Ta kooperacja nie musi wychodzić naszemu krajowi na dobre, ale Mazur należy do starej szkoły stalinowskiej, według której żadne ofiary nie są zbyt duże, jeżeli złożone na ołtarzu celów politycznych. Z tym podejściem pasował on i pasuje jak nikt inny do politycznej atmosfery Pragi, i na pewno będzie ostatnim, który by zaprotestował przeciwko trwającej likwidacji polskich związków i towarzystw w Czechosłowacji. Polakiem jest tylko z zawodu, jako Ukrainiec, były oficer NKWD i czerwonej armii, który nawet przed wojną nie należał do KPP, lecz do KP Zachodniej Ukrainy i mówi po polsku dość kiepsko, z rosyjskim akcentem, a z żoną Rosjaną, oczywiście po rosyjsku.

Jest łatwy sposób na zdrapanie z Czecha warstwy miłości i przywiązania do Związku Radzieckiego: wystarczy spytać, co się dzieje z wydobywanym w Czechosłowacji uranem — wtedy każdy zwykły Czech zaczyna się pienieć, co zadawałoby kłam rosyjskiemu powiedzeniu, że oni, Rosjanie, też chcieliby zrobić paździenik, tylko się Czechów boją. Bo z drugiej strony, jak głosi popularne powiedzenie: każdy Czech ma w szufladzie warkocz — bo może kiedyś przyjdą Chińczycy...

VII.

Po okresach odwilży, „stu lat”, „błędów i wybaczeń”, nadszedł czas Polski Moczarstwowej (od MO-czara). Obrotowe przedmurze obróciło się jeszcze raz — kto wie czy tym razem nie na długo. Ludzie Miecicia (bo Mieczysław mu na imię) coraz szerzej i głębiej wchodzą w najrozmaitsze środowiska i robią co mogą, by w ra-

mach praworządności zorganizować parę ciekawych procesów. Związek Bojowników o Wolność i Demokrację przetwarza się powoli w prywatną partię, chyba nie bez przyszłości, skoro stary gimnastyk Cyrano de Premierac już tam przymknął.

Jeszcze przed niespełna dwoma laty został uniewinniony pewien gentleman postawiony przed sądem za opowiadanie dowcipów o Gomułce. Werdykt opiewał, że ponieważ Gomułka nie jest członkiem rządu, nie może być mowy o obrazie takowego — a jeżeli dowcipem poczuł się dotknięty, może dochodzić satysfakcji na drodze oskarżenia prywatnego. Ale od tego optymistycznego wydarzenia minęło, jak się rzekło, dwa lata i kilka procesów z oskarżenia publicznego i nie o dowcipy.

Mówi się w Polsce, że liczne w ostatnich latach procesy gospodarcze są dziełem Moczara dla skompromitowania skorumpowanej administracji gomułkowskiej. I rzeczywiście fala procesów zbiegła się mniej więcej w czasie z utworzeniem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych departamentu zajmującego się sprawami gospodarki, czarnego rynku i waluciarzy. Ale obok fali procesów, utworzenie tego departamentu miało jeszcze jeden skutek: rosnący opór dyrektorów przedsiębiorstw państwowych, którzy poczuli się zagrożeni w swych nielegalnych dochodach przez infiltrację podglądaczy. Na dobrą sprawę, w istniejącej dżungli przepisów prawnych, dekretów i wewnętrznych zarządzeń, można znaleźć zawsze poręczny paragraf, jeśli się chce koniecznie kogoś trafić, toteż obawy dyrektorów są w każdym wypadku uzasadnione. Stworzyło to konieczność samoobrony i wewnętrznego systemu kontr-wywiadu, pracującego dla kierownictwa przedsiębiorstwa. Jeżeli się infiltratora odkryje, to przecież jest mnóstwo jak najbardziej legalnych sposobów pozbycia się go jak najszybciej. Można się domyślać jak zbawiennie musi taka sytuacja wpływać na atmosferę pracy. Niemniej faktem jest, że czy to z powyższych przyczyn, czy też starej i jakże uzasadnionej nienawiści —

konfidenti Moczara pracują w kraju w warunkach niewiele różnych od warunków pracy szpiega na obcym terytorium.

Jest regułą, że telefony nawet dyrektorów departamentów w ministerstwach są na podsłuchu, spod którego wyłączona jest tylko tak zwana rządówka, czyli sieć telefoniczna wysokiej częstotliwości, do której przewodnikiem jest niewielka książeczka telefoniczna, zawierająca numery telefonów ministrów, sekretarzy KC i KW, dyrektorów departamentów (nie wszystkich) i dyrektorów niektórych wielkich zakładów przemysłowych (np. Nowa Huta). Także regułą jest podsłuch rozmów zagranicznych, a niedawno znajomy cudzoziemiec, który chciał rozmawiać z zagranicą, opowiadał mi, że telefonistka zapytała go, w jakim języku będzie prowadzona rozmowa, bo jeżeli po szwedzku, to prosi go, żeby zadzwonił później, bo... tłumacz wyszedł na obiad. Niemniej prywatne telefony, tak jak i prywatna korespondencja są kontrolowane w zasadzie tylko w wypadku, gdy chodzi o osoby podejrzane, czy notorycznie „niebłagonadiożne”. To by dowodziło jednak znacznego postępu w stosunku do czasów Radkiewicza i Różańskiego.

Ale nie dajmy się zwieść pozorom. Grzeczna i powierchowna kontrola bagażu na warszawskim Okęciu ma swoje wyjaśnienie w częstych wizytach mikrobusiku z ośrodka badań jądrowych w Świerku koło Warszawy, opatrzonego w międzynarodowy znak ostrzegający przed promieniowaniem. Także ułatwienia w rejestracji cudzoziemców mogą znaleźć swoje uzasadnienie w wyposażeniu większych hoteli, głównie orbisowskich, na przykład, w blondynki w kozaczkach, jak w warszawskim Grand Hotelu w pokoju na pierwszym piętrze. Czy trzeba dodawać, że taka pani jest etatowym pracownikiem departamentu szóstego MSW (jeśli się myślę w numeracji, niech, kto wie, sprostuje).

Nie należy jednak satanizować ani MSW ani ludzi, którzy pracują w Orbisie, do czego skłonni są zagraniczni

turyści wietrzący w każdym przewodniku co najmniej majora wywiadu. Tak źle w Polsce nie jest i chyba nie będzie, a ogromna większość gości z Zachodu nie jest dla MSW ciekawa. Zresztą wydaje się, że towarzysz Moczar bardziej interesuje się sprawami wewnętrznymi — kłopotów przecież nie brak: i kler, i intelektualści, i przestępstwa gospodarcze — zagraniczne zostawiając Czechom i Niemcom z NRD. Ci ostatni wykazują wyjątkową dbałość o dziewictwo polityczne swych wschodnich sąsiadów, bawiąc się w donosy na polskich obywateli i do swoich i do polskich władz bezpieczeństwa. (Kiedy w przypływie przyjaznych uczuć pozwolono raz wschodnio-niemieckim dziennikarzom zwiedzić bez ministerialnego zezwolenia stoczną szczecińską — *Neues Deutschland* oskarżyła kierownictwo stoczni o brak czujności rewolucyjnej!)

Okres odbudowy aparatu bezpieczeństwa, nowe zadania i w nowych warunkach, postawiły także nowe wymagania personalne. Dziś coraz częściej „tarcza i miecz proletariatu” musi się wykazać wyższym wykształceniem ekonomicznym albo prawniczym, a lista emerytów powiększyła się o licznych ludzi w wieku daleko przed-emerytalnym. Niepotrzebni z dawnego UB, zwolnieni z dnia na dzień w optymistycznych dniach popaździernikowych, znaleźli się nagle na bruku. Brak jakichkolwiek kwalifikacji zawodowych zmusił ich do szukania pracy w PGRach, w restauracjach — skąd z kolei wypędzał ich bojkot towarzyszy pracy, gdy tylko przeszłość nowego kolegi przestawała być tajemnicą. Tak było z drobniejszymi rybkami, bo ryby większe albo siedzą — jak się powiedziało — na niemałych emeryturach, dorabiając na chałturach w MSW, albo znalazły synekury po kątach. Sam Różański ponoć spokojnie sobie amci w moskiewskich biurach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej; o Radkiewiczu jakoś się nie słyszy, więc może żyje na utrzymaniu swej telewizyjnej żony — a dawny szef warszawskiego UB, Wołkow, może sobie pozwolić ze

swej cztery tysiące wynoszącej emerytury, na codzienną kawę w Świteziance.

O ile „politechnizacja” młodzieży i „postęp techniczny” pozostały raczej na cierpliwym papierze, o tyle bezpieczeństwo się znacznie „spolitechnizowało”, żeby choć wymienić wspomniane wyżej izotopy ze Świerku, noktowitzory, mikrofony w ambasadach i prywatnych mieszkaniach zagranicznych dyplomatów. Wstręt do Niemiec Zachodnich nie obejmuje MSW, które pokonując obrzydzenie wyposażyło się obficie w samochody pości-gowe marki Mercedes, skoro Warszawy mogą najwyżej dogonić karawan miejskich przedsiębiorstw pogrzebo-wych. Także radiotelefony, na które zabrakło pieniędzy dla pogotowia ratunkowego i straży ogniowej — należą do normalnego wyposażenia bezpieczeństwa i pogotowia MO. (Jeżeli zobaczycie, Czytelnicy, czarny Mercedes z anteną na środku dachu — to to właśnie to). To rozpowszechnienie środków technicznych w służbie mas pracu-jących pozwoliło na takie wspaniałomyślne gesty jak udo-stępnienie w pewne dni, dla zwiedzających, stoczni gdań-skiej i Nowej Huty — choć w tej ostatniej nigdy i niko-mu nie pokaże się oddziałów produkcji „S” (specjalna — czytaj: wojenna), pomijanych także w statystykach.

Z tym wszystkim gdy dochodzi do procesu kogoś o coś, sądy nie przyjmą dowodu w postaci taśmy magne-tofonowej — a dowieść winy jednak trzeba, bo samo przyznanie się oskarżonego dziś nie wystarcza. Toteż to-warzysze z Rakowieckiej i Puławskiej muszą się dobrze nagimnastykować, podstawić prowokatorów i konfiden-tów gdzie trzeba, by zdobyć niezbędnych świadków czynu przestępczego. A o to wcale nie łatwo, bo nie zawsze się uda zmusić, czy zaszantażować kogoś do współpracy, ochotników niewielu, a roboty coraz więcej.

Tym więcej, że ubyło pilnie strzeżonych tajemnic tak rozpowszechnionych w minionym okresie, kiedy to wie-ziono dziennikarza niemalże z zawiązanymi oczami do, po raz pierwszy pokazanej, fabryki samolotów odrzuto-

wych, po to, by on tam stwierdził, że do miejscowej biblioteki fachowej przychodzą z zagranicy pisma zaadresowane: „Państwowa Fabryka Samolotów, Mielec, Polska”; kiedy to locje musiały być przechowywane w kasie pancерnej w kabinie kapitana, a wrak na redzie portu szczecińskiego odkryto na podstawie locji angielskiej; kiedy to tubylcy spod Zielonej Góry pokazując z okien pociągu mijany las ogrodzony drutami kolczastymi, mówili: „a tu jest ta podziemna fabryka benzyny syntetycznej”. Budujący się wtedy nowatorski kombinat obuwia miał i szlaban u bramy wjazdowej i wartownika z automatem, i nawet przepustki wydawane przez warszawskie Ministerstwo Przemysłu Lekkiego — tylko nie był ogrodzony! Dziś takich idiotyzmów spotyka się mniej i nawet mieleckie zakłady nazywają się bardziej adekwatnie Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego i obok MiGów wyrabiają pralki i lodówki.

Polska jest jednak dziwnym krajem, bo na przykład trudniej jest dostać zezwolenie na zwiedzenie fabryki Wedla, niż obejrzeć sobie z zapuszczonej pod-wrocławskiej autostrady radzieckie wyrzutnie raketowe, bez żadnych przepustek i utrudnień; korytarze powietrzne omijają z daleka Bydgoszcz jako teren wojskowy, ale to nie przeszkadza, że gdy Okęcie nie przyjmuje samolotu z powodu na przykład oficjalnej wizyty — LOTowska maszyna ląduje w Bydgoszczy między rzędami odrzutowych maszyn stojących w pogotowiu startowym. Nie jest wykluczone, że ktoś w Polsce dobrze władzom znany, na przykład z Radia Wolna Europa, mógłby do kraju przyjechać, obejrzeć stare kąty, i wyjechać, zanim by się kto trzeba, zorientował. Nie jest także wykluczone, że aresztowano by go już na granicy. To najlepiej ilustruje sytuację w Polsce: nikt nic nie wie. Toteż jeden znajomy po wakacjach spędzonych w Jugosławii, powiedział: „lubię Jugosławię. Tam wszystko jest naprawdę, i komuniści, i policja — nie tak jak u nas, gdzie właściwie nie wiadomo kto jest kto i co jest co”.

To „naprawdę” trafia w sedno rzeczy. Wydaje się, że w Polsce wszyscy się bawią i nawzajem oszukują, a jedyny człowiek na serio w tym całym bałaganie, to Gomułka, który, żeby jeszcze bardziej sprawę odrealnić, bierze wszystko ze śmiertelną powagą.

Domyślam się, że jedna z drugą instytucją na Zachodzie, której powierzono zadania obrony jej kraju, zachodzi nieraz w głowę po co i dlaczego utworzono nagle w Polsce nowe przedsiębiorstwo handlu zagranicznego. Zaangażowano przecież w to niemałe pieniądze, stworzono sztab ludzi i td. — a tymczasem sprawa jest dziecinnie prosta. Jakiś Iksiński ma pociota w KC, i ten pociot wymyślił, że ładnie byłoby zrobić coś dla rodziny. A więc tworzy się przedsiębiorstwo, by z rodzinnego niedołęgi-matoła zrobić dyrektora, dać mu pojeździć, odkuć się, zwiedzić co-nie-co. Że z czasem jakąś pociechę będzie miał z tego Moczar albo Korczyński — to już inna sprawa i także wątpliwa. Jak na ich potrzeby — dotychczasowe ramy wystarczają, a jeśli są mało skuteczni, to nie ich wina, tylko ludzi, którym kapitalistyczna ekonomia przesłoniła Marksa, Engelsa, Lenina i Gomułkę.

Swoją drogą nie należy nie doceniać wypróbowanej i zahartowanej organizacji. Jeżeli nie zawsze potrafią wysledzić wszystko, co by chcieli, to z drugiej strony umieją w wielu wypadkach ustrzec tajemnicy. Taką najbardziej chyba chronioną tajemnicą był dokonany przed kilku laty zamach na Gomułkę, w czasie jego wizyty na Górnym Śląsku. I do dziś zresztą nie wiadomo czy schwytano sprawcę i kim on był.

Inną tajemnicą jest niejasna do dziś sprawa porwania syna Bolesława Piaseckiego, choć na przykład wiadomo, że to w związku z tym został aresztowany na Okęciu, przed odlotem do Izraela, prywatny kierowca Bermana.

Inne historie wychodzą na jaw dzięki niedyskrecjom, a czasem różnym rodzinnym powiązaniom, jak na przykład sielska opowieść o tym jak i kiedy zginął Beria.

W innym wypadku okazało się, że przebieg konferencji w ścisłym, zamkniętym gronie MSW, w rekordowo krótkim czasie przedostał się na Zachód. Co pewien czas Gomulka dostaje szału anty-dziennikarskiego, bo los chce, że wiele z takich wydarzeń dziwnym trafem związanych jest z tym właśnie plotkarskim środowiskiem. Inni znów doznają napadów paroksyzmów antysemickich — zwłaszcza po takiej kolejce jak Światło, Bialer, Monat, Tykociński — w takt wybijany Gazruką, którego od antysemityzmu nie powstrzymuje nawet żona Żydówka (reprezentująca zresztą rozsądek w tym stadle).

Ten antysemicki kurs dotknął jak dotąd przede wszystkim MSZ, chociaż jak wszędzie i zawsze, stosuje się go tylko wobec dołów, jeżeli zbyt mocna góra jest nietykalna dla byle kogo, czyli np. Witaszewskiego. Znacznie mocniejsze formy, jak się zdaje, przybrało czyszczenie MSW z elementu niepewnego, czyli tym razem Żydów, którzy kiedyś zajmowali niemal wszystkie wyższe stanowiska w aparacie bezpieczeństwa. Mylące przybrane nazwiska jak Różański, Naszkowski, Birecki i td. sprowokowały dowcip według którego najpotrzebniejsza książka to polskie *Who is Amhu* (*amhu*, po hebrajsku — swój). Niezależnie od czystek antysemickich przykręca się śrubę ideologiczną w prasie, radiu i telewizji, wśród filmowców, literatów. Trudno jest powiedzieć ile jest w tym roboty Moczara i jego ludzi, ale na pewno niemało zważywszy na wspólne antypatie partyjnej góry do wszystkiego co intelektualne, a więc niezrozumiałe. Odszedł Galiński, którego nawet lizusy w jego ministerstwie nazywali pół-inteligentem, ale na tym stanowisku, przeciwko poglądom KC, nikt nie jest w stanie nic dobrego zrobić dla intelektualistów.

Po paru latach odwilżowych, po kilku latach karuzeli, znów nadeszły lata chamów czy to z przedwojennej warszawskiej Woli, czy z łódzkich Bałut.

Co do Witaszewskiego jeszcze jest jakaś nadzieja: fatalnie prowadzi samochód — ale Moczar ma szofera.



Milicję Obywatelską przyzwyczajano przez całe lata do tego, że jest władzą, że jest nietykalna, że jej wyroki są nieomyłne i nieodwołalne. Dziś pewnie niejeden by chciał widzieć inną służbę porządku i bezpieczeństwa — ale kto odrobi tamte przypadłe lata stalinowskiego wychowania? Przeciętny milicjant nadal czuje się postawiony ponad prawem, bo chociaż w zasadzie można się na niego poskarżyć, ale po pierwsze — jego przełożonym, a po drugie, kto by tam chciał się sprzeczać z Komendą Główną... To poczucie bezkarności wytworzyło specjalny i raczej niesympatyczny typ człowieka. Taki facet, gdy zatrzyma samochód — NB wcale nie musi powiedzieć za co i po co! — podchodzi do niego krokiem posuwistym, który według, zapewne, instrukcji ma znamionować majestat prawa. Mandaty wymierzane są na miejscu i na miejscu inkasowane, bez żadnego wyjaśnienia, za jakie przekroczenie. Jeśli kierowca opiera się, jest niezdrowo ciekawy za co ma beknąć — mandacik się podwyższa, a jeśli dalej delinkwent marudzi, to grozi mu się kolegium orzekającym Rady Narodowej, gdzie można oberwać już nie głupie pięćdziesiąt albo sto złotych, ale nawet cały tysiąc. A przy tym protokół milicjanta bierze się jako prawdę bezsporną! Jasne, że milicja ma procent od tych mandatów, co znakomicie uzupełnia głodowe pensje funkcjonariuszy.

Od rzemyczka do koniczka, MO pogłębiła swą wiedzę o możliwościach zarobkowych i najchętniej grasuje po nocach w pobliżu nocnych lokali, polując na kierowców, którzy odważyli się sięść za kierownicę po wywoławcu i utrwalaczu (dla dewizowych rodaków wyjaśnienie: wódka i piwo jako wywołujące i utrwalające skutki). Taki biedak choćby miał w żołądku tylko małe piwo, na pewno miałby trudności z udowodnieniem swej niewinności, toteż w takich wypadkach mandat wynosi „co łaska”, ale od dwustu zeteli w górę — i to bez kwi-

tu. Resztki *fair play* sprawiają, że radiowóz konwojuje klienta do domu, żeby nie podpadł konkurencji.

Z tym wszystkim pod stalowo-szarym mundurem kryje się dusza, której nie stały się jeszcze zupełnie obce hasła o rewolucyjnej czujności. Raz zatrzymano cudzoziemca, który bezczelnie fotografował dom KC — tak jakby nie było pocztówek z tym budynkiem w kioskach. Innym razem Szwed zafascynowany istnieniem nocnego sklepu spożywczego, został wylegitymowany, gdy zbyt długo — zdaniem sierżanta-służbisty — przesiadywał i rozmawiał z kierownikiem sklepu. Włoski dziennikarz został przymknięty za robienie zdjęć furmanek chłopskich na targu w Piasecznie — widocznie tajemnica, ale jaka — tego nawet nie wiedział kierownik posterunku. Trzeba dodać, że nie są to kwiatki z „minionego okresu”, ale z czasów najnowszych!

Każdy prywatny samochód (rzadkość na bocznej drodze) wydaje się małomiasteczkowemu lub wiejskiemu milicjantowi podejrzany, a jeżeli nawet nie podejrzany, to interesujący jako ewentualne źródło dochodu, gdy na przykład kierowca ma, nie daj Boże, międzynarodowe prawo jazdy, niewidywane na prowincji, albo gdy coś tam w samochodzie nie funkcjonuje tak jak go o tym nauczyli. A że nie funkcjonuje, to i on wie świetnie dlaczego: bo części zapasowych, nawet najbardziej prymitywnych, nawet do polskich samochodów — raczej nie bywa w sklepach. (Zupełnie jakby Motozbyt zawarł umowę z milicją o podziale zysków).

Trzeba powiedzieć, że kardynał Wyszyński został, przy okazji odmowy wydania mu paszportu, potraktowany z niezwykłą kurtuazją. Normalnie — i to zgodnie z obowiązującymi przepisami — milicja wcale nie musi podać przyczyny odmowy. W najlepszym wypadku doda, że odmowa nastąpiła zgodnie z paragrafem takim a takim, zarządzenia takiego a takiego — które jest zarządzeniem wewnętrznym i... niedostępnym dla zwykłego obywatela. Jeżeli taka jest góra i takie przez

nią traktowanie obywateli, to jaki ma być zwykły, szeregowy funkcjonariusz?

Na temat głupoty milicjantów krążą dziesiątki zabawnych (a właściwie tragicznych) opowiadań, takich jak na przykład o milicjancie w małym miasteczku, który nakrył w sklepie faceta chcącego puścić w obieg fałszywą pięćsetkę (zawiadomienia o krążeniu takich banknotów były rozesłane do komisariatów). Faceta zatrzymano, a pięćsetkę zgodnie z instrukcją przekazano wojewódzkiej prokuraturze w Warszawie — tyle, że... przekazem pocztowym!

Protokoły milicyjne bywały nieraz zamieszczane w prasie (ale nie dziś, nie dziś) jako curiosa stylu i prymitywizmu językowego.

Nie można powiedzieć, że nic się nie robi, by podnieść poziom milicji. Ale ile lat będzie jeszcze trzeba, żeby nie wstydzić się jej przed cudzoziemcami? Tego nikt nie umie powiedzieć, zwłaszcza u progu nowego okresu, w którym potrzebna może znów być milicja byle jaka, ale twarda.

Plaga chuligańska nie jest już dziś tak groźna jak przed kilku laty, ale to należy zawdzięczać i szybkiej akcji pogotowia wyposażonego w radiowozy i zarządzeniu o natychmiastowym stawianiu przed sądem, poza kolejką spraw (dziś rozróżba — jutro w kiciu z wyrokiem). Jeżeli chodzi o milicjantów poruszających się na piechotę — to tacy z reguły rozróżby nie chcieli widzieć, a jeszcze mniej interweniować. Wtedy można było zostać pobitym pod Komendą Główną — i nikt by nie pośpieszył na pomoc Do dziś w Lasku Katyńskim (skwer koło Pałacu Kultury!) niedoroszki robią „na bombę” przybyszów z prowincji, a milicja nie umie temu zaradzić. (Technicznie „bomba” to: podstawiony kociak, butelka „Czaru Nałęczowa” — tanie wino owocowe — nabyta przez ofiarę, uziemioną następnie przy pomocy opróżnionej przez nią butelki, i obrabowanej).

Absolutna nieudolność milicji w chwytności prywat-

nych przedsiębiorców nabierających naiwnych na grę w trzy karty pod Bazarem Różyckiego, nasuwa przypuszczenie, że i MO ciągnie z tego hazardu pośrednie korzyści.

Jeżeli tak jest w stolicy — to można sobie wyobrazić jak jest na prowincji. W pewnej miejscowości górskiej milicjant wkwaterował się siłą do willi Akademii Nauk, służącej uczonym za hotel w czasie przeprowadzania badań terenowych. Dopiero gdy władze wojewódzkie okazały się bezsilne interweniowano w ministerstwie i w Urzędzie Rady Ministrów. A i wtedy władze powiatowe przeciągały wykonanie zarządzenia premiera o dalsze pół roku.

W nieporównanie mniejszym stopniu jest dziś milicja i bezpieczeństwo odcięte od codziennego życia, niż to miało miejsce w czasach stalinowskich. Wtedy funkcjonariusze obu ministerstw (MSW i MBP) żyli w świecie nierealnym: kupując we własnych dobrze zaopatrzonych sklepach, chodząc do własnych kin i mieszkając we własnych blokach w mieszkaniach przydzielanych przez własny kwaterunek. Dziś tak dobrze już nie jest i pani milicjantowa musi postać w ogonku, by wydać dobrze obliczone grosze z mizernej pensji męża. Pozostały nadal kwaterunki, własne domy wypoczynkowe, własny klub sportowy — Gwardia, i własna gazeta *Na Straży Demokracji*, taki kiepski *Świerszczyk* dla durnowatych dorosłych.

Od czasu, kiedy pozwalniano z milicji licznych dawniej reemigrantów z Francji, mało który milicyjny baran włada jakimkolwiek językiem — nie licząc słabego polskiego. Toteż cudzoziemiec w samochodzie pytający o drogę, najpierw zostanie wylegitymowany, a potem i tak się nic nie dowie, bo niby po jakiemu? Wprawdzie milicjanci nie łupią już mandatów za znak PL na samochodzie — według nich było to podszywanie się pod „poselstwo”! — bo ich pouczono, że to nie przestępstwo — ale chyba jednak lepiej, że do Polski przyjeżdża tak mało turystów z Zachodu. Najczęstszy kontakt mie-

liby przecież z milicją drogową. A Polska opinię kraju matolów.

VIII.

Szeroko reklamowana, trwająca przez szereg lat — i skuteczna — akcja zwalczania analfabetyzmu, obok zysków moralnych przyniosła jeszcze jeden: kolosalny rozwój prasy, i czytelnictwa, przede wszystkim na wsi polskiej. Dzienniki i tygodniki miały nakłady sięgające ponad dwóch milionów egzemplarzy w wypadku *Gromady*, czy ponad półtora miliona *Przyjaciółki*. Pierwszy „odwilżowo” pomyślany tygodnik dla młodzieży *Dookoła Świata* w ciągu trzech numerów skoczył ze stu tysięcy na trzysta, a z okazji wydania pierwszego numeru rozgorączkowani kandydaci na czytelników zdemolowali nawet kilka kiosków, gdy egzemplarzy już zabrakło.

Zniesienie przymusowych prenumerat zakładowych urealniło obraz czytelnictwa, praktycznie likwidując takie sztucznie rozdmuchane nakłady jak już wspomnianej na innym miejscu *Przyjaźni*, czy organu Centralnej Rady Związków Zawodowych *Głosu Pracy*, który z dwustu tysięcy, po zniesieniu przymusu spadł na osiemnaście, z czego, jak twierdzą wtajemniczeni, jest szesnaście tysięcy zwrotów*.

Na pierwszym miejscu poczytności pozostały więc *Życie Warszawy* i *Express Wieczorny* w stolicy, i chlubiąca się też czterysto-tysięcznym nakładem partyjna, kатовicka *Trybuna Robotnicza*. Centralny Organ PZPR, wychodząca w Warszawie *Trybuna Ludu* osiąga tylko połowę nakładu wymienionych wyżej gazet, zawdzięczając

* Często powoływanie się na ten dziennik przez prasę polonijną, lub *Radio Wolna Europa*, przysparza mu zbyt wiele honoru, a słuchacz w Polsce tylko tą drogą dowiaduje się, co i o czym pisać zupełnie w kraju nieczytany *Głos Pracy*.

to przede wszystkim faktowi, że ukazuje się również w poniedziałki — kiedy nie ma *Życia Warszawy*, i przynosi w tym dniu całą kolumnę sportową. Inne dzienniki warszawskie jak *Sztandar Młodych*, *Kurier Polski**, mają znacznie mniejsze nakłady od swych konkurentów, a wydawane przez PAX *Słowo Powszechne* swoim nakładem nigdy się nie chwali, choć dziennik ten wydawany w licznych mutacjach prowincjonalnych musi mieć kolosalny nakład, jako jedyny dziennik, bądź co bądź, przynajmniej o wygładzie katolickim.

Wśród tygodników na pierwsze miejsce wybija się półmilionowy krakowski *Przekrój*, zwany czasem organem pół-inteligencji polskiej — następnie, choć znacznie mniej dziś popularne, *Dookoła Świata*, katowicka *Panorama* olsztyńska, *Panorama Północy*, warszawskie *Świat* i *Stolica*.

Miejsce niezapomnianego *Po Prostu* miała zająć *Polityka*, spadkobierca stalinowskiej *Trybuny Wolności* i wcale nielepszej *Polski i Świata*, którymi dowodził przez wiele lat kretynowaty Józef Kowalczyk — Dulles dla ubogich (z powodu uderzającego podobieństwa fizycznego), późniejszy redaktor wydawanej w Pradze polskiej wersji *Problemów Pokoju i Socjalizmu*, a obecny zastępca kierownika wydziału zagranicznego KC. Nie ma jednak dziś ani atmosfery ani chęci, by nieoficjalny organ KC mógł chociaż w części dorównać, czy zastąpić *Po Prostu*.

Inne pisma jak *Kultura*, czy znacznie od niej lepsze krakowskie *Życie Literackie*, mniej się liczą, choćby z powodu niewielkich nakładów, co chyba określa dostatecznie, w jakim stopniu można je uważać za głos — choćby bierny — opinii publicznej. *Tygodnik Powszechny* — jedyne pismo laickie, wydawane pod egidą episkopatu nie może rozwinąć skrzydeł podcinanych przez cenzurę i ograniczony nakład. PAX-owskie *Kierunki* stały

* Odpowiednio: organ Związku Młodzieży Socjalistycznej, i pismo Stronnictwa Demokratycznego.

się azyłem pisarzy i publicystów, którzy nie czują się na tyle katolicy, by pisać w *Tygodniku Powszechnym*, ani na tyle konformistyczni, by zapełniać szpalty zależnych czy „niezależnych” czasopism. W ogóle z wydawnictwami PAX’u nie wszystko, jak się wydaje, jest zagranicznemu czytelnikowi jasne. Z jednej strony wiadomo kim był, a kim jest Bolesław Piasecki, przedwojenny wódz Falangi, wojenny wódz Konfederacji Narodu, a powojenny — po konfessatach w NKWD — rozbijacz Kościoła w Polsce. Znana jest historia jego przed-październikowych wystąpień, które doprowadziły do odłączenia się grupy posła Frankowskiego, i odizolowały go od innych ugrupowań intelektualno-politycznych, wyrastających w tym żyznym okresie jak grzyby po deszczu. Wiadomo również, że na XX-lecie PRL, Piaseckiego wyróżniono wysokim odznaczeniem państwowym i fotelem w Sejmie, co wywołało sprzeciwy ze strony innych odznaczonych... komunistów. Tu zdaje się dochodzimy do sedna sprawy, a mianowicie, że zagranicą, zwłaszcza w kołach polonijnych Piasecki, a nawet poseł Frankowski uchodzą za „agenturę”, a w kołach zbliżonych do PZPR za „ex-faszystów podlizujących się Kościołowi”. Jeszcze inaczej te sprawy widzi szeroka publiczność nabywająca masowo publikacje katolickie *Wydawnictwa Pax*, nie kłopotując się wiele o poglądy polityczne właściciela, skoro może kupić to co chce, a czego nie wyda przecież partyjna *Książka i Wiedza*. Wśród dziennikarzy wiadome jest, że chociaż PAX płaci lepiej niż inne wydawnictwa *Prasy*, czy *Ruchu*, to jednak powrót stamtąd na łono prasy partyjnej czy „niezależnej” jest bardzo utrudniony, a piętno paxowca pozostaje na długo, i nie jest dobrą reklamą dla „gryzmoły” — jak ten zawód jest łaskaw nazywać Gomułka. Oficjalnie jednak, czy może właściwie nieoficjalnie, PAX i Piasecki są blisko nie tyle PZPR, ile marginesów jego działalności — niemniej marginesów niezmiernie dla państwa i partii ważnych, jak szmugłowanie własnych poglądów na tematy katolickie wypowiedzianych językiem

właśnie dla katolików najbardziej zrozumiałym, i coraz szerszej i głębszej współpracy z *Towarzystwem Łączności z Polonią Zagraniczną Polonia*. W tym celu PAX nie tylko uczestniczy, nie tylko finansowo, w popieraniu działalności wydawniczej dla zagranicy, łącznie z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, ale i ma na podorędziu księży dla wysłania ich w razie czego, zgodnie z zapotrzebowaniem, na przykład Polonii brazylijskiej. Sprawy wydawnicze i kto za co płaci tak się dziś zagmatwały, że nie zawsze wiadomo, czy wydawcą rzeczywistym jest PAX, *Wydawnictwo Polonia*, *Towarzystwo Polonia*, czy MSZ ukryty pod firmą *Spółdzielni Wydawniczej Zachodnia Agencja Prasowa*. Żeby sytuację jeszcze bardziej zaciemnić istnieje w Polsce wydawnictwo Polskiego Kościoła Narodowego, którego finansowe przedsiębiorstwa pod nazwą *Polkat* są odpowiednikiem *pax-owskiego Inco*.

Jakże czyste, jasne i proste wydają się w porównaniu z tym gąszczem, sprawy wydawnictw partyjnych czy wojskowych, gdzie wiadomo kto jest kto i co jest co, i komu o co chodzi. Tam — wszystko wróciło do normy: *Nowe Drogi* nie są już jak w Październiku *best-seller'em* (dziś w antykwariatach numer tego pisma z tamtych czasów osiąga cenę 500 zł — słownie pięćset!), *Życie Partii* jest rezerwatem drętwej mowy, a o *Trybunie* wiemy. Prasa wojskowa: *Żołnierz Wolności* i tygodnik *Żołnierz Polski* — wymagają od swych pracowników nieustannego stania na baczność w pełnej napięcia czujności rewolucyjnej, jedynie godnej ludowego wojska polskiego — ale przynajmniej wiadomo o co chodzi.

Łączny jednorazowy nakład całej prasy polskiej wynosi około trzydziestu milionów egzemplarzy. Są wśród tej prasy wymienione wyżej pisma wszelkiego autoramentu, ale obok prasy wiejskiej największe, rekordowe nakłady ma na pewno prasa dziecinna, pisma takie jak świetny *Miś* dla najmłodszych, którego licencję sprzedano swego czasu Szwajcarii, zupełnie niezły *Świerszczyk*,

milionowy *Płomyczek* i notoryczny, w stylu niezapomnianej Wandy Wasilewskiej, niemniej szeroko rozprowadzany *Płomyk*. Popularność pism dla dzieci jest rzeczywiście ogromna, a nakłady, jak to widać z przykładu *Płomyka*, olbrzymie. (Kiedy w roku 1957 zamknięto *Po Prostu*, co jak wiadomo doprowadziło nawet do rozruchów w Warszawie, zaobserwowano pijacznę, który próbował rozdzielić bijących się dwóch kilkuletnich chłopców, słowami: Co się bijecie, *Świerszczyka* wam zamknęli? — co w końcu też można uznać za dowód popularności tego tygodnika). Faktem jest, że prasa dla dzieci zatrudnia najlepszych grafików — o których w Polsce nie trudno — i drukuje utwory najlepszych pisarzy i poetów, którzy cenią sobie dziecięcego odbiorcę.

Niestety minęły już szczyty poczytności miesięczników takich jak *Problemy*, które w czasach śp. redaktora Unkiewicza miały procentowo rekordowy nakład w skali co najmniej europejskiej — 135 tysięcy egzemplarzy. Ten rodzaj prasy, reprezentowanej przed wojną tylko przez do dziś istniejącą *Wiedzę i Życie* rozwinął się dorzucając tytuły takie jak historyczny miesięcznik *Mówią Wieki*, *Horyzonty Techniki*, dla młodzieży *Młody Technik* i medyczne *Żyjmy Dłużej* — chociaż nie wiadomo po co, przy dzisiejszym poziomie rent starczych, co nie przeszkadza, że to „starcze” czasopismo cieszy się coraz bardziej rosnącym powodzeniem. (Chyba nie dlatego, że sekretarzem redakcji jest tam towarzyszką Sarna-Obozowicz, siostra cenionego za skracanie życia, Józefa Świątły?!)

Prasa polska, a wraz z nią dziennikarstwo, miały swoje czasy wlotów i upadków, poczynając od okresu, kiedy to legitymacja Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich otwierała (prawie) wszystkie drzwi, aż po czasy dzisiejsze, całkiem otwartego prześladowania przez Gomułkę, chociaż to przecież dziennikarze Dziedzic i Wejroch, pierwsi w artykule opublikowanym w roku 1956 w *Życiu Warszawy* domagali się publicznego wyjaśnienia co i dlaczego się dzieje z pozbawionymi wolności Go-

mułką i Spychalskim. To dziennikarze byli nosicielami niedostępnych wiadomości, skoro tylko oni mogli czytać znajdującą się wtedy tylko po redakcjach prasę bezdebitową, czy nie-komunistyczną, i mieli wolny dostęp do *Biuletynu Specjalnego PAP*'u rozsyłanego według ścisłego rozdzielnika. Hej, gdzie te czasy: dziś prasę, każdą, można sobie bezkarnie poczytać, a *BS* poniewiera się po kątach od czasu jak najbardziej atrakcyjną jego część stanowi dodatek *Kraje Demokracji Ludowej*, zawierający *in extenso* wymianę myśli między bratnimi partiami Chin i Związku Radzieckiego.

Także Klub Dziennikarzy przestał być miejscem zebrań doborowej socjety walczącej wszelkimi środkami o karty wstępu na Sylwestra i Bal Prasy — lecz powoli staje się przytułkiem lokalnych pijaków, dziennikarzy zagranicznych i zamożnych sklepikarzy z Chmielnej. Dawny, wypalony do fundamentów, dom klubowy BBWR, przed którego drzwiami zabito ministra Pierackiego, odbudowany i powiększony na lokal Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, odegrał przecież jakąś rolę w życiu nie tylko tego środowiska, ale i Warszawy. Mieszczą się tam biura zarządu głównego, biblioteki, sala kinowa, zamieniana w razie potrzeby na balową, i wreszcie redakcje pism takich jak *Krzyżówka*, stanowiących w znacznym procencie podstawę dochodową stowarzyszenia. W takich redakcjach odsiadują swój czas ludzie, którym pomyliło się przed kilkunastu laty zdjęcie Szvernika ze Żdanowem, zamieszczone z okazji śmierci tego ostatniego, albo tacy, którzy puścili swój fotomontaż pod rękę z Gérard Philipem, co wypatrzyło bystre oko czytelnika, albo inni, którzy robili komuś „prasę” za pieniądze.

Przede wszystkim siedzą tu władze polskiego dziennikarstwa wybierane na lat cztery na walnym zjeździe na podstawie listy zestawionej i zaakceptowanej przez Biuro Prasy KC. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że wybrany przed kilku laty na prezesa redaktor naczelny *Życia Warszawy* i członek KC, Henryk Korotyński, nie przeszedł

w głosowaniu, i mimo, że nie chciał mandatu przyjąć — został przez KC do tego zmuszony.

Dawne to czasy, gdy walny zjazd przyznawał roczną nagrodę publicystyczną zespołowi redakcji *Po Prostu*, i przesyłał telegram z wyrazami solidarności do dziennikarzy walczącego Budapesztu.

Prezydium SDP nie jest „zdalnie kierowane”, bo członkowie Biura Prasy KC po prostu znajdują się w każdorazowym prezydium. A nacisk polityczny przeprowadzany jest co najmniej dwutorowo: poprzez tzw. sekcje twórcze, których praca zastępuje powoli obowiązkowe kiedyś szkolenie polityczne — i poprzez odprawy naczelników redaktorów w KC, a publicystów działów zagranicznych w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jeżeli to wszystko jeszcze nie wystarcza, by uniemożliwić dziennikarzom pisanie tego co wiedzą i jak czują — istnieje jeszcze Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, czyli, mówiąc krócej, cenzura. Każda gazeta musi przejść taką cenzurę trzykrotnie: jako maszynopis, jako korekta, i po złamaniu — co zdawałoby się wyklucza wszelkie nieporozumienia, a w każdym razie musi wyjałowić nawet najlepsze chęci. A jeżeli ukazuje się coś, co wydawałoby się niezupełnie po myśli i na linii, to albo to jest niedopatrznie dalekiej od genialności cenzury, albo partyjnie przedyskutowany i wypuszczony balon próbny.

Gęste sito cenzury i baczne oko korekty i redakcji nocnej nie przeszkadza, że co pewien czas ukazuje się coś, co w dobry humor wprawia czytelników i przechodzi do historii prasy. Przed wielu laty na pierwszej stronie *Tribuny Ludu* ukazało się wielkie zdjęcie Thälmana z tytułem: „W rocznicę śmierci Thälmana”. I dalej: „Thälmann powiedział: Stalin skręci kark” — a pod zdjęciem: „Hitlerowi”. To jedno przesunięcie wierszy sprawiło, że UB pęczkami wynosiło korektę z redakcji, a nocny redaktor dyżurny zarobił bodajże dwa lata. W czasie zjazdu PZPR, w tymże dzienniku, w prognozie meteorologicznej, trafił się znamieny błąd korektorski: „wiatry z kie-

rowników wschodnich”. Wreszcie przed bardzo niedawnym czasem, w związku z obchodami XX-lecia PRL ukazał się na mieście plakat na „XX-lecie Polskiego Cyrku” — i dopiero, kiedy ludzie się już dobrze ubawili, cenzura się połapała i plakat zastąpiono innym, noszącym napis „XX-lecie Polskiej Areny”.

Wśród blisko pięciu tysięcy dziennikarzy polskich jest podobno (dokładne liczby ma chyba tylko Biuro Prasy i prezydium SDP) 15% członków PZPR, a zaledwie 5% posiada własne samochody. W samej Warszawie ponad dwustu pięćdziesięciu członków SDP jest bez pracy, a ograniczenia papierowe, które pociągnęły za sobą zmniejszenie objętości tygodników — drastycznie obniżyły dochody dziennikarskie — zostawiając praktycznie gołą pensję bez możliwości dorobienia wierszówkami. Ponieważ cięcia papierowe objęły całą prasę, więc i możliwości chałturzenia po znajomych redakcjach — skończyły się. Ta sytuacja wygląda jeszcze gorzej na prowincji, gdzie wychodzi znacznie mniej pism, niż w wielkich miastach — toteż tam najczęściej obserwuje się ucieczkę od zawodu na rzecz stanowisk w administracji, przemyśle i tp.



Od ograniczeń papierowych wolne jest oczywiście dziennikarstwo radiowo-telewizyjne, rodzaj bardzo dziś w kraju rozpowszechniony, skoro samo warszawskie radio w czterech swoich programach zatrudnia około sześćdziesięciu dziennikarzy. Również ilość stacji nadawczych uległa zwiększeniu, na przykład, po przerobieniu młynków zagłuszających (stacje Mariana „Buczka”)* na normalne nadajniki, jak w Zielonej Górze. Liczbę odbiorników w Polsce ocenia się na ponad siedem milionów, włącza-

* Czytelnikom niekrajowym może warto powiedzieć, że to jest dowcip. Marian Buczek, postać z pewnością nieznaną szerszym kręgom dewizowych rodaków, był partyjnym bohaterem, poległym w kampanii wrześniowej w 1939 roku.

jąc w to radiopajęczarzy i radia tranzystorowe, które nie podlegają rejestracji i nie opłacają abonamentu. Takie rozpowszechnienie radiofonii sprawia, że *Komitetowi do Spraw Radia i Telewizji* poświęca partia szczególną uwagę. Niemniej z całego programu politycznego prawdziwym powodzeniem cieszy się chyba tylko jedna *Muzyka i Aktualności* dla swej doskonałej ilustracji muzycznej — reszta audycji służy właściwie tylko jako tło szmerowe codziennej pracy domowej. Łączy się to przede wszystkim z coraz większym rozpowszechnieniem telewizji, której program nadawany jest dziś z parunastu stacji na przeszło dwa miliony odbiorników, przy czym dopiero niewiele ponad 60% powierzchni kraju objęte jest jej siecią. W państwie, gdzie bywają miejscowości oddalone od stacji kolejowej o kilkanaście kilometrów, a kino, nie mówiąc o teatrze, jeszcze w wielu miejscach nadal jest rzadkością — telewizja jest jedynym wizualnym kontaktem ze światem i jej nadejście oczekiwane jest na Lubelszczyźnie, w Białostockiem i Rzeszowskiem z najwyższą niecierpliwością.

W niedzielne przedpołudnia, a już specjalnie w dni uroczystych świąt kościelnych program jest specjalnie atrakcyjny — i ortodoksyjnym rodzicom nie łatwo przychodzi oderwać dzieci od amerykańskich seryjnych westernów na rzecz o ileż nudniejszych nabożeństw czy procesji.

Odwrotnie, niż radio, niemal cały program telewizyjny — z braku kosztownych urządzeń tele-recordingowych — idzie „na żywo”, co ma ten skutek, że redaktorzy, zwłaszcza działu polityczno-informacyjnego zmieniają się bardzo często, skoro cenzura praktycznie w większości audycji musi być przeprowadzana w trakcie nadawania, a o polityczne potknięcie przecież nie trudno. Przy czterdziesto-złotowym abonamencie (dla pracujących, bo prywatna inicjatywa płaci trzykrotnie więcej) telewizja polska jest przedsiębiorstwem dochodowym i coraz częściej może sobie pozwolić na atrakcyjne transmisje spor-

towe krajowe, bądź w ramach *Interwizji* czy nawet *Eurowizji*. Zapowiedź przeprowadzenia transmisji z, na przykład, olimpiady, wpływa na natychmiastowe bardzo znaczne podniesienie się ilości posiadaczy odbiorników.

Jak dotąd rozwój telewizji nie wpłynął ujemnie na frekwencję w kinach, ale za to — mają dobre programy teatralne — podnosi i tak już niemały deficyt teatrów. Był czas, że coczwartkowa kryminalna *Kobra* niemal wyludniała ulice i zaciemniała okna, podnosząc temperaturę życia towarzyskiego, gdy sąsiedzi zbierali się wokół nielicznych wtedy telewizorów, wkupując się ćwiartką. Dziś telewizja, nierównie bardziej rozpowszechniona, oddziałuje w przeciwnym kierunku, raczej ograniczając życie towarzyskie, skoro każdy siedzi przed własnym domowym ekranem.

Wspomniane wyżej mało nowoczesne, jeżeli nie prymitywne, warunki w jakich jeszcze pracuje telewizja, nie odbijają się zbyt mocno na programie, chociażby nawet, jak to ma miejsce gdzieś na Pomorzu, anteny stacji przekaznikowej były obracane przy zmianie kierunku nadawania, przy pomocy wołów zaprzężonych do kieratu.

Coraz szersze docieranie telewizji na wieś, czy to do prywatnych domów, czy to do klubo-kawiarni wiejskich liczących się już na tysiące — doprowadzi wkrótce do powstania drugiego, równoległego programu, w którym mają być w większym stopniu uwzględnione potrzeby widza wiejskiego — co już na zapas przeraża telewidzów, którzy znają dotychczasowy, koszmarne program wiejski.

O ile *Trybuna Ludu* bywa najczęściej kupowana wtedy, kiedy zawiera, jako jedyne pismo w Polsce, pełne teksty przemówień — ludzie w końcu chcą wiedzieć, co ich czeka — to wielogodzinne programy-sprawozdania ze zjazdów, konferencji, akademii i temu podobnych nieszczęść, mają jeden skutek: masowe przekręcanie gałek telewizorów w lewo.

Program radiowy i telewizyjny rozwija się, obejmuje coraz więcej godzin przed- i popołudniowych, ale dla

dziennikarzy najważniejszym pozostaje od lat nierozwiązany problem braku papieru na rynku. Przed mniej więcej trzema laty, kiedy objętość popularnego *Przekroju* zmniejszono z dwudziestu czterech stron do szesnastu, pewien czytelnik-abonent zaskarżył redakcję do sądu o zwrot złotych za każdy egzemplarz, bo przecież o tyle musiały spaść koszty produkcji, a przynajmniej powinna była być obniżona cena. Nigdy nie dowiedziano się jaki był wynik procesu, do którego jednak doszło.

W tym samym mniej więcej czasie odbyła się w warszawskim Domu Dziennikarza konferencja prasowa z udziałem ministra handlu zagranicznego, Trąmpczyńskiego, którego zebrani dziennikarze ostro zaatakowali za przesadny eksport papieru, przez co nie zostają na rynku krajowym ilości co najmniej wystarczające. Odpowiedź ministra, która nie doczekała się nigdy opublikowania, była zaskakująca. Oświadczył on jak najbardziej autorytatywnie, że papier gazetowy jako przedmiot eksportu wcale go nie interesuje, i że z pytaniem o to, co się z nim dzieje, powinni dziennikarze zwrócić się raczej do ministra handlu wewnętrznego. Dla wszystkich stało się jasne, to co od dawna podejrzewano, że trudności papierowe są fikcyjne, a brak papieru ma służyć dwóm celom: podniesieniu dochodów z prasy i ograniczeniu publikacji niepożądanych, bo na te potrzebne — oczywiście politycznie potrzebne — papier zawsze jakoś jest w wystarczających ilościach.

Taka polityka ma oczywiście jeszcze jeden wtórny, ale wcale niebagatelny rezultat: oto materialne przydużenie „gryzmołów” musi w konsekwencji uczynić ich uleglejszymi, pozostawiając mniej czasu na niebezpieczne rozważania, jeśli myślą pierwszą musi być zapewnienie sobie i rodzinom jakiego takiego dochodu. Czy ten skutek partia osiągnęła? Raczej nie — a jeśli tak, to w stosunku do tych, którzy i tak byli potulni i konformistyczni, a takich nie ma zbyt wielu.

Prasa polska znajduje się w dość specyficznej sytuacji,

ponieważ w związku z obecnością na rynku powszechnie dostępnej i czytanej prasy zagranicznej nie-komunistycznej, łatwo jest sprawdzić i porównać z innymi opiniami prawdziwość doniesień prasy krajowej. Toteż, jeśli nie liczyć komentarzy, które muszą być i są, wyrazem opinii i polityki partyjnej, doniesienia agencyjne są prawdziwe. A jeżeli trzeba byłoby coś ześgać, to tego się raczej nie publikuje, pomija milczeniem. Tak na przykład prasa polska, inaczej niż radziecka, donosząc o użyciu gazów przez wojska amerykańskie w Wietnamie, nie dodawała słowa „trujących” — bo rzecz taką byłoby łatwo skonfrontować z doniesieniami prasy zachodniej. A komentarze czyta tylko ten, kto je chce czytać. Czy należy się wobec tego dziwić, że dostarczana co dzień do Związku Radzieckiego prasa polska przechodzi tam przez cenzurę zanim znajdzie się w moskiewskich i leningradzkich kioskach?

Natomiast wielkich ceregieli nie robi się z kurtyzowaniem wiadomości krajowych, ponieważ po pierwsze trudno je sprawdzić z doniesieniami prasy zagranicznej, a po drugie prasa zagraniczna tyle już wykazała niezrozumienia i tyle napisała bzdur na tematy polskie, że nie zawsze obywatele tego kraju doniesienia takiej prasy biorą poważnie. To oczywiście ułatwia zadanie propagandzie partyjnej i dlatego warto żeby ktoś komu zależy na Zachodzie na dobrym imieniu prasy tam wydawanej, zastanowił się nad tym i wyciągnął wnioski. Jeśli dziennikarz norweski mówi mi, że musi pisać o Polsce, tak jak sobie tego życzy naczelny redaktor jego konserwatywnego pisma, a więc ani słowa zbyt dobrego, czyli inaczej, niż by on sam chciał napisać — to coś jest z wolną prasą europejską nie w porządku. I co najważniejsze, nie jest to tylko jej sprawa, ale szersza, skoro takie publikacje popychają mieszkańców krajów dyktatury komunistycznej, w objęcia ich, jakie by nie były, ale rządów.

Doskonale wydawane pismo w językach obcych *Polland* w minimalnym stopniu propagandowe (pokażcie mi

inne tego rodzaju pismo w jakimkolwiek kraju świata, które tak jak wymienione, nie będzie pokazywało tylko jasnych stron życia, którego sprawy ma propagować) wychodzi w dwóch wersjach: na Wschód i na Zachód. Ta pierwsza wersja jest ortodoksyjna, upolityczniona, bez abstrakcyjnego malarstwa i czołobitna dla Kraju Rad — a stało się tak na wyraźne żądanie władz radzieckich, które zagroziły, że nie będą wpuszczać reakcyjnego wydawnictwa, jeśli jego wygląd i treść nie ulegną zasadniczej zmianie. Toteż *Poland, Polen, Pologne* czy *Polonia* pojawiające się na Zachodzie, są w krajach obozu socjalizmu, poza jedyną Polską, pismem nielegalnym! A chałwata *Polsza* jest w Moskwie rozchwytywana jako nie-dościgniony wzór pisma zachodnio-europejskiego. Łatwo zrozumie to ten, kto widuje ilustrowaną prasę radziecką, a jeszcze bardziej, kto ją czyta.

Prasa polska przeszła wiele zmian, ale jeszcze więcej zmian jest do zanotowania w jej sprawach personalnych. W zasadzie niewielu publicystów okresu stalinowskiego pozostało na tych samych miejscach, lub zachowało to samo znaczenie. Rozsypały się klany rodzinne „właściciele” prasy młodzieżowej jak Ludkiewicz, siostrzeniec dawnego szefa prasowego KC, Staszewskiego, i były naczelny redaktor *Sztandaru Młodych*, jak Sarna-Obozowicz, wspomniana już siostra Światły — pracujący dziś na skromnych posadach dziennikarskich. Stracił swą tak mocną kiedyś pozycję główny publicysta *Trybuny*, Bolesław Wójcicki, ale pozostał na placu Grzegorz Jaszuński, publicysta zagraniczny *Życia Warszawy*, popierany przez MSZ. Grasuje wszędzie gdzie się da Maria Zientarowa, czyli Stefan Wilkosz, czyli Michalina Wilkoszowa, czyli Tadeusz Makowski, czyli Jan Michalski, czyli Stefan Welczar, czyli dawna przyjaciółka towarzysza Kliszki, była żona naczelnego redaktora *Świata*, Arskiego, w czasach gdy jeszcze był pracownikiem *Głosu Ameryki*, a obecna, dyrektora MSZ, Jerzego Michałowskiego, byłego delegata Polski w ONZ.

Znalazło się w prasie trochę byłych pracowników byłego UB i wywiadu wojskowego, zwolnionych po Październiku, takich jak Jerzy Żukowski z telewizji (syn znanego przed wojną lwowskiego publicysty Ra-orta), Henryk Kollat, korespondent w Bonn, czy Wiesław Górnicki korespondent w USA. Nie znaczy to wcale, żeby kontynuowali oni teraz swój poprzedni zawód — od tego są inni, z których Moczar jeszcze nie zrezygnował.

Zmianą największą od Października są poważne przesunięcia na stanowiskach redaktorów naczelnych. W okresie stalinowskim na przeszło sto dzienników, tygodników i miesięczników wychodzących w samej tylko Warszawie było tylko dwóch naczelnych nie-Żydów, a o telewizji i radiu kursował obrzydliwy dowcip: co się stało z resztą Żydów z getta? przeszli kanałami do telewizji. A na pytanie czym się różni Izrael od radia, odpowiedź brzmiała: że w Izraelu są jeszcze Arabowie. Dziś te dowcipy mogłyby mieć chyba tylko zastosowanie wobec programu zagranicznego Polskiego Radia, którego twórcą swego czasu, a po Październiku głównym krytykiem był Władysław Natanson, czyli Jan Stefczyk, czyli Władysław Kopaliniński. Prasa, a właściwie jej góra, była zawsze dość blisko sfer rządzących, a wiedza kto jest kto ułatwiała życie wielu ludziom z prasowych dołów, zwłaszcza jeżeli z trzech braci, rodzonych, każdy nazywa się inaczej, czasem Józef Prutkowski, czasem Martula, a czasem jeszcze inaczej. Warto wiedzieć, że Kamila Chylińska to Halpernowa, a inna mała dziennikarka w telewizji to żona premiera Jędrzychowskiego, trzecia jest córką ministra Moskwy, dla której nawet nieistniejący etat w TV stworzono, a czwarta żoną prezydenta miasta. Ktoś mały i pozornie nic nie znaczący okazuje się kuzynem tej czy tamtej grubej ryby, i może załatwić na przykład mieszkanie, dobrą posadę i tp. drobiazgi. Tak nie jest tylko w prasie, ale wszędzie, bo na przykład arogancki i pewny siebie drobny urzędnik Ministerstwa Handlu Zagranicznego okazał się kiedyś kuzynem zmarłego prezydenta

Zawadzkiego, a inny, bratem przyjaciółki Bieruta. Takie niespodzianki mają swój urok, ale ten urok jest jeszcze większy, jeżeli takie pokrewieństwo odkryje się na czas i potrafi odpowiednio wykorzystać. Czasem dobrze jest mieć w swym otoczeniu konfidenta służby bezpieczeństwa, o którym się wie, ale który nie wie, że się o tym wie, bo wtedy można podsunąć jakieś niebrzydkie pomysły, wprowadzić go, i jego mocodawców, na fałszywy trop, i w razie czego samemu być w porę o różnych rzeczach ostrzeżonym. Nie jest moją rzeczą zestawianie listy współpracowników Moczara, bo i wiedza, i kompetencje moje są zbyt po temu małe, ale może warto dla potomności zanotować, że do dziś krąży po Warszawie siostrzenica Jarosława Iwaszkiewicza i Karola Szymanowskiego, która miała niemały udział w wydaniu w ręce UB biskupa Kaczmarka — dziennikarka Krystyna Dąbrowska; że na wszelkiego rodzaju zjazdy pisarzy jeździ nie zasługujący na takie wyróżnienie dla swych miernych na tym polu osiągnięć, mało znany literat, ale zasłużony działacz instytucji podległej Moczarowi, Juliusz Znamierowski. Marek Hłasko napisał niedawno w paryskiej *Kulturze*, że o ludziach z tak zwanego „środowiska” mówiło się zawsze trzy rzeczy, że albo byli w UB, albo pili, albo byli pederastami — nie wiem w jakim środowisku słyszał on o tym, bo w Polsce na ogół jest się ostrożnym w rzucaniu podejrzeń na ludzi, co może przynieść komuś wielką i niezasłużoną krzywdę. Zasadą jest, że jeżeli się nie wie na pewno — to się milczy.



Braki papieru to klęska nie tylko dla prasy, ale także, a może nawet w jeszcze większym stopniu, dla wydawnictw książkowych, i zależnych od nich pisarzy. Honoraria autorskie są bowiem ustalane w zależności od przewidzianych konwencją stawek i wysokości nakładu — a oba te czynniki kurczą się coraz bardziej, sprzyjając rozglądaniu się literatów za stałymi posadami.

Stawki autorskie podniesiono wprawdzie, ale... podniesiono ich górną granicę, dolną pozostawiając nietkniętą — i nie dodając przy tym więcej pieniędzy do budżetów państwowych, a więc subsydiowanych, wydawnictw. W wyniku, wydawnictwa oczywiście nie tylko chcą, ale muszą stosować stawki możliwie najniższe, by ten sam bochenek chleba podzielić na jak najwięcej kawałków.

Do historii należą już czasy, kiedy książki ukazywały się w nakładach czasem stu i więcej tysięcy egzemplarzy i nikogo właściwie nie obchodziło czy nakład zostanie rozsprzedany — przynajmniej nie obchodziło to autora czy tłumacza. W tamtym też okresie reparacje wojenne ściągano od Niemiec Wschodnich w formie druku w lipskich drukarniach kilkudziesięciotomowego, w milionowym nakładzie wydanego, zbioru pism Stalina. Różnego rodzaju opóźnienia sprawiły, że wydawnictwo to było gotowe do sprzedaży dopiero po śmierci autora, tj. kiedy odwilż, a potem trzęsienie ziemi XX Zjazdu KPZR skierowały cały nakład na przemiał. Jeżeli straty liczyć tylko po cenie sprzedażnej, czyli po jeden złoty za egzemplarz — to i tak uezbiera się z tego kilkadziesiąt milionów. Nikt nie liczył jednakże ile milionów utopiono w bezsensownym wydawaniu wszystkiego co ukazywało się w radzieckiej literaturze „pięknej”, mów Bieruta, Mao Tsetunga, czy ostatnio Gomułki. Spod kalkulacji ekonomicznej wyłączone są konieczności polityczne, których koszt musi być pokryty przez społeczeństwo. Inne wydawnictwa — nie bezpośrednio partyjne, czy wojskowe — muszą liczyć, muszą stać się dochodowe, zgodnie z obowiązującym od pewnego czasu kapitalistycznym rachunkiem. Ten rachunek nie jest jednak taki, jakby sobie tego życzyli wydawcy, bo gdyby tak było, to wydawano by przede wszystkim pisarzy angielskich, francuskich, amerykańskich, jako pozycje dochodowo murowane, nawet przy największych nakładach. Plan wydawniczy musi jednak posiadać klucz, zawierając tytuły z literatur Wschodu i Zachodu, plus możliwie jak największą ilość przedstawi-

cieli literatury rodzimej, by pomóc polskim pisarzom w ich ciężkich warunkach finansowych. I tu dochodzą do głosu jeszcze raz ograniczenia papieru, uniemożliwiająca bicie nakładów zgodnie z rzeczywistym zapotrzebowaniem rynku i jego chłonnością. Czytelnik polski jest w stanie wykupić kilkudziesięcio-tysięczny nakład Hemingway'a, Faulknera, Camusa czy Sartre'a w ciągu godzin, ale wydawnictwu trzeba będzie roku, by nakład powtórzyć, a często sprawa wtedy jest już przebrzmiała i rozumiejący to dyrektor wydawnictwa zwykle rezygnuje ze wznowienia na rzecz nowej pozycji. Jakie może być w kraju zainteresowanie książką, może świadczyć fakt, że *Pamiętniki Żołnierzy Batalionu Zośka* warszawskie księgarnie sprzedawały w tempie ponad dwustu pięćdziesięciu egzemplarzy na godzinę, co stanowi do dziś niepokonywany rekord powodzenia.

Książka, która zniknęła ze sprzedaży w ciągu paru dni, pokazuje się wkrótce w tak zwanych antykwariatach współczesnych, których samo istnienie już świadczy o bzdurach polityki papierowo-wydawniczej. Książki takie pokazują się tam jednak zwykle już po wyższej cenie, a dla przykładu warto może przytoczyć, że wspaniale wydany *Ołtarz Wita Stwosza* sprzedawany jest przez antykwariaty, nawet państwowe, po cenie kilkakrotnie wyższej od oryginalnej.

Papierowe trudności sprawiają, że co pewien czas na rynku brakuje nie tylko papieru maszynowego, papieru listowego czy kopert, ale nawet zwykłych widokówek — nie mówiąc już o takich luksusach jak dorzeczne i tanie przewodniki turystyczne, lub plany miast. Przy okazji warto może wspomnieć, że dzisiejsze plany zostały już urealnione i nie wprowadzają nikogo w błąd, jak to miało miejsce z wydanym w okolicach roku 1950 planem Warszawy, na którym zaznaczono wprawdzie dworce i koleje, ale nie umieszczono mostów, ani kolejowych ani drogowych, przez Wisłę.

Plan wydawniczy przygotowuje się w wydawnictwie

zawsze z pewnym marginesem, bo i tak wiadomo, że kolejne etapy zatwierdzania niejedną pozycję skreślą, lub zatrzymają, a cięcia następne będą rezultatem obniżenia przydziału papieru na i tak okrojony plan tytułów. Jest oczywiście jeszcze jedna przeszkoda na drodze wydawcy — jakby dotychczasowych było mało — mianowicie sprawa dewiz na honoraria dla autorów zachodnich. Ta sprawa może być zadecydowana w Ministerstwie Kultury, które też w zasadzie podpisuje umowę z zagraniczną firmą reprezentującą autora. Jak dotąd tylko Stany Zjednoczone zgodziły się na przyjmowanie tantiem autorskich w złotych, przy czym honoraria obliczane są w stosunku wartości złotego dewizowego, czyli cztery złote za jednego dolara. Mimo to z wyjątkiem teatru, literatura amerykańska nie jest publikowana szerzej, niż jest to wygodne czy potrzebne ludziom sprawującym nadzór nad polityką wydawniczą.

Wydawnictwa książkowe w Polsce są państwowe, nawet jeżeli mają w nazwie tytuł spółdzielni wydawniczej, i dla uniknięcia dublowania produkcji otrzymały pewien profil specjalizacyjny. Ponieważ jednak jest parę wydawnictw o podobnych zainteresowaniach, centralny przydział praw i opcji wydawniczych odbywa się w departamencie wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Wyjątek z reguły państwowości stanowi PAX i coraz skromniejsze wydawnictwa kościelne. Niemniej, w swej polityce wydawniczej podlegają one także kontroli ministerstwa.

Krajowe trudności papierowe i drukarniane ustępują nie tylko przed potrzebami politycznymi czy wojskowymi, ale również, gdy, za stosunkowo niewielkie dewizy, drukuje się w Polsce książki dla wydawców obcych, takich jak *Oxford University Press*. (To zresztą nie jest bez korzyści innej natury, bo *Państwowe Wydawnictwo Naukowe* otrzymało w zamian wyłączność publikacji na całą Europę Wschodnią pod firmą PWN-OUP, co daje nawet pewien dochód zwłaszcza na rynku czechosłowac-

kim, wschodnio-niemieckim i węgierskim). Poza tym trudności nie omijają także *Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych*, wydających podręczniki dla szkół w ilościach daleko niewystarczających, i mimo, że obecnie szkoły zajmują się przekazywaniem podręczników z klas wyższych do niższych — to w końcu lata widuje się rodziców biegających z obłędem w oczach od księgarni do księgarni w poszukiwaniu podręczników.

Nie darmo któryś z ministrów powiedział, że ekonomicznie bardziej korzystnie byłoby eksportować papier czysty, niż zadrukowany.

Przeciwko takiej sytuacji, i przeciwko tego rodzaju enuncjacom ludzi, którzy przecież decydują w dzisiejszej Polsce, pośrednio czy bezpośrednio, o polityce wydawniczej, a więc i o losach literatury i nauki — zaprotestował znany list trzydziestu czterech intelektualistów, świadomych niebezpieczeństw, jakie się kryją w obecnej polityce.

Trudności papierowe, prawdziwe czy fikcyjne, są tylko, podkreślam to jeszcze raz, techniczną formą nacisku na środowisko twórcze. Specjalistów od zagadnień kulturalnych nie brak w Komitecie Centralnym, chociaż ton im nadają Gomułka i Kliszko. Nie ulega wątpliwości, że zgodnie z tym co powiedział Gomułka — a w takich razach dotrzymuje on słowa — na sławnym lubelskim zjeździe literatów, prawo obywatelstwa będzie miała w Polsce literatura zaangażowana, oczywiście zaangażowana politycznie, i po właściwej stronie. Nie oznacza to, miejmy nadzieję, pojawienia się koszmarnych kiczów z okresu soc-realizmu jak *Traktory zdobędą wiosnę*, *Numer 16 produkuje*, czy *Na przykład Plewa**.

Nie tak dawne to jeszcze czasy, kiedy poważny i ceniony krytyk literacki przedstawiając zebrany czechosłowackim pisarzom, krytykom i dziennikarzom, sytuację w popaździernikowej literaturze polskiej, powiedział, że

* Kolejno autorzy: Witold Zalewski, Wilczek i Hamera.

żadna z istniejących grup literackich, nawet ta reprezentowana przez Putramenta i Kruczkowskiego, nie zakłada w żadnym wypadku powrotu do realizmu socjalistycznego, jako kierunku skompromitowanego.

Na wspomnianym wyżej zjeździe pisarzy wygłosił Gomułka pochwałę literatury okresu stalinowskiego, co tak zaskoczyło pisarzy, że nawet Kliszko musiał na popołudniowej sesji ratować sytuację interpretując w nieco inny sposób Gomułkowskie oceny, które zresztą nigdy i nigdzie nie zostały podane do wiadomości publicznej. Z czego wypływa całkiem pozytywny wniosek, że partia jednak zdaje sobie sprawę z tego co jest w Polsce popularne, a co zupełnie nie.

Z dyktatury literackiej Ministerstwa Kultury i Sztuki sprawowanej przez towarzyszkę Zatorską, powstała tzw. literatura prozatorska, w odróżnieniu, jak się mówi, od literatury pro-ludzkiej, i można znów odkurzyć odstawione do kąta obiegu określenie, że soc-realizm to jest naturalizm, który ma chody w KC. Nie bez związku z działalnością departamentu pozostaje cenzura książek, przy czym Lecowi usuwa się z pełnego wydania *Mysli nieuczesanych* aforyzmy i fraszki, które na podstawie poprzednich wydań ukazały się już w przekładach za granicą — albo przez tęże instytucję i KC inspirowane artykuły z napadami na pisarzy lub reprezentowane przez nich poglądy, w czym dla wkupienia się z powrotem w łaski specjalizuje się Zbigniew Mitzner (Jan Szeląg), dawny właściciel *Szpilek*, skupujący w czasie wojny za bezcen prawa autorskie od pozbawionych środków do życia pisarzy. Może znów znajdzie się jakiś poręczny, o elastycznym sumieniu krytyk literacki, który odważy się z pozycji swych niedojrzałych dwudziestu lat atakować pisarzy, tak jak kiedyś Grzegorz Lasota — Dąbrowską, Parandowskiego, Staffa. Już zapomniano po trosze jak wysoko cenionego dziś, po śmierci, Gałczyńskiego, wykańczał w Szczecinie na stalinowsko-literackim zjeździe, Jerzy Pański.

List 34 miał w podpisie zawierać jeszcze dwa nazwiska, a ich brak określa z dużym realizmem sytuację wśród pisarzy. Jeśli zabrakło bowiem podpisów Jerzego Putramenta i Jarosława Iwaszkiewicza, to z dwóch podobnych, a jednak zupełnie różnych przyczyn. Pierwszego — bo jako członek KC i przekonany komunista, nie uznał za stosowne czy możliwe przeciwko polityce tej partii wystąpić — i drugiego, który obsypany zaszczytami swego niedawnego jubileuszu, wołał wybrać spokojne trawienie materialnych i duchowych zdobyczy swego długiego i pełnego kompromisów życia. I taka postawa jest chyba niestety charakterystyczna dla dużego procentu tych, którzy podpisali protest przeciwko listowi 34 — dla świętego spokoju, i w ramach materializmu dietetycznego.

IX.

O ile jeszcze ktoś mógłby mieć wątpliwości co do sytuacji politycznej w zawodach artystycznych potrzebujących dla swej twórczości papieru — to znikają one wobec powstałych nowych stosunków w innych dziedzinach sztuki posługujących się pędzlem, dłutem czy taśmą filmową.

Kiedy przed niewielu stosunkowo laty obecny z wizytą w Warszawie Woroszyłow zwiedzał Muzeum Narodowe, profesor Lorentz nie zamierzał pokazać mu sali malarstwa Thadée Makowskiego — uczynił to za niego radziecki ambasador. A Woroszyłow po obejrzeniu kilkunastu płócien, powiedział: „Takiemu artyście trzeba było obciąć ręce!”

W Polsce wprawdzie rąk nie obcinano, ale za to widziało się na wystawach w stołecznej *Zachęcie* takie kiczki, że mogło to raz na zawsze zniechęcić do sztuk plastycznych. Tematy rzeźb i obrazów były typowane

przez Ministerstwo Kultury z punktu widzenia politycznego, a wykonanie było dla jury tym lepsze, im bliższe fotograficznej poprawności. W warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, malarz Krajewski, profesor malarstwa sztalugowego uczył jak powinien wyglądać, fizycznie, bohater pozytywny, a jakie cechy ujemne należy nadać wrogowi ludu. Jedynym mecenasem było państwo — i malowało się tak jak klient sobie życzył, a jeśli ktoś, jak stary malarz Lasocki, całe życie malował krowy, to przynajmniej w tytule obrazu dodawał, że to są wprawdzie krowy, ale „z PGR”.

Dziś jeżeli ktoś namalowałby krowę, to by jej rodzone cięło nie poznało, ale kto naprawdę poza kilkoma upartymi realistami zajmuje się taką tematyką. Nie ma w tej mierze statystyk, ale na oko widać, że co najmniej 80% malarzy to abstrakcyoniści, uprawiający tasyzm, *collage*, deformacje. Dominik, Lebensztajn, Kantor, Kobzdej (kiedyś namalował słynną trójkę murarską pt. „Podaj cegłę”) — to nazwiska nie obce na Zachodzie, a Kupczyński, Smolarek czy Wagner wystawiający w pogodne dni w warszawskim Barbakanie potrafili prywatnymi drogami wystawiać swe obrazy we Francji, a nawet na Florydzie. Drogami prywatnymi, bo po okresach, kiedy nawet ministrowie udawali, że rozumieją abstrakcję, znów nadchodzą czasy ubizmu i fernalizmu, na razie jeszcze na użytek wewnętrzny, bo za granicą rząd lubi mieć opinię dopuszczającego konkurencję „stu kwiatów”. W tej sytuacji — jak to miało miejsce bardzo niedawno w Norwegii — publiczność wyobrażając sobie, że malarz polski wystawiający za granicą musi mieć kolosalne chody co najmniej w KC — bojkotuje takie wystawy, co jest olbrzymią i niezastuzoną krzywdą dla naszych malarzy, poniewieranych i traktowanych jak zło konieczne w kraju, a bojkotowanych za granicą jako przedstawiciele reżymu. Czy naprawdę nie ma nikogo, kto by takie rzeczy Norwegom i innym wytłumaczył?

Malarstwo nowoczesne staje się pomału sztuką dla

sztuki, bo popierane, finansowane, chwalone i nagradzane bywa coraz częściej malarstwo figuratywne, „przedstawiające”, a najładniej by było, gdyby jeszcze polityczne. Ale malarstwo nowoczesne tymczasem przyjęło się i coraz częściej można je znaleźć na ścianach mieszkań prywatnych zamiast Kossaka, czy choćby jelenia — i w ten sposób powstał, chociaż w ograniczonych finansowo rozmiarach, prywatny mecenat sztuki. Poza tym abstrakcyoniści na swoje szczęście (przynajmniej niektórzy) bywają obcesowi w swych żądaniach, a wiadomo, że kto krzyczy, ten ma rację. I tak jakoś wywalczają sobie prawo egzystencji nie bez sympatycznego poparcia Związku Plastyków, który jeszcze nie rządzony przez polityków, raczej ma zrozumienie dla każdej twórczości. Także nie bez znaczenia jest pewnie fakt, że marszałek Spychalski jako architekt, ma się po trosze za artystę, snobuje się na znajomości z artystami, kolekcjonuje, bywa na wernisażach — a za nim — *cuius regio eius religio* — także niemało wyższych oficerów i generałów.

Moda na abstrakcję w architekturze wewnątrz doprowadza czasem do koszmarnych wyników, jeżeli na przykład domowy „pikas” pomalował ściany gospody Samopomocy Chłopskiej w czarne, różowe i żółte trójkąty, a tak dziś wygląda niestety większość wiejskich knajp. W miastach natomiast udział artystów z prawdziwego zdarzenia stworzył sklepy marzenia, sklepy doznań artystycznych, jakich niewiele zobaczy się na Zachodzie, do których wchodzi się z przyjemnością, a żeby jeszcze w nich był żądany towar...

Znacznie gorzej niż malarzom żyje się dziś rzeźbiarzom, których koszty własne są wysokie, a zamówień mniej niż kiedykolwiek. Ale o ile malarze nie doczekali się jeszcze wystawy stałej, to istnieje w pawilonie parkowym w Wilanowie muzeum rzeźby nowoczesnej skupujące eksponaty za pieniądze państwowe. Niemniej nie przypominam sobie, bym widział kiedy popiersie Gomułki, a tym mniej Witaszewskiego, na wystawach, a rzeź-

biarze jednak coś robią. Po śmierci Xawerego Dunikowskiego pierwszeństwo przeszło głównie w ręce kobiece w tej sztuce, która czasem wymaga przecież siły fizycznej. Alina Ślesieńska-Puzyna i Alina Szapocznikow należą do najbardziej znanych zagranicą, i cieszą się nawet poparciem czynników oficjalnych w kraju, choć ich sztuka daleka jest od realizmu. (Mniej więcej realistyczny pomnik wzniesiony według projektu Ślesieńskiej, nie ostał się realizmowi sytuacji politycznej w kraju portretowanego czyli Nkrumaha). W dzisiejszej polskiej rzeźbie można wytropić wpływy Moore'a, Caldera, Zadkine'a, wszystkie możliwe kierunki, materiały i metody, do operowania palnikiem acetylenowym włącznie. Kiedy otwarto przed wielu laty wystawę projektów konkursowych na projekt pomnika Bohaterów Warszawy, nie było na niej chyba ani jednego projektu realistycznego. I od tamtego czasu nic się właściwie w sytuacji nie zmieniło, mimo partyjnych ciągów ku sztuce politycznie zaangażowanej, a nawet za pieniądze państwa wzniesione pomniki w Treblince, na Westerplatte, na cmentarzu pomordowanych jeńców wojennych w Żaganiu — potraktowane są bardzo nowocześnie i są dobrym przykładem talentów polskich rzeźbiarzy.

Niejako na marginesie zasadniczych sztuk plastycznych rozwijał się ich kopciuszek — nowoczesny gobelin i kilim artystyczny, aż do czasu, gdy na berneńskim Biennale posypały się nagrody dla Jolanty Owidzkiej i najmniejszej plastyczki świata (metr dwadzieścia w kapeluszu) Ady Kierzkowskiej. Państwowe przedsiębiorstwo *Desa* wywahało eksportowy interes i życie młodych plastyczek mogłoby być różami usłane, gdyby jeszcze dostępny był rzadki, reglamentowany surowiec, czyli wełna. Inaczej mówiąc państwo lubi cudzą pracę za dolary sprzedać, zapłacić plastykowi w złotych i to wcale nie dewizowych, i w miarę możliwości nie dać warunków pracy bez zbędnych trosk: praktyka aż nazbyt często nie tylko wobec artystów stosowana.

Wszystkie wyżej wymienione zawody artystyczne uprawiane są prywatnie, w pośredniej tylko zależności od partii, rządu i państwowych wydawnictw, biur, galerii, handlu i przedsiębiorstw eksportowych. Jeżeli rynek państwowy zwięża się, ustala kierunki twórczości — to zawsze pozostaje jakiś — nieraz całkiem szeroki — margines klienteli prywatnej krajowej lub zagranicznej. Inaczej jest w dziedzinie filmu i teatru, gdzie jedynym właścicielem jest państwo za pośrednictwem swych przedsiębiorstw.

Dojechawszy tak daleko w opisywaniu spraw i rzeczywistości kraju — poczułem łaskotanie: tyle stron i ani jednego cytatu z klasyków marksizmu?

Lenin powiedział: „Film to sztuka najważniejsza”. I zgodnie z tym miał się rozwijać film w Polsce. Inaczej mówiąc, zadaniem tej sztuki miało być nie tylko ilustrowanie i dawanie świadectwa wielkości przeżywanego czasu, ale także wspieranie każdej politycznej czy ekonomicznej akcji partii. Film miał do każdego zagadnienia nekającego życie kraju budującego socjalizm dostarczyć argumentów przekonujących o słuszności, o konieczności, o prawdzie, wyższości i td. W ten sposób powstawały *Jasne Łany* o kolektywizacji i kreciej robocie kułaków wspieranych bezpośrednio przez Pentagon, *Brygada Szlifierza Karhana*, z którego to filmu widzieć nauczyć się mógł jak się obsługuje szlifierkę — i wiele innych, przy czym niektóre były tak złe, że nawet ówczesna komisja repertuarowa odłożyła je na półkę. Jeden z dyrektorów Centralnego Urzędu Kinematografii utrzymywał, że filmy powinny być robione na zapas, na wszelkie możliwe tematy przewidziane w przyszłym rozwoju zaplanowanej przez ideologię sytuacji polityczno-ekonomiczno-społecznej kraju — i wydobywane z magazynu w czasie, gdy zagadnienie w nich omawiane staje się aktualne w bieżącej chwili. Do tego nie doszło, nie dlatego, żeby były jakieś polityczne sprzeczności, lecz po prostu żadnemu państwu na świecie nie starczyłoby pewnie pieniędzy na taką produkcję filmową. Czy trzeba przy tym dodawać, że

były to czasy, kiedy wzorem dla polskich reżyserów musiał być Cziaureli — Andrzej Munk dopiero kończył łódzką szkołę filmową, a Wajda jeszcze jej nie zaczął.

Potem wiemy co się stało: nadeszły czasy odwilży, potem Października, który zlikwidował CUK i utworzył zespoły filmowe znane dziś w całym świecie jak *Kadr*, *Syrena* czy *Start*. W trzech wytwórniach filmowych — Wrocławiu, Łodzi i Warszawie — powstało kilkanaście filmów, które znalazły się już na stałe wśród klasycznych dzieł kinematografii. I tylko ciekawe byłoby może zanotować, że im bardziej film podobał się na świecie, tym mniej władzom partyjnym — a może było odwrotnie.

Pętla i *Ewa chce spać*, to — według oceny generała Witaszewskiego — filmy antypolskie, oczerniające i niegodne, a *Nóż w wodzie* według Gomułki, to film politycznie szkodliwy, kosmopolityczny i jeszcze jakiś, zgodnie z używaną w takich ocenach nomenklaturą.

Ograniczany w swej swobodzie, zagrożony ocenami jak powyższe, film polski po kilku latach tłustych, zaczyna się cofać na pozycje dawne. Reżyserzy i scenarzyści coraz częściej sięgają do tematyki historycznej, skoro nie wolno im zrobić filmu współczesnego tak jakby czuli i chcieli. Skurczyła się tematyka: o kułakach się nie słyszy od czasu reprzywatyzacji rolnictwa, sabotaże w fabrykach — nie modne, a każdy film psychologiczny rozgrywający się w określonych warunkach, musi przecież w ten czy inny sposób wyeksponować polityczny surrealizm, musi pokazać nędzę, braki, niedowład, beznadziejność — czyli to wszystko, co nie mieści się w pojęciach filmu współczesnego takiego, jaki potrzebny jest partii i rządowi — ale jednak jest typowe dla dzisiejszej rzeczywistości, jeżeli nie chce się nakręcić filmu z życia *high-life'u*: aparatczyków i badylarzy.

Najgorsza chała, jeżeli jest tylko politycznie poprawna, może spodziewać się poparcia, a reżyser nagród i odznaczeń, choćby sale kinowe świeciły pustkami — i odwrotnie, film o najwyższych wartościach artys-

tycznych i aktorskich a poza tym kasowy, jeżeli nie jest politycznie w porządku — jest skończony.

Nakręcony w dawnych czasach, do których zaczyna się coraz bardziej upodobniać sytuacja dzisiejsza, film *Robinson Warszawski*, którego tytuł zmieniono potem na *Miasto Nieujarzmione*, według scenariusza Jerzego Andrzejewskiego, był przerabiany całkowicie trzykrotnie! tak że z pierwotnej wersji nie zostało właściwie nic. Do historii samotnego starego człowieka żyjącego w piwnicy, w pustyni wymarłej popowstaniowej Warszawy, dołożono nawet radzieckich spadochroniarzy kierujących przez radio wyzwoleniem miasta — czyli historia tak zełgana, że można by ją pokazywać tylko bardzo daleko od kraju, który te sprawy zna na pamięć. A mimo to nic nie powstrzymało poprawiaczy — a brała w tym udział nie tylko dyrekcja filmu, cenzura, ale nawet towarzysze z wydziału propagandy KC.

Po okresie, kiedy nie bywało festiwali międzynarodowych, na których film polski nie dostałby jakiejś nagrody — dziś przestał się on właściwie liczyć, nawet w swym punkcie najsilniejszym: dokumencie. A niejeden znakomity reżyser żyje na Zachodzie pracując dla obcej, niepolskiej sławy.

W związku z coraz większym rozpowszechnieniem się telewizji, również i wytwórnie filmowe przestawiają się na produkcję filmów w odcinkach, by zastąpić nadawane dotąd amerykańskie *Bonanza*, *dr Kildare*, angielskie *Robin Hood* i *Wilhelm Tell*, czy serie filmów Hitchcocka. Ale za wcześnie jeszcze jest by sądzić, że kinematografia zamiera, wypierana przez telewizję. Dla licznych miejscowości kino jest w dalszym ciągu nowością, bo przecież we wsiach sale kinowe zaczęły powstawać piętnaście lat temu, i chociaż jest ich dziś ponad trzy tysiące — daleko jeszcze do sytuacji dobrej. W tych salach trzeba coś wyświetlać, i to nie wyłącznie filmy radzieckie i polskie jak się to robiło w okresie stalinowskim. Dziś repertuar ogólnopolski nie ma takich filmów więcej niż

15%, resztę stanowi import ze Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji, Włoch, Szwecji. Na szczęście dla polskiego widza przestała obowiązywać „doktryna”, że „jeżeli piszemy w prasie jak źle jest na Zachodzie, to nie można pokazywać filmów, które temu przeczą”. Oczywiście i wtedy i dziś nikt w Polsce nie miał wątpliwości jak przedstawia się prawda — ale takich rzeczy jak opinia ludności nie brało się pod uwagę, a dziś jeżeli się ją bierze — to przynajmniej się z nią nie liczy, jak to widać w wielu dziedzinach życia we współczesnej Polsce.

O ile trudno jest o znośny scenariusz polskiego filmu współczesnego (oczywiście znośny dla widza) — to sytuacja we współczesnej dramaturgii jest wręcz katastrofalna. Koszmarne chały ginekologa Lutowskiego, czy artystyczne nieporozumienie (ale jakże słuszne politycznie) Kruczkowskiego pt. *Juliusz i Ethel*, o radzieckich szpiegach Rosenbergach — nie mogą w żadnym wypadku pretendować do miana sztuki. Zaś sam Mroźek sytuacji nie uratuje. Nie pomogą świetni reżyserzy, doskonała scenografia i naprawdę liczni utalentowani aktorzy — współczesna sztuka teatralna w Polsce nie istnieje.

Sprawę pogarsza fakt, że kilkadziesiąt teatrów zawodowych, kilka operetek i oper, musi być subsydiowanych przez państwo bezpośrednio czy pośrednio poprzez dopłacanie do na pół darmowych biletów rozprowadzanych przez związki zawodowe w miejscach pracy. Ta ostatnia forma jest jedynym ratunkiem gdy raz do roku zdarza się katastrofa w postaci jesiennego festiwalu sztuk radzieckich i rosyjskich. Jeszcze klasyka rosyjska może się cieszyć zasłużonym powodzeniem, ale współczesna sztuka radziecka stoi, jeżeli to możliwe, jeszcze niżej niż nasza rodzima.

Niemniej teatr w Polsce, gdy chodzi o repertuar zachodni dotrzymuje kroku Europie, a nawet wiele krajów pod tym względem wyprzedza. Tak powinno być w kraju, który jako trzeci w Europie, w 1604 roku, wystawił Szekspira, dawał światowe premiery Beaumarchais i

G. B. Shawa, a dziś gra Becketta, Sartre'a, Ionesco, Dürrenmatta równocześnie z Paryżem, Londynem czy Nowym Jorkiem.

Ale to nie jest zasługa ani partii, ani ustroju — lecz ustępstwo.

X.

Włączenie polskich Ziem Wschodnich do Związku Radzieckiego, wysiedlenie Niemców i „rozwiązanie kwestii żydowskiej” przez Hitlera — sprawiły, że Polska nagle stała się krajem tak katolickim jak nigdy dotąd w swej historii.

Jest w Polsce wyznań i kościołów, zarejestrowanych w Urzędzie do Spraw Wyznań przy Radzie Ministrów, aż trzydzieści trzy, nie wyłączając buddystów, ale ilość obywateli wyznania rzymsko-katolickiego ocenia się na około 95%. Mówię: ocenia się, ponieważ od kilkunastu lat rubryka „wyznanie” nie istnieje w żadnych dokumentach, kwestionariuszach czy statystykach, toteż dane liczbowe posiadają tylko gminy wyznaniowe poszczególnych religii, no i wspomniany urząd.

Jest jeszcze trzydzieste czwarte wyznanie, jedyne nielegalne, tropione i prześladowane: Świadkowie Jehowy. Mimo nielegalności zyskuje ono sobie coraz liczniejszych zwolenników i, rzecz ciekawa, w dużym procencie na wsi. Chyba po raz pierwszy wystąpili Świadkowie Jehowy publicznie w czasie wielkiej defilady wojskowej na XX-lecie PRL, kiedy w kilku punktach Marszałkowskiej i na Placu Konstytucji niewielkie kilkusobowe grupki wystąpiły z hasłami pacyfistycznymi na domowej roboty transparentach. Nic im się nie stało, i nikogo nie aresztowano, chyba tylko dzięki zupełnemu ogłupieniu milicji nie przywykłej do takich manifestacji.

Wyznaniem jak najbardziej legalnym i nawet popieranym przez rząd, jest Polski Kościół Katolicki, spadko-

bierca narodowego kościoła utworzonego przed wojną przez biskupa Hodura. Kościół ten stanowi dziś niewielką i mało znaczącą grupę wiernych, ale rozporządza znacznymi sumami pieniędzy mając rządowe błogosławieństwo na prowadzenie własnych przedsiębiorstw dochodowych. Pierwszy bodajże w Polsce kościół tego wyznania został zbudowany w Studziankach nad Wisłą, wsi uświęconej legendą o największej bitwie pancерnej wojska polskiego — tego właściwego oczywiście, a nie tego spod Chambois i Falaise. Do rozszerzenia się tego wyznania przyczynił się z pewnością niemało pontyfikat Piusa XII, który dla swych znanych sympatii, był na pewno najmniej popularnym w Polsce papieżem od czasów Aleksandra VI.

Te dwa wyznania — Świadkowie Jehowy i Polski Kościół Katolicki — zyskują sobie nowych członków z przyczyn ideologicznych, bo na przykład bujny w pierwszych latach powojennych rozwój kościoła Metodystów tłumaczył się prowadzonym przezeń rozdziałem paczek amerykańskich z żywnością i odzieżą. Dziś jeżeli ktoś mówi, że idzie do Metodystów, oznacza to tylko, że zapisał się tam na doskonały kurs języka angielskiego. Inne drobne wyznania miewają swoje dobre strony, jeżeli na przykład partia uważa, że nie powinno zabraknąć Polski na międzynarodowym kongresie Kwaków, i MSZ wysła wtedy jakiegoś wiernego z odpowiedniego terytorialnie departamentu. W czasie genewskiego kongresu obowiązki takie pełnił sam naczelnik wydziału z departamentu Europa Zachodnia.

Razem z eksterminacją polskich Żydów zniknęły też stare synagogi, warszawska, projektowana przez samego Merliniego, została wysadzona w powietrze po likwidacji warszawskiego getta, a cudowna, gotycka, na krakowskim Kazimierzu, odbudowana została na muzeum żydowskie. Komuś kto nie widział kraju przez wiele lat, zabraknie nie istniejącego już dziś małomiasteczkowego folkloru żydowskiego Góry Kalwarii, Sandomierza czy tyłu innych. Nie wiadomo też dokładnie ilu Żydów jest

dziś w Polsce, ale ocenia się, że z przeszło trzech milionów przeżyło mniej niż sto tysięcy, z czego większość na ziemiach wschodnich, a dziś, po masowym exodusie lat popaździernikowych, ale licząc razem z repatriantami (z których wielu jechało tranzytem wprost do Izraela) nie ma zapewne więcej niż 20-30 tysięcy, skupionych w większości w Warszawie i okolicach Wałbrzycha. W Warszawie można ich spotkać najliczniej w Teatrze Żydowskim Idy Kamińskiej, albo na sobotnim czuleniu w restauracji żydowskiej *Amica* na Kredytowej, i próżno by szukać Nalewek, bo choć zostały po warszawskim getcie nazwy ulic, to wyrosła tam zupełnie nowa Warszawa.

Co roku w kwietniu, w rocznicę powstania w getcie, przyjeżdża pewien warszawski Żyd zamieszkały dziś w Kanadzie — samolotem przez Paryż do Warszawy, skąd do Krakowa i Oświęcimia, by postawić tam na wózku krematoryjnym zapalone świece za dusze dwudziestu dwóch osób z utraconej rodziny.

Wędrowka po zaginionych religiach trwa, przenosi się tylko na południowo-wschodni kraniec Polski, w Bieszczady, gdzie wśród zarosłych zielskiem podmurówek pozostałych po zniszczonych wsiach, stoją jeszcze tu i ówdzie szkielety drewnianych cerkiewek ukraińskich i łemkowskich, zabytków drewnianego budownictwa sakralnego, o którym wydano niejedną publikację, ale niewiele zrobiono, by je od zagłady uchronić, gdy zabrakło wiernych wymordowanych lub wysiedlonych w latach 1945-48. Po ruinach krążą tylko szabrownicy ikon na wywóz na Zachód i pracownicy muzeum w Sanoku, w zameczku Anny Jagiellonki, szczytującego się najświetniejszym zbiorem ikon w Europie na zachód od Bugu.

Zniknęli niemal zupełnie unicy, coraz mniej jest prawosławnych w cerkwi na Pradze i mało kto pamięta za zburzenie jakiego to soboru ma być karą Bożą warszawski Pałac Kultury. Na salę gimnastyczną zamieniono małą cerkiewkę białoruską na Saskiej Kępie, i tylko ewangelicy znaleźli dość funduszy, by odbudować trzecią

kopułę Europy (po św. Piotrze w Rzymie i św. Pawle w Londynie) nad swym kościołem na pl. Małachowskiego*.

Jeszcze nad białowieskimi wioskami z drewnianych minaretów śpiew muezzina wzywa na modlitwę ostatnich pozostałych w Polsce Tatarów, jeszcze w Warszawie i na Dolnym Śląsku trafiają się Karaimi, uciekinierzy z Wileńszczyzny.

Są w Polsce trzydzieści trzy wyznania — ale kraj dziś, po granicznych poprawkach i po dwudziestu latach rządów partii, jest katolicki jak Hiszpania, a niejeden stary chłop zapytany o narodowość, powie: katolik.

Urzędy stanu cywilnego rejestrujące urodziny, nie przyjmują do zapisu noworodka o imieniu, którego nie ma w kalendarzu, w sklepach MHD czy PSS wiszą na ścianach krzyże, albo częstochowskie Madonny, a spotykający się w niedzielę czasem mówią: towarzysz też do kościoła na jedenastą?

Wystarczy przejechać byle jaką szosą w Polsce, by zobaczyć ile zbudowano nowych kościołów świecących świeżością cegły czy tynku — od kościoła rybaków we Władysławowie, chyba najpiękniejszej nowoczesnej budowli sakralnej w kraju — aż po najnowszy, trzeci już, drewniany w stylu podhalańskim, kościół w Zakopanem. Na Boże Ciało cała warszawska kolonia dyplomatyczna jedzie do Łowicza fotografować i filmować książackie pasiaki, a procesje w ten dzień nawet w stolicy wstrzymują ruch na ulicach aż do wieczora. Z funduszków społecznych, kościelnych, ofiar, odbudowano prawie wszystkie zniszczone warszawskie kościoły, a nawet jeden taki, który od wojen napoleońskich mieścił fabrykę — mianowicie maleńki kościółek św. Benona koło Rynku Nowego Miasta.

I archeologowie nie byli bezczynni: odkryli w podziemiach poznańskiej katedry chrzcielnicę kamienną, która może być chrzcielnicą Mieszka I, — a w Wiślicy

* Odbudowę rozpoczęło państwo przeznaczając ów kościół na salę koncertową.

znaleziono ślady kościoła przedromańskiego i naczyń kościelne, które po zbadaniu mogą ujawnić nieznane historykom prawdy o dawności chrześcijaństwa w Polsce — wreszcie w Strzelnie, niedaleko Gniezna, pod barokowym tynkiem znaleziono kamienne romańskie kolumny w wieku kaplicy Feliksa i Adaukta.

Dziesięć lat trwało odnawianie wywiezionego przez Niemców i znalezione w stawie ołtarza mariackiego Wita Stwosza; do rekonstrukcji warszawskiej katedry wyprodukowano gotyckie cegły płaskie i profilowane; większość z siedemdziesięciu krakowskich kościołów przeszła lub przechodzi renowację — a najlepszym zarobkiem dla plastyka jest malowanie fresków po prowincjonalnych kościołach, czym zajmują się nie tylko zawodowcy, ale także amatorzy ze *Szpilek*.

Jeżeli to wszystko się robi nie tylko z wiedzą, zgodą, ale nawet z funduszków nierzadko przydzielanych przez państwo — to wniosek jest jeden: nawet partia musiała uznać, że wiara jest tak silna i głęboka, iż warto wierzących zdobyć dla siebie. Ten wniosek nie obejmuje kościoła jako organizacji, wcale partii nie potrzebnej, a nawet zbędnej. Nie zawsze tak było w okresie stalinowskim, ale Październik wraz z uwolnieniem kardynała Wyszyńskiego z klasztornej odosobnienia, przywrócił pewien realizm w ocenie sytuacji i zastosowaniu nowej strategii wobec nie tyle wiernych, ile kościoła.

Czynny jest w Lublinie uniwersytet katolicki, jeden przecież z nielicznych w Europie, czynne są seminaria duchowne w wielu miastach Polski, ogromna większość dzieci uczy się religii w tak zwanych punktach katechetycznych czynnych przy kościołach, wojsko ma służbę duszpasterską, i chyba tylko brak kapelana KC. Na wsi zaś, jak to kiedyś napisał pewien satyryk, niedługo pewnie powstaną kółka różańcowe ZMW i zespoły pieśni i tańca pod wezwaniem świętego Wita.

Najnowsze wydarzenia związane z niewydaniem paszportu kardynałowi Wyszyńskiemu i wymianą listów mię-

dzy Urzędem Rady Ministrów a Kurią Biskupią — nie są właściwie niczym nowym w praktyce stosunków między kościołem i państwem. Równocześnie przecież minister oświaty w sprawozdaniu w Sejmie doniósł o otwarciu iluś tam tysięcy nowych punktów katechetycznych — czyli, że religię, jej istnienie i jej prawa uznaje się, ale administracja kościelna zajmuje się nieswoimi sprawami, i trzeba ją ukarać i wskazać granice, w jakich ma prawo się poruszać. Wyznanie, wolność religijna, są w Polsce chronione: nie ma w zasadzie stowarzyszeń wolnomyślicielskich, za bluźnierstwo można zgodnie z prawem oberwać do pięciu lat, i nawet instytucje państwowe dają zwolnienia z pracy dla wzięcia udziału w pielgrzymce na Jasną Górę! Rząd i partia zrezygnowały z laicyzacji społeczeństwa przemocą, i zastosowały inne systemy, obliczone cierpliwie na długie lata, ale ich zdaniem, w warunkach polskich, znacznie bardziej skuteczne, i mogące przynieść trwalsze rezultaty. A więc przede wszystkim stara się odciągnąć od nabożeństw młodzież za pomocą czy to bardziej atrakcyjnego programu telewizyjnego, czy imprez sportowych i tp. organizowanych w czasie kolidującym z uroczystościami kościelnymi. Przez całe lata urządzano w Częstochowie, w okresie jesiennych pielgrzymek, wystawy rolnicze, przy czym setkami tysięcy zjeżdżający chłopci oglądali taką wystawę, ale i nie rezygnowali z odwiedzin klasztoru. Ta forma wydała się państwu mało skuteczna i zarzucono ją. Praktykowano naprawy mostów na drogach prowadzących do miejscowości, gdzie akurat w tym czasie miał się odbyć jakiś bardziej uroczysty odpust, a centralne dożynki organizowane są jednocześnie z późniejszymi pielgrzymkami częstochowskimi. Ale w Polsce jest trzydzieści dwa miliony ludzi i ubytek stu tysięcy zebranych na warszawskim Stadionie X-lecia nie wpływa na zmniejszenie tłoku w mieście, gdzie aleja Najświętszej Marii Panny łączy klasztor Paulinów z Hutą Bieruta.

Zawieszenie broni, jakie nastąpiło po roku 1956,

między hierarchią kościelną a partią — było tylko ideologicznym NEPem. Partia nie cofnęła się ze swoich pozycji i czekała na sprzyjające okoliczności, by tym mocniej uderzyć. Tymczasem przeprowadzano co pewien czas próby sił, jak na przykład zniesienie nauki religii w szkołach, fakt przecież nierzadki w wielu państwach na świecie. Zdaniem wielu ludzi w Polsce, kardynał dał się niepotrzebnie wciągnąć w tę sprawę, bo można było z góry przewidzieć, że tej walki nie wygra, a tylko zaangażuje niepotrzebnie siły zamiast rezerwować je na poważniejsze potrzeby. Nauce religii nic się w zasadzie nie stało, bo wcale nie mniejsze ilości dzieci uczęszczają na nią do kościołów — ale kler zaangażował swój autorytet i prestiż, bez żadnych korzyści, których mógłby w zamian za ustępstwo zażądać. Zabrakło poczucia taktyki.

I wreszcie w roku 1966, roku rocznicowym, milenijnym, wybiła godzina generalnego natarcia partii. Okazja raz na tysiąc lat. Episkopat wyciągnął rękę do Niemców, podważając fundament polityki partii i rządu, którym jest anty-niemieckość dla odwrócenia uwagi od antyradzieckości, plus zagadnienie Ziemi Zachodnich, o czym zresztą kler polski ma zdanie identyczne z oficjalnym — ale od czego fałszerstwa.

Ponieważ w Polsce, i w ogóle w systemie propagandowym komunistycznym załatwia się wszystko akcjami — i ta akcja będzie trwać tak długo, jak długo będzie przynosić wyniki. Stawka jest duża, a rozgrywka dla obu stron trudna: zaangażowano dwa głębokie uczucia — przywiązania do Kościoła jako instytucji, i patriotyzmu opartego na doświadczeniach hitlerowskiej okupacji. Partia jest zniechęcona, ale idee, pod które się podszywa w tej akcji, są społeczeństwu bliskie. Gomułka z kretesem przegrał okres swej niezwyklej popularności, ale także w pewnym stopniu utracił ją kardynał Wyszyński. Sprawa rozgrywa się nie między ludźmi, lecz na płaszczyźnie polityki — jak zwykle w Polsce, raczej odczuwanej niż rozumowej. Ale tysiąclecie chrztu pozostaje faktem

historycznym i coś z tym trzeba zrobić: akcja idzie opornie, zebrania protestacyjne przeciwko listowi polskich biskupów są mało ożywione; na wrocławską demonstrację studentów zebrało się kilkuset na ogólną liczbę kilkunastu tysięcy studiujących w tym mieście.

Z listem trzydziestu czterech intelektualistów polemizowano w prasie bez ogłoszenia jego tekstu — ale intelektualiści bronić się nie mogą, bo co napiszą podlega cenzurze i — nie mają ambon. Poza tym głos intelektualistów jest odbierany przez stosunkowo niewielki krąg społeczeństwa i przede wszystkim zagranicę — a ambony obsługują 95% ludności. Intelektualiści są bliżsi agnostycyzmu, lub obojętni wobec spraw Kościoła i religii (tacy są przynajmniej w swej większości), natomiast słuchacze głosu z ambon to podstawa władzy (przynajmniej teoretycznie) w państwie robotników i chłopów.

Partia i rząd nie spodziewają się, by za jednym zamachem w czasie trwającej akcji wbić na zawsze klin pomiędzy wiernych i hierarchię kościelną — ważne będzie tylko, w jakim stopniu im się to powiodło. Ale to może okazać się dopiero w okresie późniejszym, gdy opadnie napięcie i fala uniesień, a millenijne obchody są tylko tego sprawdzianem i to dalekim od stuprocentowo pewnego. Tu grać będą: poczucie historii, tradycja, tak miła polskiemu sercu — a czy partyjno-rządowa akcja przyniosła owoce, to — powtarzam — sprawa dużo dalszej przyszłości.

W okresie stalinowskim sprawy były prostsze. Aresztowanie biskupa czy księdza czyniło go męczennikiem w oczach wszystkich, bo męczennikiem bywał w zasadzie każdy uwięziony przez rząd wrogi i obcy całemu społeczeństwu. Przejście przez okres prześladowań pozwalało zapomnieć, kim właściwie klient bezpieczeństwa był — tak jak po jego uwolnieniu zapomniano Gomułce, że kiedyś był uważany za małego stalinka, w odróżnieniu od „dobrego” Osóbki-Morawskiego. Wtedy białe było białe, a czarne — czarne. Dziś kolory się przemieszały

w szachownicę, po której ocena nieraz porusza się ruchem konika, a rzadko po linii prostej.

Wydawało się, że episkopat ryzykując wystąpienie wobec biskupów niemieckich, dysponował jakimiś poważniejszymi gwarancjami papieskimi, które Watykan w razie potrzeby twardo poprze — bo przecież musiano sobie zdawać sprawę z możliwych konsekwencji takiego kroku.

Miejmy nadzieję, że nie zostały rzucone na szalę sprawy autorytetu Kościoła w Polsce — bo partia zrobiła to na pewno.

Nie ulega wątpliwości, że tym razem, przez odmowę wiz dostojnikom kościelnym z innych krajów, partia i rząd postawiły wszystko na jedną kartę. Posunięto się dalej niż kiedykolwiek dotąd w administracyjnym ataku na swobodę Kościoła. Zrobiono wszystko, by obchody tysiąclecia chrztu ograniczyć do terenu samej Polski, bez udziału kogokolwiek z zewnątrz.

Polską cechą narodową jest przekora, toteż nawet ludzie niewierzący, niepraktykujący i raczej dalecy od Kościoła, poczują się dotknięci takim postawieniem sprawy przez rząd. Tym razem jednak nie będzie to tylko przekora, ale także głęboko odczuwane poczucie sprawiedliwości i przestrzegania zasady: co cesarskiego cesarzowi, co boskiego — Bogu.

Tym razem rząd i partia posunęły się już za daleko, a o ile — pokaże przyszłość, może nawet niedaleka.

XI

Po dwudziestu latach rządów komunistycznych ludność Polski dzisiejszej jest z pewnością mniej uniformistyczna, niż wielu krajów Zachodniej Europy. Przyczynił się do tego nie tylko niemal przysłowiowy indywidualizm Polaków, lecz także wcale nie ginąca różnorodność poglądów na wszelkiego rodzaju przejawy życia polityczne-

go, ekonomicznego, społecznego. Stare powiedzenie, że „gdzie dwóch Polaków, tam trzy partie polityczne” — wcale nie straciło na aktualności.

Fakt istnienia trzech wprawdzie partii, ale jednego systemu politycznego, nie tylko nie wyklucza, ale może nawet wzmacnia rozbieżności w poglądach.

Jeżeli natomiast jest cokolwiek, co by łączyło wszystkich ludzi w całym kraju, niezależnie od warstwy społecznej, czy przynależności zawodowej — to chęć lepszego życia, wyższej stopy, większej swobody ekonomicznej — i turystycznej. Nie ma pewnie wiele sprzeciwów wobec upaństwowienia ciężkiego przemysłu, górnictwa, ale ogromna większość widziałaby chętnie reprivatyzację lekkiego przemysłu, handlu, gastronomii, usług turystycznych i usług w ogóle.

Podpisywanie się pod polityką rządu i jej popieranie sięga w zasadzie tak daleko, jak daleko zgadza się to z wyczuwanym interesem polskim i społecznym. Inne posunięcia są niepopularne, narzucone w powszechnym odczuciu, wyśmiewane.

Linia podziału nie przebiega w polskim społeczeństwie między partyjnymi i bezpartyjnymi, lecz między ludźmi porządnymi i łajdakami, a takich można spotkać po obu stronach. Tak więc powszechnie uważa się ministra Rapackiego za człowieka przyzwoitego, a Witaszewskiego, Tokarskiego, Strzeleckiego, Albrechta, za szuje i kanalie.

Gomułkę uważano za wiernego swej ideologii, w sposób purytański i pruderyjny, lecz żyjącego w świecie urojonym, nierzeczywistym. Jego skromność, jak mieszkanie przez wiele lat w trzech pokojach zwykłej willi na Saskiej Kępie i spacer z psem po Parku Paderewskiego, były popularne, podziwiane, tak samo jak używanie przez niego Warszawy, a nie Mercedesa albo Buicka, jak to jest obyczajem najmniejszego pętaka w rządzie czy partii. Ale to też minęło, tak jak minęła popularność Gomułki zyskana po Październiku 1956.

W tamtych czasach zresztą powstał pęd wstępowania do partii ludzi politycznie jej obojętnych, lecz gotowych do zaofiarowania nie tyle jej, ile krajowi, swej wiedzy, umiejętności, by zastąpić tych, którzy nie umieli rządzić, bo nie mieli nic intelektualnie do zaofiarowania. Ta postawa, zrozumiała przecież, i choć dyskusyjna, godna uznania, nie mogła przynieść trwalszych wyników, skoro zdobycze wolnościowe Października ustępowały powoli, razem z powrotem do władzy w partii i administracji ludzi skompromitowanych, ale wypróbowanych w swym bezwzględnym chamstwie, znów potrzebnym Gomułce, który nigdy nie wyzwolił się z kompleksów aparaczyka na miarę powiatu.

Powrót Tokarskiego, Witaszewskiego i im podobnych, położył kres zaufaniu i wyłączył możliwości współpracy z nowo-starymi władzami ludzi o szerszych poglądach, i na pewno większej wiedzy.

W dzisiejszym KC są albo stare wiarusy — coraz mniej liczni — z KPP, albo ci, co żyją z procentów od Kapitału Marksa, oportuniści, podskakiewiczze, lizusy bez czci i wiary, albo tacy, którzy każdą robotę wykonają, byle była brudna.

Z tym wszystkim nie ma nic wspólnego naród — trzydzieści dwa miliony ludzi, którzy muszą żyć obok partii i ustroju, a w swej większości żyją mimo nich i wbrew nim.

Marksiści twierdzą, że tylko takie zmiany są trwałe, które przeprowadził sam lud. W Polsce lud nie wprowadził obecnego ustroju, ale zmiany są trwałe ze zrozumiałych przyczyn geopolitycznych. Gdyby dziś Związek Radziecki przestał istnieć jako groźba — jutro nie byłoby śladu i popiołu po PZPR. Gdyby doszło do prawdziwie wolnych wyborów — wolnych przede wszystkim od politycznego zagrożenia z zewnątrz — wynik byłby jeden: komuniści nie dostaliby ani jednego mandatu w Sejmie.

Gdyby w roku 1956 mocarstwa zachodnie i NRF uznały zachodnią granicę Polski — zupełnie inaczej mo-

głoby się potoczyć wypadki. Straszak rewanżyzmu zachodnio-niemieckiego jest natrętnie i dobrze wygrywany przez oficjalną linię polityczną w Polsce, a Niemcy robią co mogą, by tę linię poprzeć i utwierdzić Polaków w przekonaniu, że jedynym sposobem utrzymania Ziemi Zachodnich jest sojusz i przyjaźń z jedynym gwarantem granic polskich — Związkiem Radzieckim. Same zapewnienia ze strony tylko NRF, że granica Polski nigdy nie będzie przedmiotem sporu zbrojnego — nie wystarczają. Zbyt wiele razy w przeszłości zrywali Niemcy wszelkie przyrzeczenia, umowy, traktaty, by im dziś wierzyć. Zupełnie to samo można powiedzieć o wschodnim sąsiedzie, bez względu na to czy nazywał się on Cesarstwem Rosyjskim, czy Związkiem Radzieckim — ale rzeczywistość polityczna jest taka, jaka jest.

Wolność, demokracja — nie są słowami pustymi w kraju, który ma drugi w Europie, najstarszy po brytyjskim, parlament, miał już w początkach XV wieku prawo znane w Anglii jako *Habeas Corpus*, stworzył pierwsze na świecie ministerstwo oświaty, Komisję Edukacji Narodowej, w roku 1773, miał przed trzystu laty prasę periodyczną i pierwszą nowoczesną konstytucję uchwaloną trzeciego maja 1791 roku. Kraj, który zapłacił największą cenę za odzyskanie i utrzymanie wolności, walczył o nią w trzech powstaniach w czasie stu pięćdziesięcioletniej niewoli, i pierwszy stawiając czoła hitleryzmowi w samotnej, wrześnie walce — dziś ten kraj znów jest pozbawiony wolności. Rządzi tym krajem obca ideologia partyjna, wroga konstytucja, sejm, którego nikt, poza partią rządzącą, nie wybierał.

Ale ludność tego kraju rodzi się z poczuciem wolności i swobód we krwi, a świadomość historyczna jest żywa. Wierność tradycji, konserwatyzm wierzeń i przekonań są zadziwiająco trwałe, może dlatego, że jak twierdzi marksizm — powstały w ludzie i przez lud zostały przechowane przez całe tysiąc lat burzliwej historii.

To, jak wygląda w Polsce życie dziś — to nalot, po-

wierzchni rezultat rządów obcej polskości ideologii — bo zmiany głębsze nie zaszły. I natot ten zniknie razem z jego przyczyną: komunizmem.



Specyfika życia w Polsce polega chyba przede wszystkim na tym, że o ile o różne sprawy krajowe można pytać wprost, tak jak wszędzie na świecie, to odpowiedź nigdy nie będzie „tak” lub „nie”, lecz wymaga długich i obszernych wyjaśnień, odwoływania się do dłuższej lub krótszej historii zagadnienia, zagłębienia się w przyczyny, których korzenie nie są wcale widoczne.

Tyle rozmaitych przyczyn składa się na dzisiejszy obraz Polski, że każde uogólnienie jest tylko niebezpiecznym uproszczeniem nic właściwie nie wyjaśniającym. Naturalnie wszystko w zasadzie sprowadza się do jednego: do systemu, ustroju, nieustannej huśtawki zmian, nowych zarządzeń, trudności ekonomicznych, które są zarazem przyczyną i skutkiem. Błędne koło bez wyjścia, które tylko można rozbić, bo wszelkie zmiany zmieniają tylko kąt nachylenia, a nie konstrukcję. Naiwnością jest spodziewać się „załatwienia” polskiego socjalizmu drogą ewolucji ekonomicznej, bo tylko zasadnicza zmiana polityczna miałaby znaczenie. Wielu publicystów na Zachodzie podnieca się radzieckim „libermanizmem”, „swobodnymi” decyzjami w Rumunii, na Węgrzech, „modelem” socjalistycznym Jugosławii — co jest, tak jak się to widzi od wewnątrz tych krajów — tylko kręceniem się w tym samym błędnym kole. Jeszcze raz trzeba podkreślić: nie ma i nie może być zasadniczych zmian korzystnych dla gospodarki, bez zmiany ustroju politycznego. Wszystko inne to nawet nie półśrodki.

W takiej sytuacji ludność tych krajów — a w największym stopniu Polski — stara się przechwycić tyle inicjatywy w swoje ręce, na ile pozwalają, warunki, przepisy, ustawy. Zmiany zaszły po Październiku 1956 roku

dały pewien, nawet dość znaczny, margines inicjatywie prywatnej, przywróciły w pewnym sensie pojęcie dochodowości i opłacalności w sektorach uspołecznionych, ale przy tym ograniczyły w znacznym stopniu tzw. zdobywcze mas pracujących. Rzecz polega na tym, że przecież niewielu ludzi w Polsce dysponuje kapitałem wystarczającym na rozpoczęcie prywatnego handlu, czy produkcji — nie mówiąc o talencie i umiejętnościach, ani o zezwoleniach państwowych — natomiast pozbawienie znacznej większości ludności ułatwień w postaci darmo przydzielanych mieszkań, niemal bezpłatnych wczasów związkowych i tp., daje w sumie raczej cofnięcie się w stosunku do czasów sprzed Października. Może to i niewielka cena za uzyskanie swobody — nazwijmy to politycznej — ale i ta wąta swoboda zanika w szybkim tempie.

Zniknęły więc niemal całkowicie zdobywcze roku 1956, a nie przybyło żadnych korzyści ani politycznych, ani materialnych. I nic nie zapowiada, by cokolwiek miało ulec zmianie na lepsze. Przeciwnie, kryzys i gospodarki, i zaufania do władz — pogłębia się. Co gorsza, głęboka apatia, znużenie społeczeństwa nie zapowiada drugiego października. Może to i lepiej, bo tym razem nie obeszłoby się bez krwawego przewrotu: zbyt wiele nagromadziło się złej krwi, pretensji, nienawiści.

Opowiadał mi kiedyś dziennikarz radziecki, że — czego nie znajdziemy nigdzie, w żadnej radzieckiej publikacji — w samej Moskwie jest siedemdziesiąt pięć tysięcy rodzin mających mniej niż jeden pokój do dyspozycji w „kołchozowych” mieszkaniach. Pod tym względem, co by się nie powiedziało, sytuacja nawet w zniszczonej Warszawie jest lepsza. Ale lepsza, nie znaczy — dobra. Kurs na spółdzielczość urealnił potrzeby, ale odrealnił możliwości. Zapomniano o minimum płacy i ustalono, że rodzina, która ma choćby jeden złoty ponad tysiąc pięćset na osobę miesięcznie, musi sobie zapewnić mieszkanie własnym kosztem. Jeżeli przyjmiemy, że granica tysiąca złotych na osobę na miesiąc jest właściwie rze-

czywistym minimum jakiego takiego życia — to pozostała nadwyżka oszczędzana na mieszkanie chyba pozwoli zebrać potrzebną kwotę dopiero dla następnego pokolenia, jeżeli przyjmiemy, że pierwsza wpłata za dwa pokoje z kuchnią i łazienką musi wynosić co najmniej trzydzieści tysięcy.

Zmniejszenie metrażu kwaterunkowego do pięciu i siedmiu metrów kwadratowych na osobę, stało się dalszym krokiem obrzydającym życie. Oznacza to, że małżeństwo bezdzietne ma prawo do jednego pokoju z kuchnią, a dopiero troje czy czworo dzieci pozwoli na posiadanie trzech pokoi — i to za własne pieniądze. Ponieważ państwo w minimalnym stopniu przydziela mieszkania darmo — przestało mieć sens płodzenie liczniego potomstwa dla otrzymania większego mieszkania, jak to nie rzadko bywało w poprzednich okresach.

Przeprowadzona niedawno podwyżka czynszów, cen światła, gazu i ogrzewania, nie wpłynęła na pewno na wzrost tempa oszczędzania na własne mieszkanie.

Jeżeli jest się „kimś” — to niezależnie od wysokości zarobków można liczyć na przydział mieszkania z „puli premiera”, a wtedy i mniej uwagi zwraca się na takie drobiazgi jak rygorystyczne przestrzeganie metrażu, i dostaje się przydział w domu staranniej wykończonym w porównaniu ze standartem pozostałych. Można przyjąć z dużym przybliżeniem, że przedstawiona wyżej sytuacja mieszkaniowa ma pewien wpływ na wzrost liczby członków partii — co nie oznacza, że wstąpienie daje z miejsca mieszkanie — daje natomiast widoki na awansowanie do grupy, która żyje bez przesadnych trudności przynajmniej pod tym względem.

Wystarczy przejrzeć ogłoszenia matrymonialne ukazujące się w niektórych pismach, by zorientować się, że najbardziej pożądaną cechą charakteru przyszłej małżonki, czy małżonka jest posiadanie mieszkania, a na drugim miejscu — samochodu. I to są pierwsze kryteria w ocenie korzyści z doboru przyszłego dożgonnego partnera.

Bank PeKaO wprowadził już od dawna sprzedaż mieszkań i domków jednorodzinnych za dewizy, to też jest więc przyczyną pierwszą i najważniejszą pędu do wyjazdów za granicę, na jakąkolwiek placówkę, na której będzie można wreszcie z mizernej na tamte stosunki pensji, oszczędzić drogocenne dolary, funty, marki, franki czy korony — i nareszcie mieszkać jak człowiek. Znam ludzi, którzy siedząc na zagranicznej placówce odżywiali się płatkami owsianymi i kartoflami (rzecz nie do pomyślenia w kraju), by uciąć każdy grosz nadający się do pekaowskiej wymiany. Pracownicy polskich ambasad, konsulatów czy przedstawicielstw handlowych unikają przyjęć i szerszych kontaktów z tubylcami, nie dlatego, żeby mieli jakiegokolwiek obawy natury policyjno-politycznej, ale dlatego, że każdy zbędnie wydany dolar — to aż siedemdziesiąt dwa złote, które można lepiej i taniej wydać w kraju. Nawet masowe kupowanie za granicą samochodów odbywa się w jednym celu: sprzedania grata natychmiast po powrocie do kraju, bo z głodowej pensji ministerialnej nawet moped trudno byłoby utrzymać.



Od lat trwa nieustająca kampania propagująca oszczędzanie. Kasa Oszczędności PKO (nie mylić z Bankiem PeKaO) wydaje ogromne sumy na reklamę, co nie przeszkadza, że wymyśla się najróżniejsze trudności dla chcących podjąć całe zebrane na książeczkę pieniądze. Kurs na oszczędzanie nie jest spowodowany brakiem na rynku towarów trwałego użytku. Przeciwnie, jest ich pod dostatkiem, a „drenażowo” ustawione ceny pozwalają nie obawiać się ataku klientów na puste półki. Jeżeli jakieś braki występują na rynku, to przede wszystkim braki żywnościowe: mięsa, wędlin, serów, dostarczanych w małych ilościach, jeszcze mniejszym wyborze i kiepskiej jakości. Natomiast nasycenie rynku radiami, telewizorami, lodówkami i pralkami w dużym wyborze i o znacznej roz-

piętości cen, spowodowało konieczność całkiem kapitalistycznej konkurencji i stosowania zupełnie po zachodniemu pomyślanej reklamy w prasie, radiu i telewizji. Również kolejka po samochody istnieje tylko w odniesieniu do wozów importowanych, bo krajowe graty można kupić bez większych trudności, jeżeli się oczywiście ma pieniądze.

Toteż wcale nie obawa o znalezienie się nadmiaru pieniędzy na rynku popycha państwo do propagowania książeczek i kont PKO — lecz chęć jak najdłuższego obracania pieniędzmi klientów — a co może zapewnić dłuższy obrót, niż namówienie jak największej liczby obywateli do oszczędzania na własne mieszkanie? Około trzydziestu miliardów złotych powierzyli obywatele kasom oszczędności — suma niebagatelna, którą warto zatrzymać jak najdłużej, a z drugiej strony rosnąca podaż coraz bardziej atrakcyjnych towarów jak najnowsze typy radio-aparatów, adaptery hi-fi, magnetofony, mechaniczny sprzęt gospodarstwa domowego, musi znaleźć nabywców, jeżeli państwowe fabryki tych produktów mają mieć dochód, a robotnicy wypłatę. W nabyciu towarów tańszych, a jednak nie mieszczących się w ramach paromiesięcznego oszczędzania, pomocny stał się szeroko rozpowszechniony i coraz popularniejszy system ratalnej sprzedaży, obejmujący dosłownie wszystko, co państwowy handel ma klientom do zaoferowania, od ubrań po samochody. Nie, w Polsce nie ma kłopotu z wydaniem pieniędzy — kłopot jest tylko z ich zdobyciem.



Kwestionariusze wizowe amerykańskich konsulatów zawierają pytanie o przynależność do związków zawodowych, stawiając to jako przeszkodę niemal równą przynależności do partii. Nie wiadomo skąd się to przeświadczenie wzięło, bo do związku zawodowego w Polsce nie należy się z przyczyn ideologicznych i nie dlatego, by się

przez ten fakt miało jakikolwiek wpływ na to, co się w życiu gospodarczym czy politycznym dzieje — ale dlatego, że w niektórych zawodach jest to obowiązkowe, no i że członek związku ma pewne prawa i przywileje natury czysto ekonomicznej, jak na przykład prawie bezpłatne wczasy. Związki zawodowe przydzielają miejsca na dwutygodniowe turnusy we własnych domach Zakopanego, Krynicy, Sopotu, Międzyzdrojów i jeszcze setki innych miejscowości po cenach zależnych od wysokości uposażenia, ale zawsze bardzo dostępnych.

Samo należenie do związku twórczego nie daje żadnych praw związkowych, bo stowarzyszenia tego rodzaju są bardziej klubami, niż czymkolwiek innym. Jeżeli więc pisarz, muzyk czy malarz chce korzystać ze „zdobyczy świata pracy” musi zostać członkiem odpowiedniego związku na przykład pracowników kultury.

Należenie do związku daje dostęp do taniej stołówki, do wczasów leczniczych, pomaga w ubezpieczeniu i przy uzyskaniu emerytury — a przeszkadza przy staraniu się o wizę do Stanów Zjednoczonych, dla odwiedzenia rodziny też zapewne należącej do związku.

Również w gestii organizacji związkowych znajdują się zapomogi, pożyczki, pomoc w sprawach mieszkaniowych. Żaden kacyk nie może zwolnić pracownika, jeżeli o swej decyzji nie potrafi przekonać miejscowej organizacji związkowej, która może się ująć tylko za swoim członkiem. Jeżeli członek związku zawodowego nie ma nic do powiedzenia na tematy zasadnicze, to już wszystko co powyżej się wymieniło — przemawia chyba na korzyść przynależności, i w żadnym wypadku nie powinno w oczach ludzi zdezinformowanych stawać się dowodem „kolaboracji” z panującym reżymem.

Inna sprawa, że w obecnej sytuacji polskiej, mającej pewne cechy kapitalizmu ale bez jego plusów, i pewne cechy socjalizmu, również bez jego stron dodatnich — korzyści z należenia do związku kurczą się pod wpływem pogarszających się warunków ekonomicznych, i rozpow-

szechniającej się od góry manii liczenia co i ile da się jeszcze od obywatela wyciągnąć.

W ramach urealnienia polityki ekonomicznej, przy pomocy wielu drobnych zarządzeń ogranicza się, lub wręcz pozbawia obywatela tych przywilejów, które mu sam ustroj kiedyś gwarantował — a nie daje się mu nic w zamian, dla urealnienia jego prywatnej ekonomii w ramach rodziny. Tak na przykład leczy się wprawdzie bezpłatnie zęby u dentysty ubezpieczalni, ale wstawienie sztucznych może nastąpić dopiero, jeżeli braki w szczęce osiągną liczbę sześciu. Okulary można dostać na receptę ubezpieczalnią z znaczną zniżką, ale jeżeli nie chce się nosić oprawy drucianej, to trzeba wymarzoną kupić samemu po bardzo starannie obliczonej cenie. Również jakość świadczonych bezpłatnie usług jest tak niska, że kto chce mieć lepsze zęby, szkła, czy lekarstwa — musi to załatwić prywatnie za ciężkie pieniądze.

Nie zapominajmy przy tym, że sytuacja zdrowotna w Polsce pozostawia bardzo wiele do życzenia. Gruźlica, która zabijała tysiące ludzi w latach powojennych, pozostawiona w spadku okupacyjnych warunków, niedożywienia, obozów — została opanowana, ale tylko w pewnym stopniu, i dopiero masowa akcja szczepień przeciwgruźliczych dzieci pozwoli z czasem tę groźną chorobę wyeliminować. Chociaż z drugiej strony warunki mieszkaniowe stworzone przez państwo, nie pozwalają na odseparowanie chorych od pozostałych wspólnie mieszkających członków rodziny. Warunki sanatoryjne, niesamowity tłok w szpitalach, trudność uzyskania leczenia klimatycznego — nie poprawiają sytuacji.

Wyjątkowo skuteczna Akcja W — przeciwko chorobom wenerycznym przyniesionym masowo przez wojska radzieckie, łącznie z groźnym syberyjskim syfilisem — przeprowadzona przez polską medycynę, poszła w zapomnienie, a wybitny wzrost zachorowań na choroby weneryczne jest poważną troską lekarzy.

Komisje wojskowe, ten najlepszy sprawdzian stanu

powszechnej zdrowotności, zwracają uwagę na coraz częstsze przypadki próchnicy zębów, nawet wśród rekrutów wiejskich. Rak staje się powoli, obok chorób wenerycznych, nerwowych i gruźlicy, czwartą chorobą społeczną. Sporadycznie pojawiają się zapomniane dawno zarazy jak ospa, przywleczone z portów Dalekiego Wschodu. Niedolność administracyjnego aparatu społecznego lecznictwa, mimo pełnej poświęcenia pracy lekarzy, nie jest zaporą przeciwko atakowi chorób, i nie może przyczynić się do podniesienia się poziomu ogólnej zdrowotności. Medycyna polska stoi wysoko, przeprowadza się w kraju najtrudniejsze i najrzadsze operacje, polscy uczeni i lekarze mają na swym koncie niejedno odkrycie na skalę światową, by wymienić tylko nazwiska takie jak profesorów Hirszfelda, Weigla, Biernackiego, Funka* — a przy tym pracują w warunkach niewielkiego zrozumienia ze strony tępego rządu i — jeśli nie mają praktyki prywatnej — zarabiają mniej niż naczelnik wydziału w KC lub Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. To prawda, że leczenie stało się szerzej dostępne i, jeżeli nie bezpłatne, to w każdym razie tanie, ale to samo bywa udziałem obywateli takich krajów jak na przykład Szwecja, gdzie dla uzyskania tych praw, nie trzeba było zrzec się innych wolności.



W państwie, w którym samochód jest i jeszcze długo będzie luksusem, władze muszą dostarczyć ludności środków komunikacji masowej po cenach przystępnych dla pustawej kieszeni. Z drugiej strony jednak zaplanowany deficyt musi być możliwie najniższy, czyli że dopiero stu-procentowe wykorzystanie autobusów i tramwajów może zadowolić rachunek ekonomiczny. Innymi słowy takie podejście skazuje ludność na podróżowanie do pracy i z pracy w absolutnie niehumanitarnych warunkach, zagrażają-

* Dla przypomnienia kolejno: grupy krwi, szczepionka przeciwtyfusowa, mierzenie opadu krwi, odkrycie witamin.

cych nawet życiu. Jasne jest, że każde powiększenie taboru miejskiego ma tylko jeden ekonomiczny skutek: podwyższa deficyt przedsiębiorstw komunikacyjnych. A to że obniża zdolność pracy ludzi wymęczonych jazdą — tego już się przy obliczaniu ekonomicznym pod uwagę nie bierze.

Powyzsza prawda jest ważna nie tylko wobec komunikacji, ale również wobec opłacalności kin, teatrów, restauracji, sklepów prowadzonych przez państwo. Dla ratowania kieszeni państwowej — a pośrednio i prywatnej obywateli — mieszkańcy kraju budującego socjalizm muszą wszędzie i na każdym kroku przebywać w tłumie, stać w ogonkach, mieć nieustanne trudności z zakupami, podróżą i nawet rozrywką czy spożyciem posiłku. W ten sposób zostało przeprowadzone najidealniejsze przemieszanie klas i wyrównanie warstw społecznych. Posiadanie samochodu przenosi już do klasy innej, która wyłączona jest przynajmniej z jednego wspólnego wszystkim nieszczęścia: korzystania z komunikacji miejskiej. Na nieszczęścia inne w obecnym ustroju i w obecnej sytuacji — sposobu nie ma.



Odwiedzający Polskę dewizowi rodacy z zagranicy pytali mnie nie raz: jak wy właściwie tu żyjecie. Wydawało im się niepojęte, że przy znanych im zarobkach, i przy oglądanych w oknach wystawowych cenach, ludzie są na ogół dobrze ubrani, nieźle odżywieni, jeśli mają jakie-takie mieszkanie, to nie najgorzej wyposażone i umeblowane, mają telewizory, nowoczesne radia, lodówki, nawet coraz częściej samochody, miewają co najmniej dwa urlopy w roku spędzane w nietanich krajowych uzdrowiskach, lub za granicą.

Już na początku powiedziałem, że na każde proste pytanie, nie ma prostej odpowiedzi. O środkach zarobkowania, o sposobach uzupełniania wątych pensji, pisałem

obszerniej na innym miejscu. Ale w Polsce jest więcej niż jeden kraj. Nie będzie dla warunków krajowych typowa Warszawa, jeszcze mniej — zamożny Śląsk, ani Kraków, który nie zaznał wojennych zniszczeń, nie odrobionych dotąd przez inne, bardziej dotknięte wojną okolice kraju. Nie będzie typowa wieś, ani małe miasteczka. Bo każdy z wymienionych przykładów reprezentuje różnorodność stosunków i warunków panujących w Polsce.

Warszawiak golący się rano Remingtonem za dwa i pół tysiąca, może nie mieć pieniędzy na przeżycie do końca miesiąca. Właściciel prywatnego samochodu zarabia na benzynę wożąc przygodnych pasażerów „na łebka”. Obciuchany chłopiek może mieć w pończosze dolary i złoto. Brudnawy i wygnieciony kierowca miejskiego autobusu zarabia więcej niż lepiej od niego ubrani pasażerowie-urzędnicy. Nie dają żadnych wskazówek miary i pojęcia przywiezione z jakiegokolwiek zagranicy. Równie mylący może być nędzny wygląd wielu wsi, jak i zamożny wygląd niektórych miejskich osiedli i dzielnic.

Jeżeli ktoś w Polsce pali fajkę, to albo nie może pozwolić sobie na papierosy, albo jest na tyle zamożny, by kupować tytoń angielski lub amerykański.

Nie ma sprawdzianów, nie ma niezawodnych uogólnień. Każdy przypadek musi być rozpatrywany indywidualnie, nie tylko z punktu widzenia wykonywanego zawodu, zarobków, dochodów, ale także przeszłości, stosunków rodzinnych, miejsca zamieszkania i tp. Nic z dawnych, przedwojennych kryteriów.

Już zapomniało się, że kiedyś krajowe kosmetyki reklamował plakat przedstawiający wymalowaną i wymanicurowaną dziewczynę na siodelku traktora. W sklepach i na twarzach pań widuje się dziś kosmetyki *Maxa Factora*, *Elizabeth Arden*, *Heleny Rubinstein*, lakiery *Cutex*, obok krajowych również francuskie perfumy. Liczne salony piękności, nawet dla panów, dbają o wygląd obywateli, za odpowiednią i wcale nie niską opłatą. Fryzury pań są odbiciem najnowszych zachodnich prądów mody,

jak przystało na ojczyznę paryskiego „Antoine” Cierplikowskiego. Nawet dziewczyny pędzące na wygon jedną krowę, występują w kreacjach lansowanych przez *Przekrój*, z „tapirowanym” włosiem, a chłopcy miewają Beatlesowskie grzywy i raczej zanoszą się wyciem na temat „Help Me”, niż „Kukułeczką”. Tylko patrzeć jak sam Gomułka wystąpi w peruce, jeżeli pieśń na XX-lecie Polski Ludowej była skomponowana w rytmie *big-beat* i śpiewana z towarzyszeniem gitar elektrycznych — co może w znakomitym stopniu przyspieszyć elektryfikację wsi.

Zespoły ludowe nazywają się na ogół *Częstochowa Stompers*, *Dixieland Kłaj Dolny*, albo *Wołomińskie Tajfuny*, a w najbardziej zapyziałej knajpie prowincjonalnej rachityczne trio z pianinem, harmonią i skrzypcami ma skłonności do nazywania się *Grzdyć and His Boys*. Co w tym jest najśmieszniejsze to to, że to czysta prawda — a nie wizja satyryka.

A przy tym w jakoś tam stabilizujących się warunkach coraz więcej kobiet chce pozostać w domu, zająć się dziećmi, mieć czas na postanie w ogonkach po zakupy, pójść wieczorem do kina, teatru, na dansing. Te zachcianki kolidują z równowagą domowego budżetu, nawet jeżeli pan domu potrafi i chce mieć parę czy kilka etatów. Faktem jednak jest, że coraz więcej kobiet rzuca pracę, jeśli oczywiście nie mają określonego zawodu zdobytego wykształceniem.

Chyba w żadnej kawiarni w Polsce nie znajdzie się w południe miejsca, a wieczorem trudno o stolik w nocnych lokalach. Niejeden rachunek tam zapłacony wystarczyłby innym na miesięczne utrzymanie — co jak już wiemy nie wpływa w żadnym stopniu na dochodowość państwowej gastronomii. W drogich domach wczasowych i pensjonatach *Orbisu* wykupuje się pokoje na zakopiański sezon zimowy już na jesieni, a na letni, sopocki, w zimie. Nie ma w Warszawie przedwojennego Klubu Myśliwskiego, ale tam gdzie bywa prywatna ini-

cjatywa i rzemiosło, grywa się w brydża po dziesięć złotych mały punkt.

Ideologia marksistowska nie dopuszcza myśli tworzenia kasyn gry nawet w miejscowościach nawiedzanych gęsto przez turystów skandynawskich, ale w stolicy jest czynnych co najmniej kilkanaście tajnych domów gry, przez które przepływają miliony.

Warszawa ma być podobno centralą handlu narkotykami między wschodem i zachodem, jako stolica kraju stosunkowo łatwo dostępnego dla kogokolwiek, kto poda się za *businessman'a*, a przy tym niedostępnego dla Interpolu. Nie jest wielką tajemnicą, że znajduje się tam niejeden dom publiczny typu raczej luksusowego, przy czym o jednym się mówi, że swą nietykalność zawdzięcza odwiedzinom premiera.

Nie ma już rządowych willi w Konstancinie otoczonych murem i łańcuchem wartowników z KBW. Wiktor Kłosiewicz, dawny przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych, ani stalinowski minister Mijał (który niedawno zwiął do Albanii — pierwszy wypadek ucieczki politycznej z jednego kraju komunistycznego do drugiego!) nie mają już marmurowych wanien i schodów.

Bardziej luksusowo żyją dziś nie aparatczycy, ale marynarze, rzemieślnicy, hodowcy rzodkiewki, drobni prywatni przemysłowcy, niektórzy lekarze i adwokaci i klienci tych ostatnich — złodzieje „własności socjalistycznej”.

Ale tłum kacyków rządowych nie daje się zdystansować badylarzom. Jeżeli premier może mieć oprócz służbowego mieszkania w Alei Róż, mieszkanie reprezentacyjne w Pałacu Radziwiłłów na Krakowskim Przedmieściu i skrzydło Pałacu Wilanowskiego (psy muszą mieć trochę ruchu i świeże powietrze) do swej dyspozycji, to i jego pracownicy nie chcą być gorsi i wybudowane kolosalnym kosztem luksusowe domy wypoczynkowe Urzędu Rady Ministrów na zboczach zakopiańskiej Antałówki już wydają się im zbyt prymitywne i mają być przekazane na użytek *Orbisu* dla zagranicznych turystów.

Jest w Polsce dwa tysiące zamków, pałaców i obszer-nych dworów na sprzedaż. I gdyby tylko mogły one pójść w ręce prywatne, a nie na cele związkowo-społecz-
ne, poszłyby od razu. Chętnych i zamożnych nabywców znalazłoby się aż nadto.

Chciałem kiedyś w Sanoku zjeść śniadanie w gospo-
dzie ludowej o godzinie jedenastej. Nie tylko nie było wolnego stolika, ale i nie było nic do jedzenia. Tłum
chłopów z batami zapełniających salę siedział przed
musztardówkami wódy. A w tymże Sanoku, kustosz
muzeum mógł sobie pozwolić tylko na jeden posiłek
dziennie poza poranną kawą: obiad za dziesięć złotych
w stołówce miejscowej rady narodowej. Dyrektor war-
szawskiego Muzeum Starej Warszawy, placówki wielce
dla Warszawy zasłużonej, ma dwa razy więcej pensji
niż jego sekretarka — to jest całe dwa tysiące. Ale nie
ma tak jak ona tatusia produkującego zamki do ekspor-
towych torebek. Rozwożący przydziałowy węgiel wozak
mógłby swego klienta, profesora uniwersytetu, kupić
cum gaiis, boris et graniciebus, bo zarabia z grubsza
biorąc, dziesięć razy tyle i jeszcze oszukuje na wadze,
bez czego czułby się sam oszukany.

Tak zwana pomoc domowa musi dziś dostać tysiąc
złotych, mieć swój pokój, i nie przyjmie pracy w domu,
gdzie nie ma pralki, lodówki i telewizora. Wiechowski
parzygnat koszyczkowem karmiony zamienił się w *cordo-
bleu* bez kwalifikacji, ale za to z wymaganiami. „Czarno-
szyjki” od czasu jak zniknęli z budów koźlarze zastą-
pieni przez elektryczne windy — zatrudniane są przez
fabryki tranzystorów, lub lamp radiowych i kineskopów.

Na wystawie rysunków dziecinnych na temat „Rok
2000” był rysunek wykonany przez chłopca wiejskiego,
na którym nie brakowało chaty krytej strzechą, dREW-
nianej stodoły, ani nawet gnojówki — za to w zwykłej
psiej budzie siedział nie czworonożny pies, ale pies
elektronowy. Piekielnie typowy obraz postępu w Pol-
sce, tak jak z podwieczorkowego sołtysa Kierdziołka,

albo Mroźkowego *Wesela w Atomicach*. Wprawdzie nie ma na wsi neonów głoszących: „Tu Stodoła”, ale czy nie jest tym samym olbrzymi na cztery piętra neon nad sklepem z płytami na Kruczej, którego koszt nie zostawił już przedsiębiorstwu ani grosza na zainstalowanie urządzeń do przesłuchiwania płyt.

Nie ginie wiara w narodzie. W dzisiejszych ekonomicznych warunkach pozwalających na szesnaście tysięcy samochodów prywatnych w przeszło milionowej Warszawie — liczy się w całej Polsce miliony ludzi posiadających prawo jazdy. I nawet zabrakło wyobraźni architektom i urbanistom projektującym nową, odbudowaną stolicę, jeżeli ukończona w roku 1949 Trasa W-Z okazała się już za wąska i ciasna.

Przeciętnego obywatela Polski Ludowej nie interesuje turystyka zagraniczna, przynajmniej ta przyjazdowa. On wolałby zagranicznych gości nie widzieć, bo to ograniczyłoby jego prywatne plany. Turysta zagraniczny byłby dla państwowych biur podróży, dla łakomych dewiz organizacji — osobą pierwszą po Bogu. A tego turysta polski wcale sobie nie życzy.

Przez wiele lat okresu stalinowskiego była prowadzona niezmordowana propaganda rozwijania „czynnego wypoczynku”, turystyki masowej — to znaczy turystyki zbiorowej. Niewiele z tego wyszło, natomiast w tego rodzaju wypoczynku rozsmakowały się miliony i uprawiają masową turystykę indywidualnie, każdy na swój sposób, zapełniając każdy kąt obszernej Rzeczypospolitej.

Tysiące taterników obsiadły gwałtownie malejące Tatry. Miliony ruszają w Polskę, gdy tylko sezon i pogoda na to pozwalają. Bilety kolejowe sprzedaje się bez żadnych ilościowych ograniczeń, a miejsca sypialne i w samolotach wykupione bywają na miesiąc naprzód. Cały rok zbiera się pieniądze, by jak najwięcej puścić w nocnych knajpach Zakopanego czy Sopotu — gdzie konsument polski, krajowy, jest zawsze milej widziany

przez obsługę, niż zagraniczny — bo u swojaka pieniądze luźniej w portfelu siedzą.

Może to i to jest przyczyną całkiem nowych i przedtem w Polsce nieznanych obyczajów, a właściwie ich rozluźnienia. Górale, świadomi, kto i po co przyjeżdża do Zakopanego i podtatrzańskich wsi, tłumaczą, że „wicie, panie, u nas na Podhalu takie jebliki w powietrzu latają”. Ale co lata w Szklarskiej Porębie, Kudowie, Krynicy Morskiej i górskiej, i setce innych miejscowości turystycznych i wypoczynkowych? Wczasy bez kociaka, bez biurwy, nie poparte odpowiednim pijaństwem — nieważne.

Ale czy tylko wczasy? Te same obyczaje, lub raczej ich brak, charakteryzują codzienność w miastach, w miejscach pracy, w lokalach publicznych. Postawa *après nous le déluge* — bez potopu, ale i bez wielkich nadziei — to cecha dni dzisiejszych.

Za ostatnie pieniądze z chudego portfela pójdzie się do *Kameralnej* czy *Bristolu*, na szkocką whisky, na francuski koniak, łososie, kawior. Nie pokazać się w sezonie tam gdzie trzeba, nie wydać tysiąca złotych na osobę na Sylwestra? człowiek przestanie się liczyć! ale komu i po co liczyć? tego chyba nikt nie wie.

Saskie ostatki za pierwszych piastów-komunistów.

W domach *Caritasu*, w domach rencistów, na opiece wątlej dobroczynności też żyją ludzie, którzy nawet nie wiedzą, co się dzieje obok — wśród innych, którzy nie będą kiedyś od nich zamożniejsi, którzy na gapę pojedą tramwajem przez oszczędność, ale nie będą się wahać w sklepie monopolowym. „Żłobek”* trzeszczy w szwach — projektuje się już nowy, obszerniejszy. Prostyucja kwitnie w całym kraju, nie tylko w portach, nie tylko w stolicy, nie tylko w Krakowie, o którym mówił Boy-Żeleński, że największym powodzeniem cieszyły się tam burdel z wejściem przez zakrystię. A równocześnie

* Izba wytrzeźwień.

baby-dewotki byłyby gotowe ukamienować rozwódkę, albo kogoś, kto bez szacunku odezwał się o księdzu proboszczu, który też nie zawsze przykładem moralnym świeci.

Polskę, nawet tę najbiedniejszą, opanowała filozofia *carpe diem*, na taką skalę, na jaką warunki indywidualne pozwalają:

Trzy złote za talerz zupy w barze mlecznym,
osiemset za butelkę Black & White w *Grandzie*,
pięćdziesiąt za tubkę pasty do zębów Colgate,
pięć tysięcy za rasowego szczeniaka,
trzysta tysięcy za samochód,
półtora miliona za willę,
dziesięć deka kiełbasy zwyczajnej,
pół kilo kaszanki,
puszka kawioru za siedemset pięćdziesiąt,
tysiąc złotych pensji miesięcznej,
sześć złotych za litr benzyny,
antyki tańsze od nowoczesnych mebli,
czynsz miesięczny — sto pięćdziesiąt,
dzień w pensjonacie *Orbisu* — sto trzydzieści od
osoby,

prostytutki dla świata pracy od butelki piwa do ty-
siąca złotych za noc.

Na początku był chaos — i pozostał.

Czy już wiesz, zagraniczny rodaku, jak żyjemy?

Bo ja — nie.

Słowa hymnu narodowego: „Że też Polska nie zgi-
nęła...”

Herb Polski?: biały orzeł na nerwowym tle.

KONIEC



**A C H E V E D'IMPRIMER
LE 16 FEVRIER 1967
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)**

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1967

Dar
Biblioteka Polska
Paryż

Cons. 10 P. (dol. 2,25; 15/-)